Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 29 (1633) ROK XXXII 16 LIPCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

□ **Ostatnie dni dramatu** — str. 6

□ **Raport NKWD w sprawie Katynia** — str. 2

□ **Jaka może być przyszłość Polski?** — str. 3

□ **Ach, co to był za ślub!** — str. 16

Powstanie Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź", warto więc wiedzieć, co to była Armia „Łódź", z jakich składała się jednostek, jak i gdzie walczyła?

Równi orłom

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W „Marszu lotników" śpiewano, że **„lotnik — skrzydlaty władca świata bez granic"**. I tak było, ale do pewnego czasu. Polscy lotnicy śmiało sięgali po światowe rekordy i je zdobywali. Polscy konstruktorzy budowali samoloty, które dorównywały najlepszym. Ale świat i w tej dziedzinie poszedł zdecydowanie naprzód i Polsce potrzebny był wysiłek, który pozwoliłby znów polskiemu lotnictwu dorównywać najlepszym.

Polskie lotnictwo wojskowe dysponowało przestarzałym sprzętem. Jedynie P-37 Łoś dorównywał innym samolotom. Przygotowano wprawdzie nowe konstrukcje, jak choćby P-46 Sum, P-24, P-11g Kobuz P-50 Jastrząb Ale samoloty te miały dopiero wejść do produkcji. Przewidywano że w drugiej połowie 1938 roku i w pierwszej połowie 1939 roku wytwórnie lotnicze mogłyby produkować w razie wojny miesięcznie: samolotów P-37 Łoś — 15, samolotów P-50 Jastrząb lub P-11c — 72, samolotów P-46 Sum lub P-24 — 30, RWD Mewa lub Czapla — 25. Taka była prognoza. Faktyczne, pokojowe możliwości produkcji były znacznie skromniejsze. Samolotów P-37 Łoś mogły zakłady lotnicze wyprodukować 8 miesięcznie, P-50 Jastrząb lub P-11c — 40, samolotów P-46 Sum lub P-24 — 19, RWD Mewa lub Czapla — 14. Poza tym nowe typy samolotów nim weszły na uzbrojenie polskiego lotnictwa, zostały już sprzedane za granicę.

Polskie lotnictwo wojskowe w 1939 roku

składało się z 6 pułków, które stacjonowały: 1 Pułk Lotniczy w **Warszawie**, 2 — w **Krakowie**, 3 — w **Poznaniu**, 4 — **Toruniu**, 5 — w **Wilnie-Lidzie**, 6 — we **Lwowie**. Składało się ono z 4 eskadr bojowych wyposażonych w 36 bombowców P-37 Łoś, 12 eskadr wyposażonych w 120 samolotów rozpoznawczych lub lekkie bombowce P-23 Karaś, 15 eskadr myśliwskich dysponujących 159 samolotami P-7 lub P-11c, 12 eskadr obserwacyjnych, które miały 84 samoloty typu R-XIII Lublin lub RWD-14 Czapla. Plutony łączności dysponowały 40 samolotami RWD-8.

Eskadra myśliwska składała się z 10 samolotów, rozpoznawcza — 10 samolotów, bombowa — z 9 samolotów, obserwacyjna — 7 samolotów. Plutonów łącznikowych było 12. Eskadr bojowych — 43. Każdy dowódca dywizjonu myśliwskiego dysponował samolotem. W sumie polskie lotnictwo wojskowe w sierpniu 1939 roku posiadało 399 samolotów bojowych, nie licząc tych, które były w naprawie lub służyły do szkolenia pilotów. Po mobilizacji stan polskiego lotnictwa wojskowego zwiększył się z 12 000 oficerów, podoficerów i żołnierzy do 16 000. Nie wszyscy zmobilizowani w pierwszych dniach wojny dotarli do swoich jednostek. Już w warunkach wojennych organizowano parki i plutony naprawcze, drużyny łączności radiowej i przewodowej, kompanie lotniskowe, stacje i plutony meteorologiczne, plutony radiopelengacyjne, plutony reflektorów i kolumny samochodowe. Od marca 1939 roku przestawiano polskie lotnictwo wojskowe z warunków pokojowych na wojenne, ale zasadnicze prace wypadło wykonywać już w warunkach wojennych.

W lipcu 1939 roku odbyły się w Warszawie rozmowy z misją Wielkiej Brytanii, którą dowodził gen. E. Ironside, w sprawie pomocy polskiemu lotnictwu. Wielka Brytania miała dostarczyć Polsce 100 bombowców Fairey Batlle i 15 myśliwców. Z Francji spodziewano się 5 dywizjonów bombowców nocnych wyposażonych w samoloty Amiot-143M. **W Sokolnikach koło Ozorkowa** przygotowano lotnisko, na którym miały lądować francuskie samoloty po bombardowaniu Niemiec Tu miały pobierać paliwo i bomby i wracając do Francji ponownie bombardować Niemcy. Z planów tych nic nie wyszło. Polskie lotnictwo zostało skazane na własne siły.

W 1936 roku wprowadzono nowy wzór umundurowania lotników i służb lotniczych. Wprowadzono okrągłą czapkę garnizonową typu „maciejówka", z czarnym otokiem i czarną wypustką między denkiem i brytem. Daszek czapki oficerskiej był oblamowany skórą, na łamówce naszywano galony oficerskie. Wprowadzono też nowy wzór godła: Orzeł biały na tarczy amazonek uzupełniony husarskimi skrzy-

4

Collage: Grzegorz Gałasiński

Ot, zwykłe życie, ale jakie tragiczne (1)

Glugla

JÓZEF RETMAN

1.

W czwartek, 4 lutego 1988 roku Jan W. wyszedł z domu, jak zwykle, około wpół do siódmej rano. Nie śpieszył się. Wiedział, że do piekarni zdąży nawet piechotą. Przede wszystkim jednak dlatego, że wciąż jeszcze nie był zdecydowany, czy w ogóle pokazywać się tam, czy nie. Po tym, co się ostatnio wydarzyło i co sobie w nocy postanowił, nie było już właściwie po co. No, chyba żeby pożegnać się z kolegami i dać Mietkowi ten elektrolit do akumulatora, który mu obiecał.

Właśnie — elektrolit. Kwas... — zaświtało mu w głowie. Ale nie zastanawiał się, dlaczego. Myślał o czymś zupełnie innym: o dzieciach, o żonie, o swoim ciężkim życiu... Raz po raz stawały mu przed oczyma różne obrazy z przeszłości, wizje tego, co mogło było być, a nie było, co się może z nim stać za godzinę, jutro, za rok. Raz po raz słyszał też głos doktora G.: „... bo on się jej po prostu boi". Boi się! Boi!! Boi!!! — dźwięczało mu wciąż w uszach, huczało, grzmiało — tak głośno już, że zagłuszało nawet bicie serca, które — mogło się zdawać — za chwilę wyskoczy mu z piersi.

Zjechawszy na dół windą, Jan W. wstąpił do piwnicy, gdzie przechowywał słoik z elektrolitem. Odruchowo wepchnął go do kieszeni kurtki, po czym jak zaprogramowany automat ruszył prosto pod budynek komisariatu. Tam, zaczajony za milicyjną nyską, stał przez jakiś czas, obserwując, czy nie idzie dzielnicowy K. i jego pomocnicy w mundurach. Chciał mieć pewność, że będą, że zobaczą. Właśnie oni. Wśród zdążających na poranną służbę funkcjonariuszy nie dostrzegł jednak znajomych sylwetek. Może są już w środku? — pomyślał. O tej porze powinni chyba być. Spojrzał na zegarek i zawahał się: a może najpierw należało jechać do pracy? Może w ogóle należało...? I wtedy zobaczył żonę. Szła odprowadzić młodszą córkę do przedszkola. Za jakieś dziesięć minut będzie tędy wracać — uświadomił sobie. Za dziesięć minut... To ostatecznie przesądziło. Szybko schował się, nie chcąc, by go teraz widziała. Odczekał.

Wracała sama. Wyniosła, pewna siebie, zadowolona Gdy mijała wejście do komisariatu, wyskoczył z ukrycia. Na widok męża rzuciła się do ucieczki, ale nie miała szans. Jan W. dopadł ją błyskawicznie, złapał z tyłu i zaczął ciągnąć w stronę schodów. Broniła się, wyrywała, krzyczała. On nie zwalniał jednak uścisku. Był jak kamień. Trudno nawet powiedzieć, czy czuł radość, widząc w jej oczach taki strach.

Nagle dostrzegł, że z parkingu biegnie ku nim dwóch milicjantów. Nie zatrzymując się, rozpinali kurtki. Po co — nie wiedział. Nie miał czasu na domysły. Ważne, że chcieli mu przeszkodzić, zepsuć wszystko. Puścił więc żonę, wyjął z kieszeni elektrolit, odkręcił i... w tym momencie słoik wypadł mu z podbitej ręki, a żrący płyn chlusnął w górę, oblewając oboje. Żona upadła. Zawyła z bólu.

Stał obok jak sparaliżowany. Przechodnie, którzy widząc całe zajście, dobiegli na pomoc kobiecie, zaczęli nacierać jej poparzoną twarz śniegiem. Wyła jeszcze głośniej. Jan W. dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, co się stało. Ludzie wymyślali mu od bandytów, morderców... Ktoś zaczął go szarpać, ktoś okładać teczką czy torebką. Opędzał się przed razami, jak przed rojem os. W końcu wyrwał się z kręgu gapiów i oddalił w kierunku autobusu. Nikt go nie gonił, a i on nie szedł zbyt szybko. Po drodze stwierdził ze zdumieniem, że ma wypalony rękaw kurtki. Obejrzał też dłoń — cała była spuchnięta i piekła coraz bardziej. Mimo to, nie zatrzymywał się. Chciał jak najszybciej dostać się do wojewódzkiej komendy MO i tam oddać w ręce sprawiedliwości. Nie zdążył jednak wsiąść do autobusu, gdyż przed przystankiem drogę zajechał mu milicyjny radiowóz. Jakikolwiek opór był w tej sytuacji bezcelowy, Zresztą Jan W. wcale nie zamierzał go stawiać.

2.

Ma 38 lat. Jest niski, szczupły, krótko obcięty. Przy powitaniu uśmiecha się niepewnie. Pokazuje na dłoni dużą bliznę.

— *To właśnie wtedy...* — mówi. — *Pan wie. Ślad na całe życie. Ale trudno. No i dowód, że z tym oblaniem to nie całkiem było tak, jak oni podają. Przecież gdybym od początku to planował, nie poparzyłbym też siebie. Chociaż nie kryłem i nie kryję, że coś chciałem jej zrobić. Dlatego czuję się winnym i powinienem za swój czyn ponieść karę, to znaczy pójść normalnie do więzienia, odsiedzieć, ale potem — normalnie wyjść na wolność i normalnie żyć. A tu...*

Nie wiem, jak długo jeszcze tu wytrzymam. Co ze mną zrobią? Na razie bronię się, tylko że oni nie chcą mnie zrozumieć. Jej wierzą, bo jest kobietą. Mnie nie, bo mężczyzna, to zawsze łobuz, pijak i złodziej. Zawsze gorszy. A to nie tak. Różni są mężczyźni i różne kobiety. Ale czy na przykład takiemu sądowi zależy na poznaniu całej prawdy? Nie, bo to tylko kłopot, bo nie ma czasu. Jak chciałem coś od siebie powiedzieć, sprostować, już — „siadać!", albo „sąd o to nie pytał" W ogóle do głosu dojść nie dali. A wie pan dlaczego jeszcze? Bo by za dużo spraw wyszło na jaw i chyba nie tylko ja sam musiałbym odpowiadać za to, co się stało. Opowiem panu.

I zaczął opowiadać.

3.

Poznali się w hotelu robotniczym. Jakoś tak pod koniec siedemdziesiątego trzeciego. Mieszkali na jednym piętrze, mijali się

6

Adres redakcji:
90 113 Łódź ul Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A Makowski, Zenon J Michalski, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11.
Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz,** tel 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada
Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa Książka Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 1477. D-10.

Przegląd prasy

Zbrodnia w Katyniu na tysiącach oficerów polskich internowanych w Związku Radzieckim została dokonana przez organa NKWD. Fakt ten od dawna nie wymaga żadnych nowych badań i ustaleń. Niepokojące są więc zabiegi polegające na stwarzaniu fałszywego pozoru, że sprawa jest wciąż niejasna. Manewry te obrażają uczucia Polaków — stwierdza Senat Uniwersytetu Warszawskiego w uchwale, którą opublikował tygodnik „ODRODZENIE" (nr 26).

Podstawowa konkluzja Senatu UW znajduje potwierdzenie w dokumencie przedrukowanym przez „TYGODNIK POWSZECHNY" (nr 27). Jest to odpis tajnego raportu Komendy NKWD w Mińsku do Głównej Komendy NKWD w Moskwie. Znalazła go już w 1946 roku w jednej z piwnic Mińska grupa naukowców polskich pod kierownictwem dr Romana Martiniego. Prokurator Martini został niebawem zamordowany w swym krakowskim mieszkaniu, ale nie miało to nic wspólnego — jak pisze w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 28) Józef Bratkó — ze sprawą katyńska. Oto tekst raportu służbowego Zarządu NKWD Obwód Mińsk sporządzonego 10 czerwca 1940 roku (podpisał Tartakow):

„Zgodnie z poleceniem Głównego Zarządu NKWD z 12 lutego 1940 przeprowadzano likwidację trzech polskich obozów jeńców wojennych, a to w obwodach miasta Kozielsk, Ostaszków i Starobielsk. Operacja likwidacji trzech wymienionych obozów została zakończona w dniu 6 czerwca. Odkomenderowany z Centrali towarzysz Burianow został mianowany odpowiedzialnym kierownikiem. Na podstawie wyżej przytoczonego rozkazu w pierwszym rzędzie zlikwidowano obóz Kozielsk. Likwidacji dokonały organa bezpieczeństwa Mińskiego Zarządu NKWD w obwodzie miasta Smoleńsk, w czasie od 1 marca do 3 maja br. W celu zabezpieczenia akcji ściągnięto oddziały wojsk terytorialnych, w części ze 190 pułku ochrony. Zgodnie z podanym rozkazem drugą akcję przeprowadzono w obwodzie miasta Bołogoje. Akcję przeprowadziły organa bezpieczeństwa smoleńskiego zarządu NKWD, zaś zabezpieczały oddziały 129 pułku ochrony (Wielkie Łuki). Akcję zakończono 5 czerwca br. Przeprowadzenie trzeciej akcji likwidacyjnej obozu Starobielsk powierzono charkowskiemu zarządowi NKWD. Likwidacja nastąpiła dnia 2 czerwca w powiecie osiedla Dergarcze, przy ściągnięciu oddziału wojsk jednostki bezpieczeństwa 68 ukraińskiego pułku ochrony. W tym przypadku odpowiedzialne kierownictwo przeprowadzenia tej akcji przekazano pułkownikowi B. Kuczkowowi. Odpis niniejszego raportu przesyła się równocześnie do wiadomości generałów NKWD Rajchmana i Saburina. Kierownik Zarządu NKWD, Obwód Mińsk, (—) Tartakow. Za zgodność: (podpis nieczytelny). Sekretarz oddziału: (podpis nieczytelny)".

Podobno odpis raportu przywiózł ktoś z Niemiec z narażeniem życia. Po raz pierwszy opublikował go wychodzący w Karlsruhe tygodnik „7 Tage" (nr 26 z czerwca 1957 roku). Jeśli mamy do czynienia z prawdziwym dokumentem, a nie falsyfikatem, to masowe groby ok. 10 tys. zaginionych oficerów polskich powinny się znajdować gdzieś w okolicach miejscowości Bołogoje (internowani w Ostaszkowie) i Dergarcze (internowani w Starobielsku).

Wspomniany wyżej dr Roman Martini, którego zabito w 1946 roku, zamierzał udowodnić światu, że to Niemcy dopuścili się masowego mordu na oficerach polskich. Dlatego uzyskał zgodę na przeszukanie grobów w Katyniu (internowani z Kozielska) i poniemieckich archiwów na terenie ZSRR. Wraz z grupą współpracowników badał piwnice Gestapo w Mińsku, Smoleńsku i Charkowie. Szukał śladów po byłych polskich więźniach.

W okresie formowania armii Andersa czekano na powrót 15 tysięcy oficerów internowanych w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Wielokrotnie interweniowano w ich sprawie u najwyższych władz radzieckich. Stalin z uporem twierdził, że wszystkich zwolniono, że widocznie gdzieś uciekli (do Mandżurii), bo rząd radziecki nie ma powodów zatrzymywać ani jednego Polaka. Można o tym przeczytać w materiałach drukowanych na łamach „ŻYCIA LITERACKIEGO" (nr 25). W odpowiedzi na kolejne memorandum polskie Narodnyj Komisariat Inostrannych Diel podał 10 lipca 1942 r. trzy przyczyny zaginięcia oficerów: 1) wyjechali z Polski; 2) uciekli za granicę; 3) zmarli w drodze z obozów. Tylko oprawcy i rozkazodawcy znali straszliwą prawdę o zagładzie elity Wojska Polskiego i elity naszego narodu.

ZAGŁADA WIOSEK WIETNAMSKICH

Na ekranach kin wyświetlano niedawno wstrząsający film amerykański pt. „Pluton", w którym pokazano brutalne traktowanie przez żołnierzy USA ludności wietnamskiej. Znacznie gorsze rzeczy działy się w wioskach My Khe i My Lai. Z uczestnikami tej zbrodniczej operacji rozmawiali Michael Bilton i Kevin Sim. W tygodniku „FORUM" (nr 26) przedrukowano ich artykuł z pisma „The Sunday Times Magazine". Oto opis wydarzeń, które rozegrały się pewnego ranka w marcu 1968 roku.

„Uciekających wieśniaków koszono ogniem z broni maszynowej. Żołnierze szli od chaty do chaty, od tunelu do tunelu, wrzucając do środka granaty i brali na bagnety starców, kobiety i dzieci, gdy tamci próbowali uciekać. Ciężarnym kobietom rozcinano brzuchy i pozostawiano je dogorywające w upalnym słońcu. Całe rodziny, ukryte w skleconych byle jak tunelach, zostały dosłownie wysadzone w powietrze. 11-letnia Vo Thi Lien biegła potem od tunelu do tunelu szukając swojej rodziny. Wcześniej jej babka usiłowała przemówić do żołnierzy amerykańskich, a ci postrzelili ją w pierś, po czym granat rozerwał jej ciało na strzępy. Spośród 97 ofiar w My Khe 33 należały do rodziny Lien. Kobiety i dziewczęta rozbierano, niektóre gwałcono, inne dźgano bagnetami w pochwy.

W My Lai natomiast egzekucję przeprowadzono w uporządkowany sposób. Dokonywało jej głównie kilku żołnierzy z plutonu Calleya, pozostałe dwa plutony nie pozostawały jednak bezczynne. Ludzi mordowano w domach, na ścieżkach i polach ryzowych. Innych zbierano razem i w otoczeniu żołnierzy prowadzono do punktu centralnego. Wiele kobiet z My Lai odarto z szat, zgwałcono lub zmuszono do miłości francuskiej, niektóre gwałcono grupowo, a potem zabijano — strzałami albo bagnetami, które mieli wszyscy żołnierze. Pokryte strzechą chaty, w których odbywały się te zbrodnie, podpalono zapalniczkami".

Masakra w My Khe i My Lai trwała cztery godziny. Zginęli niewinni ludzie. Trupy leżały warstwami. Przebieg rzezi utrwalił fotoreporter armii amerykańskiej Ron Haeberle. Robił zdjęcia do wojskowej gazety „Stars and Stripes". W oficjalnym komunikacie podano, że w wyniku zwycięskiej operacji wyeliminowano 128 żołnierzy Vietcongu. Odrzucono zarzuty, jakoby żołnierze USA zabili od 450 do 500 osób cywilnych.

Ale prawda wyszła na jaw. Wszczęto śledztwo przeciwko 46 osobom z kompanii Charlie. Jednakże przed sądem stanął tylko porucznik William Calley. Ława przysięgłych uznała go winnym 20 zabójstw. Został skazany na dożywocie i ciężkie roboty. Później wyrok zmniejszono do 10 lat, a następnie całkowicie darowano karę. Na polecenie prezydenta Richarda Nixona porucznik Calley miał przebywać w areszcie domowym. W więzieniu nie spędził ani jednego dnia...

CYWILIZACYJNA MIELIZNA CZASU

Zbrodnie ludobójstwa zdarzały się często w różnych epokach i kulturach. W dziejach dotychczasowych cywilizacji postęp jest sprawą dyskusyjną. W ciekawym eseju przedrukowanym w miesięczniku „RES PUBLICA" (nr 12 — cena 1200 zł) historyk brytyjski Arnold Toynbee uświadamia nam mieliznę czasu, na której rodzą się i umierają cywilizacje ludzkie.

„Na skali czasu, odsłanianej obecnie przez geologię i kosmogonię, pięć czy sześć tysięcy lat, jakie upłynęły od pierwszego pojawienia się przedstawicieli tych postaci społeczeństwa ludzkiego, którym przydajemy miano «cywilizacji», jest nieskończenie małym okresem w porównaniu z wiekiem rasy ludzkiej, życia na planecie, życia samej planety, naszego systemu słonecznego, galaktyki, w której jest on jednym ziarenkiem pyłu, czy w życiu ntepomiernie rozleglejszego i starszego całego gwiezdnego kosmosu. W porównaniu z tymi rzędami wielkości czasowych cywilizacje, jakie pojawiły się w drugim tysiącleciu przed naszą erą (jak grecko-rzymska), w czwartym tysiącleciu przed naszą erą (jak cywilizacja starożytnego Egiptu) i w pierwszym tysiącleciu ery chrześcijańskiej (jak nasza), były w istocie współczesne. (...).

Większość spośród listy znanych nam cywilizacji już upadła, a większość z tej większości dobrnęła do końca biegnącej w dół ścieżki kończącej się rozkładem. Nasze prowadzone post mortem badania nad martwymi cywilizacjami nie pozwalają nam na stawianie horoskopów naszej własnej cywilizacji bądź jakiejkolwiek innej spośród cywilizacji jeszcze istniejących".

Arnold Toynbee wyróżnia dwie koncepcje biegu dziejów ludzkich: grecko-hiduską oraz żydowsko-zoroastriańską. Pierwsza ma charakter cykliczny, a druga linearny. Być może oba poglądy nie są ze sobą sprzeczne. Gdyby jakiś kierowca wyznaczył całą trasę historii, to pojazd musiałby nieść monotonnie obracające się koła poszczególnych cywilizacji.

KIM BYŁ JÓZEF PIŁSUDSKI?

Na to pytanie Zygmunt Walter-Janke odpowiada, że pierwszy Marszałek Niepodległej Polski był socjalistą. W miesięczniku „CHRZEŚCIJANIN W ŚWIECIE" (nr 11) autor pisze między innymi:

„Jeżeli już w 1884 roku zadeklarował się jako socjalista i przez ćwierć wieku z narażeniem życia ofiarnie działał na rzecz idei socjalizmu, to jakaż może być odpowiedź? Oczywiście, wychowany w polskiej kulturze, ceniąc jej wartość jako składnika kultury ogólnoludzkiej nie chciał się jej wyrzec jak Róża Luxemburg, aby utonąć w kulturach obcych, rosyjskiej czy niemieckiej. Polską kulturę uważał za równie wartościową, wartą ochrony i dalszego rozwoju. Był więc socjalistą, ale polskim socjalistą i jako podstawowy etap w rozwoju socjalizmu widział niepodległość Polski. Piłsudski nie był teoretykiem, miał praktyczne, pragmatyczne podejście do życia. Jeśli teoria stała w sprzeczności z warunkami życia, to naginał jej zasady do życiowych konieczności, a nie na odwrót. Kiedy stanął na czele państwa polskiego w 1918 roku, głównym jego zadaniem było utrwalenie fundamentów życia państwowego. Musiał doprowadzić do tego, aby trzy zabory zrosły się w jeden organizm. Nie mógł pójść na eksperymenty społeczne, bo siły odśrodkowe mogły okazać się większe niż wewnętrzna spójnia i uniemożliwić utrzymanie jedności państwo. Trzeba sobie uświadomić, że Wielkopolska niechętnie patrzyła na «czerwony rząd w Warszawie». Powołany przez Naczelnika Państwa rząd Moraczewskiego przecież natychmiast wprowadził w życie główne zasady programu socjalistycznego".

Zygmunt Walter-Janke przypomina, że marszałek Józef Piłsudski nie miał wyższych studiów. W latach 1877—1885 uczył się w gimnazjum rosyjskim w Wilnie, w którym używanie języka polskiego było surowo wzbronione nawet w czasie przerw lekcyjnych. Potem zamierzał studiować w Instytucie Technologicznym, ponieważ interesowała go technika, ale wstąpił na wydział medyczny uniwersytetu w Charkowie. Zaliczył tylko jeden rok studiów medycznych. Zamieszany został bowiem w przygotowanie zamachu na cara Aleksandra III i skazany administracyjnie na pięć lat zsyłki na Syberii.

E. L.

Z kół zbliżonych donoszą...

GDZIE JEST PREZYDENT MIASTA ŁODZI? Otrzymujemy w redakcji liczne pytania. Prezydenta miasta Łodzi odwołano 29 maja 1989 roku i do tej pory nie powołano nowego. Dlaczego? Ma to niewątpliwie związek z faktem, że rząd premiera Mieczysława F. Rakowskiego podał się do dymisji i oczekuje się powołania nowego rządu. Przecież to premier powołuje prezydenta, którego przyjmuje lub odrzuca rada narodowa. Optymiści mówią, że Łódź może mieć nowego prezydenta dopiero w sierpniu, pesymiści, że we wrześniu. Tymczasem rośnie liczba kandydatów. Kilku — wydawałoby się żelaznych, którzy znaleźliby poparcie RNMŁ — odmówiło. Pozostali mają nadzieję, że ich spotka ten zaszczyt i ciężka odpowiedzialność. Na ogół mówi się o dwóch kandydatach, ale nasza wnikliwa penetracja w kołach zbliżonych do RNMŁ ujawniła, że co najmniej 13 osób marzy o tym, że im przypadnie w niedalekiej przyszłości ten zaszczytny urząd. Życzymy powodzenia!

GRATULACJE DLA PRACOWNIKÓW ZAKŁADU SIECI CIEPLNEJ W ŁODZI od mieszkańców osiedli na południu Łodzi. Zapowiadano, że mieszkańcy tych osiedli otrzymają ciepłą wodę około 16 lipca 1989 roku, a była już w kranach wieczorem 7 lipca. Jeszcze raz gratulacje!

POJAWIŁA SIĘ PLOTKA, że jedna z firm austriackich zainteresowała się ślimaczącą się budową Centrum Kliniczno-Dydaktycznego AM w Łodzi przy ul. Czechosłowackiej i gotowa byłaby przejąć budowę tego gigantycznego szpitala oraz w ciągu roku zrobić z niego.. hotel. Dla Austriaków byłby to biznes, dla nas — nawet jeśli wiadomość nie jest prawdziwa — wstyd, że nie potrafimy szybko i sprawnie budować.

ANDRZEJ BRYCHT kończy już (w następnym numerze) na łamach „Odgłosów" druk drugiej części swojej książki „Azyl polityczny". Powstaje część trzecia. Czy będziemy ją drukowali? Trudno powiedzieć. Jeśli nawet — to po pewnym czasie. Andrzej Brycht ostatnio przebywał we Wrocławiu, gdzie miał liczne spotkania autorskie. Jak dowiedzieliśmy się, we Wrocławiu zaproponowano mu osiedlenie się na stałe, oferując wygodne mieszkanie. Andrzej Brycht zastanawia się, czy przyjąć propozycję. A gdyby tak łódzkie władze od kultury wpadły na podobny pomysł? Może mając do wyboru między Łodzią a Wrocławiem wybrałby właśnie Łódź?

ADAM OCHOCKI ma w tym roku dobrą passę. Wydał tłumaczenie humoresek Awerczenki „Pies łańcuchowy", rozeszły się jego wspomnienia z łagrów i więzień „Raz, dwa wziali". Do „Res Humany" napłynęły do tej pory zamówienia na drugie wydanie w ilości 40 tysięcy egzemplarzy. Jesienią ma się też ukazać tom wspomnień dziennikarskich pt. „Erica zdradza tajemnice". Wiemy, że na tym Adam Ochocki nie poprzestaje.

KILKA DNI TEMU zdarzyła się w Łodzi awaria urządzeń elektrycznych. Wśród budynków pozbawionych dopływu prądu był również Szpital im. Jonschera przy ul. Milionowej. Awaria nastąpiła przed godz. 23, a została usunięta o godz. 23.45. Szpital im. Jonschera miał tego dnia ostry dyżur. Dziennikarz informujący o tym wypadku w jednej z łódzkich gazet nie uznał za wskazane wyjaśnić Czytelnikom, czy szpital mający ostry dyżur był całkowicie pozbawiony energii elektrycznej, czy też posiada własne urządzenia, które mu tę energię dostarczyły. Otóż, jak nam wyjaśnił naczelny lekarz tego szpitala — dr Bogusław Tyszko — szpital posiada urządzenia, które pozwoliły na zasilanie urządzeń w sali operacyjnej, intensywnej terapii, na oświetlenie izby przyjęć, działała nawet jedna z wind. Nikomu więc z pacjentów nic się złego nie stało z powodu awarii sieci elektrycznej. To chyba ważna wiadomość?

POCIĄG TOWAROWY wypełniony węglem relacji Knurów — Dolna Odra najechał na stado liczące 100 krów i spowodował masakrę 60 krów. Niedawno dowiedzieliśmy się, że samolot Mig 23 przeleciał samotnie około 900 km i rozbił się w Belgii. Pilot katapultował się na skutek awarii silnika. Czy pociąg z węglem relacji Knurów — Dolna Odra jechał bez maszynisty i jego pomocnika? A jeśli byli w lokomotywie, to co robili, że nie zauważyli stada liczącego 100 krów, które stoi na torach kolejowych? I co na to prokurator? Tego wszystkiego w prasowej informacji zabrakło.

Zebrała i spisała: BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— W niedzielę rano pojechał do żony na wieś, około 100 kilometrów od Łodzi. Teściowie wraz ze swą drugą córką powitali go widłami i łopatami. Szwagier żony oddał dwa strzały z broni myśliwskiej — druga część reportażu PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.

— Na skraju chodnika leżały zwłoki dwóch mężczyzn. Twarze mieli przykryte gazetami. Ludzie obojętnie mijali martwych. Na mnie sprawiło to przygnębiające wrażenie — wspomina znany aktor WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS.

— Wśród Żydów w kierownictwie partii byli nie tylko oponenci Stalina — Lew Trocki (Bronstein), Lew Kamieniew (Rosenfeld) i Grigorij Zinowiew (Radomyślski), czy też pochodzący z Polski Karol Radek (Sobelson), ale także „jego ludzie", wśród nich przede wszystkim Łazar Kaganowicz — pisze RYSZARD BADOWSKI.

— Jurij Andropow musiał wiedzieć o panowaniu mafii w Uzbekistanie, ale bał się o tym mówić — twierdzi WŁADIMIR SIEMICZASTNYJ, szef KGB w latach 1961—1967.

— Któż zabroni spółdzielni mieszkaniowej okradania lokatorów zgodnie z prawem? Czy można wygrać ze spółdzielnią mieszkaniową? — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO pt. „Zamiana".

— Wystawanie pod Biurem Zakwaterowań jest zabronione. Za nieprzestrzeganie zakazu grozi kolegium, ale „wyłapywacze" traktują to jako ryzyko zawodowe — relacja AGNIESZKI FORNAL i MAGDALENY GROCHOWALSKIEJ, którą powinni przeczytać wybierający się na urlop w rejon Zatoki Gdańskiej.

— Pochód formował się pod kościołem, a msza była jego częścią, zrozumiałe więc, że poczty sztandarowe też szły do kościoła. A kiedy zapadła decyzja, że mają do kościoła nie wchodzić, zatrzymywały się przed kościołem. Przyznam, że głupio to wyglądało — wspomina LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

— Pyszałkowata nazwa Międzynarodowy Dworzec Łódź-Chojny tak się ma do smętnej rzeczywistości chojeńskiego przystanku PKP, jak hotel „Victoria" do konstrukcji wiejskiego wychodka — pisze MAREK KOPROWSKI.

— Skrajne postawy wobec życia seksualnego, jak prostytucja i celibat, oznaczają przekroczenie właściwej miary — artykuł MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.

W społeczeństwie polskim największe szanse ma nowa partia socjalistyczna i trzecia droga ustrojowa: między liberalnym kapitalizmem a totalitarnym socjalizmem.

Jaka może być przyszłość Polski?

EDMUND LEWANDOWSKI

Collage: Grzegorz Gałasiński

Przewidywanie biegu wydarzeń społecznych jest sprawą niemal beznadziejną. Nie potrafimy nawet określić liczby zmiennych i niewiadomych. Przesłanki każdej ekstrapolacji są niewystarczające. Nie mamy pełnej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości. Nie jesteśmy w stanie wyliczyć wypadkowej jednostkowych i grupowych wektorów działań ludzkich.

Nie ulega jednak wątpliwości, że politycy muszą odgadywać rozwój wypadków, powinni zawsze liczyć się z różnymi możliwościami. W tych kalkulacjach trzeba uwzględniać uwarunkowania i działania wszystkich znaczących sił. Każda polityka jest próbą świadomego kształtowania procesów społecznych; jest dążeniem do kierowania historią według własnych interesów, wartości, ideałów. Wobec tego przewidywanie skutków jest faktycznie ich współtworzeniem.

Wszystkie ugrupowania społeczne i polityczne w Polsce nie mogą ignorować wewnętrznej sytuacji gospodarczej. Dopiero w ubiegłym roku poziom wytworzonego dochodu narodowego przybliżył się do poziomu sprzed dziesięciu lat, natomiast poziom dochodu podzielonego był nadal niższy o 6 procent. W przeliczeniu na jednego mieszkańca Polski podzielony dochód narodowy był w 1988 roku niższy o 13 proc. niż w 1978 roku. Do tego należy dodać zadłużenie zagraniczne w wysokości 38,9 mld dolarów oraz 6,8 mld rubli, zdekapitalizowany majątek produkcyjny, rosnącą lukę technologiczną, opóźnienia w budownictwie mieszkaniowym, zdewastowane środowisko naturalne, zaniedbania w oświacie, kulturze i ochronie zdrowia, emigrację ludzi przedsiębiorczych, niepewną sytuację polityczną i rynkową, nastroje pesymizmu i apatii, prywatyzację życia społecznego, zablokowanie kanałów ruchliwości międzygeneracyjnej, wzrost zachowań ekstremistycznych młodzieży.

Główne podmioty polityczne

Po rozmowach „okrągłego stołu" oraz wyborach do Sejmu i Senatu przede wszystkim liczą się w Polsce cztery zorganizowane podmioty polityczne: Kościół rzymskokatolicki, Niezależny i Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność", Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Wszystkie deklarują dziś dążenie do pluralizmu i demokracji, ale pierwsze trzy mają wyraźne skłonności totalitarne. Kościół rzymskokatolicki zawsze był i jest instytucją absolutystyczną i totalną (totus tuus), w której nie ma miejsca na pluralizm, wolność i równość, lecz obowiązują ztywne ramy dogmatu, hierarchii i dyscypliny. Aktywiści NSZZ „Solidarność" głosili i głoszą, że reprezentują całe społeczeństwo (MY) wobec władzy politycznej (ONI). Partia z kolei niechętnie rezygnuje z pozycji hegemonicznej i obawia się, że szeroka demokracja przeobrazi się w żywioł anarchistyczny, kontrrewolucyjny i antysocjalistyczny.

1. Największym autorytetem moralnym jest niewątpliwie Kościół. Bardzo liczna grupa kapłanów (24 tys. osób) ma duży wpływ na około 80 proc. społeczeństwa polskiego. Raz w tygodniu chodzi do kościoła dwie trzecie młodych małżeństw, w których jedno z małżonków nie ukończyło 30 lat, a drugie 35 lat. Z katechizacji korzysta 95 proc. wszystkich dzieci ze szkół podstawowych, trzy czwarte licealistów i około 60 proc. uczniów zasadniczych szkół zawodowych. Nawet większość członków PZPR wierzy i praktykuje.

W sprawach pozareligijnych oddziaływanie Kościoła jest jednak słabsze, niż można by się spodziewać. Podam trzy znamienne przykłady. W latach 1987—88 katolicy duchowni i świeccy ostro krytykowali podręcznik „Przysposobienie do życia w rodzinie". Zabierali w tej sprawie głos nawet biskupi i prymas. W rezultacie doprowadzono do wycofania podręcznika ze szkół. Ale 55 proc. uczniów ostatnich klas wypowiedziało się za pozostawieniem go w szkołach, tylko 26 proc. za wycofaniem, a reszta nie miała zdania. Charakterystyczne jest też, że wbrew nauce Kościoła około 90 proc. par zawierających związek małżeński zaczyna współżycie seksualne przed ślubem, a 40—50 proc. panien młodych jest już w ciąży. I ostatni (najważniejszy) przykład. W pierwszej turze wyborów do Sejmu i Senatu Kościół poniósł prestiżową porażkę polityczną w tych przypadkach, kiedy popierał innych kandydatów niż **„Solidarność" Lecha Wałęsy.** W okręgu wyborczym Warszawa-Żoliborz mecenas **Władysław Siła-Nowicki** uzyskał 21 proc. głosów (Jacek Kuroń — 66 proc.), w okręgu Bytom **Kazimierz Świtoń** zebrał zaledwie 8 proc. głosów (Adam Michnik aż 70 proc.), w okręgu Lublin prof. **Ryszard Bender** zdobył tylko 15 proc. głosów. Popierany stanowczo do Senatu przez Kościół łódzki mec. **Karol Głogowski** otrzymał 15 proc. głosów, zaś **Jerzy Dietl** — 60 proc. i **Cezary Józefiak** 47 proc. głosów.

2. Wybory czerwcowe pokazały, że Lech Wałęsa sprawuje władzę charyzmatyczną. Reprezentowane przez niego ugrupowanie poparło 40 proc. Polaków. „Solidarność" nie może więc wypowiadać się w imieniu większości społeczeństwa. Jest to ruch, który tworzy dopiero struktury organizacyjne i szuka formuły działania. Jego przywódcy nie będą w przyszłości mogli liczyć na bezkrytyczne poparcie.

Zgadzam się z poglądem **Jacka Kurczewskiego,** że „Solidarność" od początku była sojuszem klas średnich: pracowników umysłowych i robotników wykwalifikowanych. Na takim podłożu społecznym wyrastają zwykle charaktery autorytarne. Tego rodzaju ludzie szanują tylko silny autorytet władzy, a gdy wódz zaczyna słabnąć — reagują pogardą i nienawiścią. Są to żywioły dość niebezpieczne, ponieważ łatwo ulegają emocjom, reagują irracjonalnie, szukają samookreślenia w ideologii narodowej. W celu integracji i silnej identyfikacji z całym ruchem potrzebują wroga zewnętrznego. Dotychczas takim wrogiem byli komuniści.

3. Partia formalnie skupia 8 proc. dorosłych Polaków: 12 proc. mężczyzn i 4 proc. kobiet, 26 proc. pracowników umysłowych, 11 proc. robotników i 4 proc. chłopów oraz 2 proc. młodzieży. Udział tej ostatniej wśród ogółu członków i kandydatów PZPR spadł w latach 1970—1986 z 25 proc. do 7 proc., a w przedziale wieku od 18 do 24 lat z 11 proc. do 1 proc. Oznacza to, że partia jest podcięta demograficznie.

Występując w ramach koalicji rządowej partia uzyskała w wyborach do Sejmu i Senatu poparcie około jednej czwartej społeczeństwa. Poszczególni członkowie koalicji skupiali w 1987 roku: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza — 2 149,3 tys. osób, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe — 513,5 tys., Stronnictwo Demokratyczne — 126,9 tys., Stowarzyszenie PAX — 23,1 tys., Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne — 21,1 tys., Polski Związek Katolicko-Społeczny — 8,4 tys. osób. Razem jest to 2 842,3 tys. osób, czyli trzykrotnie więcej niż liczyła w okresie wyborów „Solidarność". Na tej podstawie można było oczekiwać zupełnie innego przebiegu kampanii wyborczej i innych wyników głosowania.

4. Znaczącą siłą społeczno-polityczną w Polsce są również związki zawodowe działające pod firmą OPZZ. Należy do nich 6 241,6 tys. osób. Najwięcej członków mają: Związek Nauczycielstwa Polskiego — 596 tys. osób, Federacja Związków Zawodowych Górników — 505,6 tys. osób, Federacja Związków Zawodowych Pracowników Rolnictwa — 499,7 tys. osób. Startujący z listy krajowej w wyborach do Sejmu **Alfred Miodowicz** uzyskał 42 proc. głosów ważnych. Głosowało na niego 7 mln 171 tys. 454 wyborców (26 proc. uprawnionych). Związki zawodowe zajmują się nie tylko sprawami socjalnymi pracowników. Pod ciśnieniem bazy członkowskiej OPZZ reprezentuje orientację populistyczną. Wyraża interesy zagrożonych postępującą pauperyzacją. Jest to duża zbiorowość gotowa bronić różnych przywilejów zawodowych i socjalnych zdobyczy ustroju socjalistycznego.

Nominalnie rzecz biorąc siłą polityczną o dużym znaczeniu powinien być także Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. W 1987 r. organizacja ta liczyła 1544,6 tys. członków (bez młodzieży zrzeszonej w siłach zbrojnych). Ale w życiu politycznym kraju ZSMP nie odgrywa istotnej roli.

Prawdopodobna ewolucja polityczna

Czego można oczekiwać w życiu politycznym naszego kraju w nadchodzących miesiącach i latach? Przewiduję następujące procesy społeczno-polityczne:

1) Zaostrzy się walka między zwolennikami kapitalizmu i obrońcami socjalizmu. Pierwsi będą domagać się reprywatyzacji większości majątku narodowego, wprowadzenia żywiołowych praw rynku i bezrobocia, ograniczenia konsumpcji zbiorowej. Natomiast drudzy wystąpią w obronie tych elementów socjalizmu, które związane są z poczuciem bezpieczeństwa socjalnego. Orientacja prokapitalistyczna ujawni się przede wszystkim wśród specjalistów z wyższym wykształceniem i wysoko wykwalifikowanych robotników oraz chłopów i drobnych właścicieli w mieście. A postawy prosocjalistyczne nasilą się wśród robotników niewykwalifikowanych, emerytów i rencistów, dużej części pracowników umysłowych i kadry kierowniczej. Na rzecz tendencji prosocjalistycznej zacznie działać wzrost nierówności społecznych, powstanie skrajnych biegunów ubóstwa i bogactwa.

2) W sporze między zwolennikami socjalizmu i kapitalizmu większość społeczeństwa opowie się za drogą pośrednią. Trzecią koncepcję ustrojową wybierze również ekipa rządząca i przez to zdobędzie poparcie członków Kościoła, „Solidarności", partii i związków należących do OPZZ. Uzasadnieniem ideologicznym pośredniej, trzeciej drogi rozwojowej stanie się doktryna społeczna Kościoła oraz programy „Solidarności" i partii.

3) Powstanie wiele rozmaitych partii politycznych, które będą zabiegać o członków, wypracowywać programy działania i walczyć ze sobą. Nie zdobędą one jednak zbyt dużego poparcia społecznego. Większość ludności zajmie się codzienną walką o byt i zacznie dystansować się od polityki. Na dalszy plan zejdzie problem antykomunizmu.

4) Zwycięstwo wyborcze „Solidarności" spowoduje gwałtowny wzrost liczebny związku. Ale bardzo szybko pojawią się w tej organizacji procesy dezintegracyjne. Dojdzie do ostrych konfliktów między zwolennikami ruchu związkowego a działaczami dążącymi do przekształcenia NSZZ „Solidarność" w partię polityczną. Wielki ruch społeczny podzieli się także na orientację miejską i wiejską oraz proreformatorską i zachowawczą. Czynnikiem rozbijającym „Solidarność" stanie się ponadto wzrost pluralizmu politycznego i sprzeczności międzybranżowych.

5) Kościół rzymskokatolicki uwikła się w konflikty polityczne. W warunkach pluralizmu i demokracji postępować będzie indyferentyzm światopoglądowy, wzrośnie popularność religii wschodnich w środowisku młodzieży, spadnie autorytet księży, zmniejszy się liczba powołań kapłańskich. Intelektualiści zaczną krytykować niektóre elementy doktryny Kościoła i formy organizacyjne tej instytucji. Większość wiernych odczuje wzrost utrzymania Kościoła, dostrzeże wysoki poziom życia duchowieństwa i zacznie buntować się przeciwko wysokim ofiarom pieniężnym.

6) Zmniejszy się liczba członków PZPR, jeszcze bardziej wzrośnie średnia wieku, pogłębi się dezorientacja ideowa. Na szczeblach kierowniczych nastąpi zmiana pokoleniowa. Partia stanie w obliczu rozłamu na zwolenników radykalnej reformy gospodarczej i politycznej oraz przeciwników nadmiernego odchodzenia od tradycyjnego socjalizmu. Nieuchronnie postępować będzie proces socjaldemokratyzacji PZPR, pojawią się żądania zmiany nazwy partii. Rozmaite kluby dyskusyjne wystąpią z własnymi platformami politycznymi. Wzrośnie rola frakcji parlamentarnej PZPR. W potyczkach na forum sejmowym wyłonią się nowi liderzy partyjni.

7) Na margines życia politycznego zepchnięte zostaną na jakiś czas stronnictwa koalicyjne. Zjednoczone Stronnictwo Ludowe będzie ewoluować w kierunku PSL, a Stronnictwo Demokratyczne w kierunku partii liberalnej podobnej do niemieckiej FDP. Oba stronnictwa zacieśnią wzajemną współpracę i zaczną dystansować się wobec PZPR. Duże szanse rozwoju ma odrodzona, autentyczna partia chłopska.

8) Zmniejszy się liczebność związków zawodowych należących do OPZZ, ale równocześnie wzrośnie stopień integracji tego ugrupowania, OPZZ stanie się obok partii głównym obrońcą ustroju socjalistycznego i surowym krytykiem reformatorskich poczynań rządu.

9) Zaczną się niekontrolowane wystąpienia załóg w obronie stopy życiowej i bezpieczeństwa socjalnego. Na tym tle powstanie nowa opozycja przeciwko reformatorom w łonie partii i „Solidarności". W jednym froncie sprzeciwu znajdą się członkowie różnych organizacji: partii, związków zawodowych, „Solidarności" i Kościoła.

10) Pojawi się tęsknota za jakimś silnym przywódcą, który wie co robić i jak wyprowadzić kraj z zamętu. Większość społeczeństwa zgodziłaby się nawet na ograniczenie uprawnień związkowych i demokracji politycznej, byleby tylko mogła spokojnie pracować i sensownie dorabiać się.

Pojęcie opozycji politycznej

W obecnej sytuacji niełatwo zdefiniować i społecznie umiejscowić opozycję polityczną. Albowiem ani partia, ani „Solidarność" nie mają wyraźnej tożsamości. Można metaforycznie stwierdzić, że kierownictwo partii przesunęło się na prawo, zaś kierownictwo „Solidarności" na lewo. W ten sposób obie organizacje znalazły się bliżej środka. To przesunięcie nie dotyczy jednak całych organizacji, lecz jakichś ich części, które trudno dziś oszacować.

Jeszcze nie tak dawno opozycja oznaczała ruch antypartyjny i antysocjalistyczny. Ale faktycznie chodziło o inną jakościowo partię i inny kształt socjalizmu. W polityce PZPR znajduje się obecnie wiele elementów programowych „Solidarności". Partia opowiada się dziś za ustrojem, który mało ma wspólnego z tzw. realnym socjalizmem i stanowi zaprzeczenie systemu stalinowskiego. W pewnym sensie PZPR przechodzi do opozycji wobec samej siebie sprzed lat. Tradycyjny antykomunista nie może już negować całej partii, ponieważ sama partia odrzuca tradycyjny komunizm.

Pojęcie opozycji praktycznie wyjaśni się w nowym parlamencie. Na razie nie wiemy, jaką politykę będą popierały poszczególne frakcje i kto będzie rzeczywiście sprawował władzę. Przy dobrej woli i odpowiednim poparciu wszystkich stron parlament może okazać się przedłużeniem „okrągłego stołu".

Na pewno opozycją dla partii są ci, którzy dążą do odsunięcia jej od władzy, wyeliminowania z życia politycznego i całkowitego zniszczenia. W skład opozycji zaliczamy także przeciwników programu partii. Ale dotychczasowy program jest już przestarzały, a nowego PZPR jeszcze nie ma.

Możliwości współpracy i konfliktów

W ostatnich badaniach socjologicznych stwierdzano wyraźne przesunięcie nastrojów politycznych w kierunku centrum i milczącej mniejszości. W latach 1984—1988 udział zwolenników panującego ładu politycznego zmalał z 26 proc. do 20 proc., udział przeciwników zmniejszył się z 23 proc. do 16 proc., udział centrum wzrósł z 30 proc. do 38 proc., a udział milczącej mniejszości zwiększył się z 21 proc. do 26 proc. Z badań krakowskich wynika, że jesienią 1988 r. aprobowało rzeczywistość społeczno-polityczną 15 proc. Polaków, krytycznie ustosunkowanych było 38 proc., a 47 proc. zajmowało postawę neutralną. Nie lekceważyłbym dziś tych ustaleń.

Jeśli coraz bardziej zaznacza w Polsce swą obecność nowa klasa średnia i dominują pośrednie nastroje, stwarza to szansę dla trzeciej drogi ustrojowej między liberalnym kapitalizmem a totalitarnym socjalizmem. Na takiej platformie programowej mogą współpracować wszystkie główne podmioty polityczne. Za współpracą w duchu okrągłego stołu opowiada się większość społeczeństwa. Skrzydła ekstremalne nie mogą liczyć na masowe poparcie. W marcu 1988 r. **Leszek Nowak** pisał:

„Dziś dialektyka postępu jest taka, że kto występuje w interesie społeczeństwa obywatelskiego, winien nie tylko żądać ustępstw od władzy, ale i baczyć, by ustępstwa nie poszły za daleko. Leży w interesie nas wszystkich, by komuniści pozostali składową władzy. Kto traktuje to jako konieczność doraźną na drodze do demokracji, ten nie rozumie mechanizmu postępu, który — jak można przypuszczać — doprowadził nasz kraj do miejsca, gdzie dziś się znajdujemy. (...) Czynnikiem nadziei jest uparte dążenie najsilniejszej niezależnej elity politycznej, skupionej dziś wokół Lecha Wałęsy a wspieranej powagą Kościoła, do kompromisu. Dążenie, wyrastające ze zrozumienia, że »nam wygrać nie wolno«, że dziś należy drugą stronę raczej wesprzeć niż terroryzować dalszymi strajkami. To chyba pierwsza elita ruchu rewolucyjnego, która świadomie odtrąca swe zwycięstwo. Do czynników nadziei należy także zaskakująco wielka odwaga cywilna i rozum polityczny elity obecnie rządzącej, która potrafiła zrezygnować z polityki stanu wojennego, kiedy ta okazała się dysfunkcjonalna, i podjąć politykę porozumienia".

Współpraca partii i „Solidarności" w ramach wielkiej koalicji parlamentarnej bądź nawet koalicji rządowej wymaga odpowiedniej podstawy ideologicznej. Partia musi dziś ocenić od nowa wydarzenia sierpniowe i stan wojenny. Pisałem o tym niedawno w „Odgłosach" (nr 25). Stan wojenny powstrzymał rewolucję niezdolną do samoograniczenia, ochronił kraj przed katastrofą wojny domowej, lecz nie mógł cofnąć Polski do stanu przedrewolucyjnego. Na uwagę zasługuje następujący pogląd **Leszka Nowaka:**

„Stan wojenny był więc rzeczywiście konieczny, i to z naszych, wewnętrznych przyczyn. Tak samo, jak konieczne były fale strajkowe w 1988. I nie najlepsze intencje elit politycznych, ale oni, prości ludzie, umożliwili zmiany rzeczywiste. W szczególności uczynili możliwym zwycięstwo skrzydła reformistycznego we władzy nad własnym aparatem".

Nie jest przypadkiem, że partia i „Solidarność" mają ten sam kolor czerwony. Nie jest przypadkiem, że „okrągły stół" był dziełem reformatorów partyjnych i dysydentów partyjnych. Oba ugrupowania łączą przecież ideały socjalistyczne i takie wartości rewolucyjne jak sprawiedliwość, równość, wolność, prawda, godność. Nie jest wreszcie przypadkiem, że do grupy reformatorów i dysydentów partyjnych dołączyli wyznawcy komunistycznych zasad ewangelickich. Ta wielka koalicja napotka z pewnością na opory znacznej części zdezorientowanych mas, ale może i powinna pozyskać te masy.

Trudno oczekiwać bezkonfliktowej współpracy. Reformy muszą natrafić na poważne przeszkody. Nie wszyscy na nich zyskają. Będą pojawiać się protesty, nieporozumienia, reakcje żywiołowe. Nieraz trzeba będzie przeciwstawiać się woli rozgoryczonej większości. Bardzo niska frekwencja w drugiej turze wyborów wskazuje, że ludzie nie mają ochoty trwale działać politycznie — pragną, żeby ktoś inny rządził, ale dobrze. Rozgoryczeni i zmęczeni polityką są szczególnie członkowie partii.

Szanse partii i socjalizmu

Renesans konserwatyzmu w wielu krajach jest, moim zdaniem, zjawiskiem przejściowym. Ewolucja prosocjalistyczna jest chyba procesem nieuchronnym. Komuniści poszli jednak za daleko i muszą się wycofać. Historia przyznała rację socjalistom i socjaldemokratom. Komunizm jako skrajny nurt w ruchu robotniczym skompromitował się ostatecznie: moralnie i ekonomicznie. Pod kierownictwem Józefa Stalina bolszewicy wskrzesili system niewolnictwa. Był to ludobójczy reżim totalitarny podobny do faszystowskiego.

Po wszystkich złych doświadczeniach i wynikach wyborów do parlamentu niektórzy członkowie PZPR pogodzili się już z przegraną. Ale partia ma większe szanse obrony niż pozorpie się wydaje. Powinna tylko stanowczo odciąć się od tradycji totalitarnych i przekształcić w nową partię, w Polski Ruch Socjalistyczny. Straci przy tym część dotychczasowych członków, lecz zyska innych ludzi. Do nowej partii socjalistycznej przystąpi wielu dzisiejszych działaczy Kościoła i „Solidarności".

Polski Ruch Socjalistyczny powinien reprezentować ludzi utrzymujących się z własnej pracy, czyli robotników i pracowników umysłowych. Baza społeczna PRS byłaby podobna do bazy klasowej PZPR. Obecnie jednak nadreprezentowani są pracownicy umysłowi, a zbyt mały jest udział robotników.

Zakładam tu, że większość społeczeństwa polskiego opowiada się za jakoś pojętym ustrojem socjalistycznym. W naszej przestrzeni politycznej jest wyraźne miejsce dla partii socjalistycznej. Jeśli tej pustki nie wypełni przekształcona PZPR, to powstanie inna partia socjalistyczna, która odbierze partii członków i doprowadzi ją do upadku.

ze str. 1

dłami. Oficerowie nosili czarne wypustki na mankietach od kurtek, lekarze mieli wypustki wiśniowe, a służba intendencka — szafirowe. Na lotniskach noszono berety, wiatrówki i spodnie ze ściągaczami w kostkach. Używano też różnego rodzaju kombinezonów. Piloci mieli prawo do noszenia kurtek skórzanych — takich, jakie noszono w broni pancernej.

Polskie lotnictwo wojskowe podzielono na dwie nierówne części: jedna trzecia pozostała do dyspozycji Wodza Naczelnego — którym był marszałek **Edward Rydz-Śmigły,** dwie trzecie — do dyspozycji dowódców armii. Wódz Naczelny miał w swojej dyspozycji Brygadę bombową, która składała się z 4 eskadr latających na P-37 Łoś i 5 eskadr latających na lekkich bombowcach P-23 Karaś. W **Gdyni** był morski dywizjon lotniczy.

W całym kraju rozlokowano 800 posterunków obserwacyjnych, które obserwowały niebo i meldowały o zauważonych samolotach do 17 zbiornic okręgowych, te meldowały o otrzymanych sygnałach centralnej zbiornicy. Sygnały przekazane centralnej zbiornicy docierały do dowódcy Brygady pościgowej.

Polskie samoloty bojowe

zdecydowanie ustępowały samolotom, którymi dysponowała Luftwaffe. Przeciw Polsce skierowano dwie floty powietrzne: 1 Flotę powietrzną gen. **Alberta Kesselringa,** która była rozlokowana w 31 bazach na Pomorzu Zachodnim i w Prusach Wschodnich i 4 Flotę powietrzną gen. **Aleksandra Löhra** rozlokowaną w 27 bazach na Dolnym Śląsku i w Słowacji. Łącznie obie floty dysponowały 2033 samolotami, w tym 1176 bombowcami (76 procent bombowców Luftwaffe). Po 10 września 1939 roku skierowano przeciw Polsce 53 i 55 pułk lotniczy z 3 Floty powietrznej.

Stosunek samolotów Luftwaffe i polskich sił powietrznych wynosił 5:1, stosunek myśliwców: 3:1. Ale polskie lotnictwo wojskowe ustępowało Luftwaffe nie tylko pod względem ilości samolotów. Również pod względem ich jakości, jak też i pod względem obowiązującej taktyki. W Polsce uważano, że głównym zadaniem lotnictwa jest prowadzenie rozpoznania oraz zwalczanie powietrznych i naziemnych sił przeciwnika. W taktyce Luftwaffe uwzględniano również możliwość uderzenia na zaplecze przeciwnika. Luftwaffe miało do tego niezbędne siły i — jak wiemy — skorzystało z nich w pełni.

Czym dysponowało nasze lotnictwo bojowe?

Dywizjony myśliwskie dysponowały dwoma typami samolotów: P-7 powstałym w 1931 roku i P-11c z 1935 roku. P-7 miał prędkość 290 km na godzinę, osiągał pułap 10 km, miał zasięg 500 km i uzbrojony był w 2 km kalibru 7,7 mm. P-11c miał prędkość 390 km na godzinę, pułap 11 km, zasięg 650 km i 4 kaemy. Samoloty te były w stanie zagrozić niemieckim samolotom obserwacyjnym: Hs 123 A i Hs 126 A, które osiągały prędkość 330 i 350 km na godzinę i bardzo często padały ofiarami naszych myśliwców. Natomiast wszystkie bombowce Luftwaffe skutecznie uciekały przed pościgiem polskich myśliwców. Do-17Z rozwijał szybkość 410 km na godzinę, Do-17P — 435, He-111H — 430 km, Ju-86E — 385 km na godzinę. Myśliwce Luftwaffe rozwijały szybkość od 520 do 570 km na godzinę i były lepiej uzbrojone. Me-109E miał prękość 570 km na godzinę, zasięg 660 km i uzbrojony był w 4 kaemy; Me-109D rozwijał szybkość 520 km na godzinę, miał zasięg 700 km i był uzbrojony w 2 kaemy i jedno działko; Me-110C z dwuosobową załogą rozwijał szybkość 510 km na godzinę, miał zasięg 1 300 km i był uzbrojony w 5 kaemów i 2 działka. Wszystkie one osiągały pułap 10 km.

Czym dysponowała Armia „Łódź"?

W sztabie gen. **Juliusza Rómmla** — który był dowódcą Armi „Łódź" — lotnictwem dowodził płk pil. **Wacław Iwaszkiewicz.** Miał on do swojej dyspozycji 49 samolotów. Pod jego rozkazami znalazły się 31 sierpnia 1939 r.: **161 Eskadra myśliwska** z 12 samolotami P-11c, **162 Eskadra myśliwska** z 10 P-7, **32 Eskadra rozpoznawcza** z 10 samolotami P-23 Karaś, **63 Eskadra obserwacyjna** z 7 samolotami RWD-14 Czapla, **66 Eskadra obserwacyjna** z 7 samolotami R-XIII Lublin i **10 pluton łączności** z 3 samolotami RWD-8. Razem: 49 samolotów różnych typów, z których w połowie lat trzydziestych nowoczesnymi były „pezetelki" P-11c. Teraz — we wrześniu 1939 roku — ustępowały samolotom Luftwaffe, ale mimo tego starały się skutecznie im przeciwstawiać i odnosiły sukcesy.

Przedstawmy teraz poszczególne eskadry, które weszły w skład Armii „Łódź".

161 ESKADRA MYŚLIWSKA

Każda eskadra przedwojennego lotnictwa, co było też stosowane w eskadrach polskich na obczyźnie, miała swoje godło. Dla 161 Eskadry myśliwskiej projektowano godło: Indyk. Jej miejscem postoju było lotnisko **Skniłów we Lwowie.** Eskadrę postawiono w stan gotowości bojowej 25 sierpnia 1939 roku. Następnego dnia ruszył ze Lwowa do stacji **Lublinek pod Łodzią** rzut kołowy, którym dowodził ppor. **Kazimierz Dereń.** 31 sierpnia 1939 roku rzut powietrzny przeleciał na lotnisko alarmowe **Basiówka koło Lwowa.** Z Basiówki — lotnisko polowe w **Widzewie-Ksawerowie.** Miało ono dwa pola zlotów: na Łódź i Pabianice. Lotnisko i samoloty zamaskowano stertami zboża. Pobliski rów służyć miał jako rów przeciwodłamkowy.

Obie eskadry należały do **III/6 Dywizjonu lotniczego,** którym dowodził mjr pil. **Stanisław Morawski,** oficerem taktyczno-operacyjnym dywizjonu był por. pil. **Tadeusz Jeziorowski,** oficerem technicznym dywizjonu — ppor tech. **Władysław Gandor,** lekarzem dywizjonu — por. lek. **Stanisław Pokrzywicki.**

32 ESKADRA ROZPOZNAWCZA

Jej godłem była biała gwiazda w zielonym kwadracie. Zmobilizowana została już w marcu. 1939 roku. Należała do **3 Pułku Lotniczego** i stacjonowała na lotnisku **Ławica.** W nocy z 26 na 27 sierpnia 1939 roku odjechał do **Lublinka** rzut kołowy pod dowództwem ppor. **Teodora Dachowskiego.** 31 sierpnia na lotnisku w **Lublinku** zameldował się rzut powietrzny 32 Eskadry rozpoznawczej. Skierowany został na lotnisko w **Sokolnikach koło Ozorkowa,** które to lotnisko było przygotowane dla francuskich bombowców.

32 Eskadrą rozpoznawczą dowodził kpt. obs. **Mieczysław Ryszkiewicz.** Oficerem taktyczno-operacyjnym był por. obs. **Bronisława Wojciechowicz,** lekarzem — kpr. podch. lek. **Szczyrski,** szefem mechaników — **Józef Szałaga,** szefem administracji — st. sierżant **Feliks Słociński.** Ppor. **Teodor Dachowski** był oficerem technicznym.

Obserwatorami w 32 Eskadrze rozpoznawczej byli: porucznicy: **Karol Gębik, Wiktor Jankowiak, Bogdan Ławreńczuk, Edward Maliszewski, Alfons Nowak;** podporucznicy **Jan Bruski, Ludwik Dembek, Sylwester Jerzy Godlewski, Józef Kuliński;** podchorążowie **Adam Kandziora, Juliusz Józef Szabuniewicz i Czesław Maślankiewicz.**

Samoloty P-23 Karaś pilotowali: por. **Tomasz Szymoński,** ppor. **Eugeniusz Ebenrytter;** podchorąży **Stanisław Marcisz;** sierż. **Wojciech Gintrowski;** plutonowi **Czesław Kruszewski** i **Henryk Trybulec;** kaprale **Edward Kościelny, Stanisław Kowalczyk, Henryk Rejak, Bolesław Szczepański, Tadeusz Westfal.**

Samoloty P-23 miały trzyosobową obsługę: pilota, obserwatora i strzelca pokładowego. Strzelcami w 32 Eskadrze rozpoznawczej byli: kaprale **Andrzej Bylebył, Henryk Dubisz, Henryk Dębicki, Kazimierz Hadyniak, Jan Macudziński, Marian Mroziński, Józef Nitzke, Kazimierz Tyrakowski, Antoni Walczak.**

63 ESKADRA OBSERWACYJNA

Jej godłem był komar na tle białego koła z czerwoną obwódką. Miejscem postoju było lotnisko **Skniłów we Lwowie.** 26 sierpnia 1939 roku rzut kołowy pod dowództwem por. obs. **Antoniego Barańskiego** udał się do stacji **Lublinek.** 31 sierpnia 1939 roku w **Lublinku** wylądowały RWD-13 Czaple dwu plutonów 63 Eskadry obserwacyjnej. Pierwszy pluton skierowany został do dyspozycji dowódcy GO „Piotrków" — gen. **Wiktora Thomm'e.** Drugi pluton — do dyspozycji dowódcy Armii „Łódź". Pierwszy pluton pod dowództwem kpt. obs. **Władysława Fedorowicza** wylądował na polowym lotnisku w **Łękinsku,** 25 km na południowy wschód od **Piotrkowa Trybunalskiego.** Drugi pluton pod dowództwem kpt. obs. **Jerzego Wolfa** wylądował na polowym lotnisku w **Bechcicach,** 3 km na północny wschód od **Konstantynowa Łódzkiego.**

W I plutonie 63 Eskadry obserwacyjnej pilotami byli: por. **Tadeusz Marian Ostoja-Sumorok;** kaprale **Antoni Kubas, Stanisław Laskowski, Czesław Menczyk, Ludwik Misiak;** st. szer. **Karol Miczka.**

Obserwatorami: porucznicy **Antoni Henryk Barański, Marian Kaczorowski;** podporucznicy **Roman Stanisław Chmiel** i **Zygmunt Wesołowski.**

W drugim plutonie 63 Eskadry obserwacyjnej pilotami byli: ppor. **Witold Szyszkowski,** sierż. **Jerzy Kaliński;** kaprale **Tadeusz Eckert, Mieczysław Matus, Adam Rymarz;** st. szer. **Jerzy Załuski.**

Obserwatoromi byli: porucznicy **Eugeniusz Weber, Kazimierz Żeberecki;** podporucznicy **Edward Stanisław Langer, Zygmunt Nawratil i Marian Riedl.**

66 ESKADRA OBSERWACYJNA

Miała godło: Kameleon na gałęzi w białym kole z czerwoną obwódką. Miejsce postoju: lotnisko **Skniłów we Lwowie.** W nocy 26 sierpnia 1939 roku rzut kołowy udał się do **Lublinka,** dowodził nim por. pil. **Alfred Bauman.** 31 sierpnia 1939 roku w Lublinku wylądowały samoloty 66 Eskadry obserwacyjnej. Dowódcą eskadry był kpt. obs. **Albert Kubieniec.** Otrzymał on rozkaz, aby 1 pluton pod dowództwem kpt. obs. **Jana Krzysztoforskiego** przekazać do dyspozycji dowódcy 10 Dywizji Piechoty. Pluton wylądował na lotnisku Męcka Wola koło Kalisza.

Pilotami w tym plutonie byli: por. **Alfred Bauman,** sierż. **Stanisław Biesiadowski;** kaprale **Michał Omielaszko i Stanisław Przesławski.**

Obserwatorami: porucznik **Wacław Włosiński,** podporucznicy **Aleksander Jastrzębski** i **Marian Łotecki.**

Drugi pluton 66 Eskadry obserwacyjnej przydzielono do dyspozycji dowódcy Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Wylądował on na polowym lotnisku **Łemków koło Wielunia.**

Pilotami w II plutonie 66 Eskadry obserwacyjnej byli: ppor. **Jan Nogal,** podchorąży **Ginter Ranoszek,** plutonowy **Józef Kostecki** i kaprale **Stanisław Guzewicz, Kazimierz Lipiec.**

Obserwatorami: porucznicy **Zygmunt Dziadosz, Tadeusz Sokoliński;** porucznicy **Tadeusz Siuzdak i Zygmunt Tepper.**

10 PLUTON ŁĄCZNIKOWY

Sformowany został w **5 Pułku Lotniczym w Lidzie** i skierowany 1 września do **Lublinka.** Dowódcą plutonu był ppor. pil. **Bogdan Arct.** Pluton dysponował 3 samolotami RWD-8. Pilotowali je — poza Bogdanem Arctem — kaprale **Henryk Dukalski i Alfons Knapik.** Pluton lądował w **Małkini** dla nabrania paliwa. W czasie przelotu do Lublinka własne oddziały — co się często zdarzało — zestrzeliły samolot kaprala **Henryka Dukalskiego.** Ranny pilot został przewieziony do szpitala w Łodzi. Pluton łącznikowy był przeznaczony do dyspozycji dowódcy Armii „Łódź".

W ten oto sposób poznaliśmy siły, jakimi dowodził gen. **Juliusz Rómmel.** Poznaliśmy skład Armii „Łódź". Teraz trzeba będzie — zanim przystąpimy do opisu działań wojennych — poznać siły przeciwnika.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Równi orłom

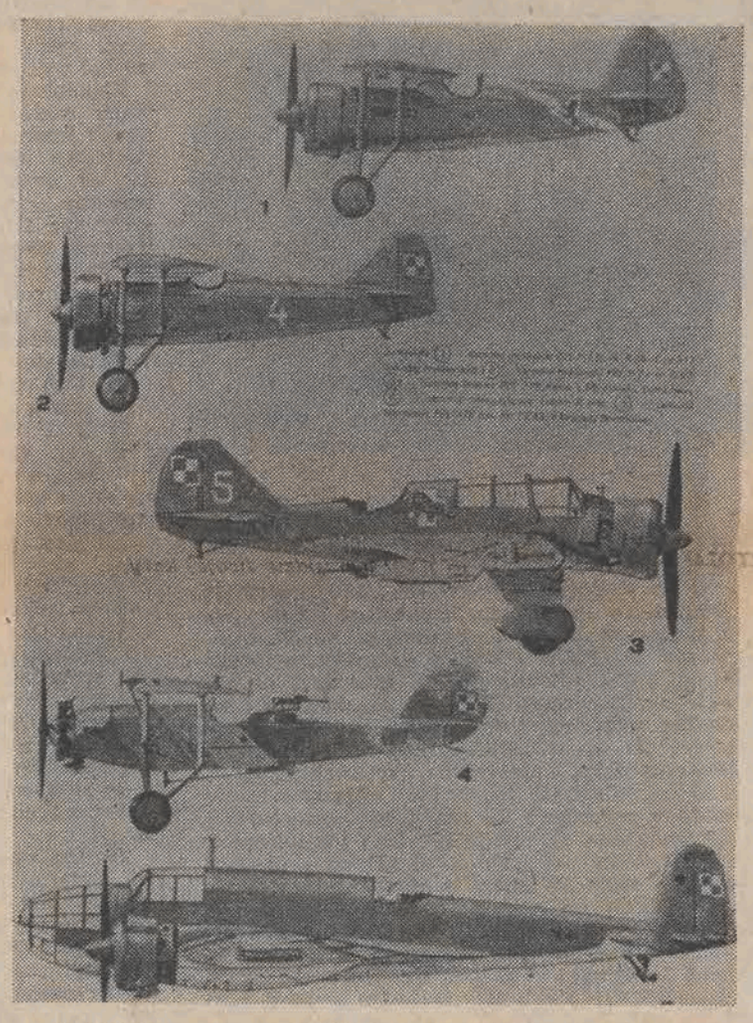

Z tej ziemi.

Początek jest zawsze trudny

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

06.07.1989 r.

1.

Powracam do datowania tekstu, bowiem w tak szybko zmieniającej się rzyczywistości politycznej pewne myśli mogą się szybko dezaktualizować. A tak sprawa jest jasna. Myśl taka czy inna została zanotowana przed powstaniem takiego czy innego faktu, który ją dezaktualizuje.

2.

Oglądaliśmy w telewizji, słuchaliśmy w radiu, czytaliśmy w prasie sprawozdania z tych doniosłych momentów, kiedy odbyła się inauguracja Sejmu i Senatu PRL. Kierowca taksówki, którą jechałem w środę po południu (05.07.1989 r.) pełen był zachwytu.

— *To zupełnie inny Sejm* — mówił. — *Coś się wreszcie dzieje. Nie wszyscy na wszystko się godzą.*

— Niech pan poczeka — powiedziałem — powinno być jeszcze ciekawiej.

Przywykliśmy do posiedzeń Sejmu PRL z góry ustalonych, w czasie których nic nadzwyczajnego nie powinno się wydarzyć. Pierwsze posiedzenie Sejmu X kadencji w niczym tamtych sejmowych posiedzeń nie przypominało. Było sporo zamieszania, bałaganu, kwadransami ciągnęły się przerwy, co wskazuje, że posłowie rwą się do działania, ale doświadczenia im jeszcze nie staje. Nauczą się.

Gorzej jest z Senatem. Tu zupełnie nie mamy odniesień. Po wojnie Senatu nie było, a więc od ostatniej chwili jego istnienia mija właśnie 50 lat. Przestał istnieć we wrześniu 1939 roku. Skąd zatem czerpać wzory? Trzeba je wypracowywać. Tego się uczą i powinniśmy być wyrozumiali, że jeszcze nie potrafią uszanować porządku obrad. Demokracja — wbrew pozorom — wymaga dyscypliny.

3.

Senator Edmund Osmańczyk zwrócił się do senatorów, aby nie używali terminu: senator z województwa takiego czy innego, ale mówili jak niegdyś: — senator ziemi takiej czy takiej. To może i ładne, ale diabelnie nieprecyzyjne, na co usiłował już zwrócić uwagę jeden z senatorów. Podział administracyjny z 1975 roku podzielił historyczne ziemie między nowe województwa i używanie dziś pojęcia historycznego „ziemia" jest prawie niemożliwe. Weźmy dla przykładu Ziemię Łódzką. Historia takiego pojęcia nie zna.

W 1332 Władysław książę łęczycki i dobrzyński zwolnił z wszelkich opłat wsie biskupstwa i kapituły włocławskiej, a wśród nich wieś Łódź i wtedy wieś ta leżała w Ziemi Łęczyckiej. Kiedy w 1423 roku król polski Władysław Jagiełło nadał Łodzi prawo magdeburskie, to w odnośnym dokumencie zostało zapisane:

„...skłaniając się do usilnych próśb wielebnego w Chrystusie ojca, pana Jana, z bożej łaski biskupa włocławskiego nam szczerze miłego, jemu ze wsi jego Łodzi, położonej w ziemi łęczyckiej, miasto lokować pozwoliliśmy i niniejszym pozwalamy, a ją samą w miasto zwane Łodzią przekształcamy...".

W Królestwie Polskim Łódź znalazła się w województwie mazowieckim, w obwodzie łęczyckim. 7 maja 1841 roku — kiedy już od 1837 roku w Królestwie Polskim były gubernie — Łódź otrzymała prawa miasta gubernialnego. Artykuł 1 tego postanowienia brzmiał:

„Miastu fabrycznemu Łódź w guberni mazowieckiej, obwodzie łęczyckim położonemu nadaje się niniejszym prawa i prerogatywy, jakie z mocy postanowienia księcia namiestnika królewskiego z dnia 30 maja 1818 r. służą miastom gubernialnym".

Miała zatem Łódz prawa miasta gubernialnego, ale nie było guberni łódzkiej. Należała Łódź do guberni piotrkowskiej i dopiero 2 sierpnia 1919 roku powstało województwo łódzkie. Decyzję o jego powstaniu Sejm RP zatwierdził 4 października 1919 roku, ale o siedzibę władz wojewódzkich ubiegały się jeszcze Piotrków Trybunalski i Kalisz. Zwyciężyła Łódź i dopiero więc od tego momentu można byłoby mówić o Ziemi Łódzkiej, choć w jej granicach znajdowały się historyczne ziemie: Sieradzka, Łęczycka i Wieluńska.

Po wyzwoleniu Łodzi w 1945 roku, gdy miasto otrzymało prawa województwa, dla odróżnienia tych dwu organizmów administracyjnych coraz częściej używało się pojęcia Ziemia Łódzka. Mamy nawet statek — budowany w Turcji — który otrzymał nazwę: „Ziemia Łódzka". Ale po 1945 roku, gdy województwo łódzkie zmniejszono do mikroskopijnych rozmiarów, pojęcie „Ziemia Łódzka" budzi co najmniej zastrzeżenia.

W różnych okresach historycznych zbyt dowolnie posługujemy się pojęciem „ziemia" w zależności od takich lub innych potrzeb politycznych. Na przykład w lutym 1905 roku wydało odezwę do ludności Koło Okręgowe Narodowej Demokracji na Ziemię Piotrkowsko-Kaliską. Można zatem i dziś tworzyć różne karkołomne kombinacje historyczno-polityczne, ale właściwie po co? Myślę, że byłoby pożyteczniej zająć się stale postulowanym nowym podziałem administracyjnym i nie robić tego pochopnie, już choćby dlatego, że nie mamy na to pieniędzy, ale mamy na to czas, aby się fachowcy z różnych dziedzin solidnie do tego przygotowali.

4.

W „Kurierze Polskim" przeczytałem bardzo interesujący tekst referatu przewodniczącego CK SD — Jerzego Jóźwiaka. Jest to rzecz o koalicji. Autor prezentuje trzy warianty koalicji, w jaką może wchodzić SD. Pierwszy — SD przechodzi do opozycji. Drugi — SD staje się partią „centrum" i nie wchodzi w sposób zorganizowany ani w koalicję z partiami rządowymi, ani z opozycją. Trzeci — pozostaje w dotychczasowej koalicji. Uchwały XIV Kongresu SD zobowiązały SD do pozostania w dotychczasowej koalicji. Aliści SD określa 6 warunków, na jakich koalicja ta może funkcjonować: 1. każdy z partnerów ma prawo prezentować publicznie swoje stanowisko w każdej sprawie; 2. każdy z partnerów ma równe prawa i w tym celu trzeba dokonać zmian w Konstytucji, gdzie zapisana jest nadrzędność PZPR; 3. wszyscy partnerzy koalicji wspierają się wzajemnie i są wobec siebie lojalni; 4. partnerzy szanują tożsamość polityczną innych członków koalicji; 5. ponoszą pełną i równą odpowiedzialność za losy kraju, a zatem nie mogą działać na ograniczonych obszarach; 6. obowiązywać musi zasada reprezentatywności w obsadzie urzędów i stanowisk w kraju.

Trzeba powiedzieć, że SD wyciągnęła właściwe wnioski z przegranych wyborów. Jako ciekawostkę mogę podać, że SD na kampanię wyborczą dysponowało 20 milionami złotych, a Henryk Stokłosa z Piły — 200 milionami złotych. Wracając jednak do wniosków, to SD ma już gotowy zestaw propozycji dla swego klubu poselskiego. Składa się on z 6 punktów i dotyczy zmiany Konstytucji i przygotowania nowych ordynacji wyborczych tak dla wyboru posłów i senatorów, jak i radnych. Jerzy Jóźwiak zaprezentował spójną koncepcję stosunku SD do zachodzących w PRL przeobrażeń politycznych. Zainteresowanych odsyłam do pełnego tekstu referatu, który zamieścił „Kurier Polski" w 128 numerze gazety.

5.

Wydaje mi się, że polityk w ocenie swojej działalności nie może nie liczyć się ze społecznymi odczuciami. Jeśli opinia społeczna wyraża się o jego dokonaniach ujemnie, a on jest z siebie zadowolony, to daje tym tylko złe świadectwo o sobie. To taka ogólna uwaga.

Sierpień 1939 roku: rozmowy w Moskwie z przedstawicielami Wielkiej Brytanii i Francji nie przynosiły rezultatów (2)

Najpierw podpisano układ handlowy

WILNIS SIPOLS

Równocześnie, 3 sierpnia 1939 r., na wytyczną z Berlina Friedriech von Schulenburg złożył wizytę W. Mołotowowi. Na polecenie rządu niemieckiego potwierdził on to, co J. Schnurre powiedział G. Astachowowi. Ambasador oświadczył, iż rząd niemiecki pragnie poprawy stosunków z ZSRR, zaczynając od zawarcia porozumienia gospodarczego, poprawy stosunków na linii prasy i rozwoju stosunków kulturalnych. Winno to służyć stworzeniu przesłanek do poprawy *„stosunków politycznych między Niemcami i ZSRR drogą odnowienia istniejących bądź zawarcia nowych porozumień politycznych"*.

Friedrich von Schulenburg powiedział, iż rząd niemiecki upoważnił go do *„oświadczenia, iż jego* (rządu) *zdaniem, między ZSRR i Niemcami nie ma sprzeczności politycznych. Pakt antykominternowski wcale nie jest wymierzony w ZSRR, lecz w W. Brytanię"*. Niemcy *„nie starają się dodawać bodźca Japonii w jej planach przeciwko ZSRR"*, to znaczy nie zajmują wrogiego Związkowi Radzieckiemu stanowiska na Wschodzie.

„Jeśli zaś idzie o Zachód — kontynuował ambasador niemiecki — *to i tam także nie ma punktów, które wywoływałyby tarcia między Niemcami i ZSRR na całej przestrzeni między morzami Bałtyckim i Czarnym"*. Wskazał on na porozumienia Niemiec z państwami nadbałtyckimi o nieagresji. *„Jeśli zaś idzie o Polskę* — mówi się w zapisie tej rozmowy — *to żądania Niemiec również nie są w sprzeczności z ZSRR. Żądania te zostały przedstawione w przemówieniu Hitlera. Z Rumunią Niemcy dążą do rozwijania dobrych stosunków i nie mają zamiaru naruszania przy tym interesów ZSRR. Ambasador konkluduje, iż biorąc pod uwagę to, co powiedział, istnieją wszelkie możliwości pogodzenia obustronnych interesów"*.

Odpowiadając ambasadorowi ludowy komisarz poruszył sprawę *„paktu antykominternowskiego"*. Podkreślił, iż wokół niego *„wiele nagadano i wiele narobiono takich rzeczy, które muszą mieć negatywne znaczenie w oczach ZSRR. Wiadomo również, że* „pakt antykominternowski" *oraz stosunki Niemiec z Japonią stymulowały bezpośrednią agresję przeciwko ZSRR ze strony Japonii"* Komisarz ludowy zapytał ambasadora, jak pogodzić to z jego oświadczeniem. Ambasador odparł, iż nie ma zamiaru usprawiedliwiania dawnej polityki Niemiec, lecz *„pragnie znaleźć drogę do poprawy stosunków wzajemnych w przyszłości"*.

Komisarz ludowy oświadczył na to: *„Rząd radziecki odnosi się pozytywnie do dążenia rządu niemieckiego do poprawy stosunków W każdym razie rząd radziecki zawsze opowiadał się i opowiada się obecnie za normalizacją i poprawą stosunków z Niemcami oraz z innymi krajami"*.

Ambasador niemiecki przeszedł ponownie do pewnych konkretniejszych zagadnień. *„Niemcy zamierzają* — powiedział — *szanować interesy ZSRR na Morzu Bałtyckim i nie mają zamiarów sprzecznych z ZSRR w krajach bałtyckich. Niemcy nie będą przeszkadzać życiowo ważnym interesom ZSRR w krajach nadbałtyckich. Jeśli zaś idzie o stanowisko niemieckie wobec Polski, to Niemcy nie zamierzają podejmować czegokolwiek sprzecznego z interesami ZSRR"*.

Równocześnie ambasador niemiecki zauważył, robiąc aluzję do rozmów radziecko-brytyjsko-francuskich, iż *„wejście ZSRR do nowej kombinacji mocarstw w Europie... może stworzyć trudności dla poprawy stosunków Niemiec z ZSRR"*. Komisarz ludowy odpowiedział: *„Pozostając wiernym swojej konsekwentnej polityce pokojowej, ZSRR zgodzi się tylko na czysto obronne porozumienia przeciwko agresji. Porozumienie takie będzie działać tylko w przypadku napaści agresora na ZSRR bądź na kraje, do których losów ZSRR nie może odnosić się obojętnie. Inna jest sytuacja Niemiec. Niemcy mają* „pakt antykominternowski", *który Japonia wykorzystywała już niejednokrotnie i wykorzystuje obecnie jako wsparcie dla swojej bezpośredniej agresji przeciwko ZSRR. Niemcy zawarły z Włochami układ wojskowo-polityczny nie tylko w celach obronnych, ale również w celach ofensywnych"*.

Informując Berlin o tej rozmowie, Friedrich von Schulenburg pisał, iż w Moskwie po dawnemu panuje nieufność wobec Niemiec.

Rząd radziecki *„jest pełen gotowości porozumienia się w W. Brytanią i Francją"*. Podkreślał on: *„W każdym słowie i na każdym kroku czuje się wielką nieufność w stosunku do nas. Że tak jest, wiedzieliśmy od dawna. Nieszczęście polega na tym, iż nieufność takich ludzi rodzi się bardzo łatwo, a może być usunięta z wielkim trudem i z czasem"*

4 sierpnia Wiaczesław Mołotow posłał G. Astachowowi telegram, w którym dał następujące odpowiedzi na pytania, jakie poprzedniego dnia postawił mu J. Schnurre:

„1) w pierwszym punkcie uważamy za pożądane kontynuowanie wymiany poglądów na temat poprawy stosunków, o czym powiedziałem Schulenburgowi 3 sierpnia, 2) jeśli idzie o inne punkty, to wiele będzie zależeć od wyników prowadzonych w Berlinie rozmów handlowo-kredytowych". Następnego dnia G. Astachow odpowiedział, iż odbył z J. Schnurre'em rozmowę *„w duchu waszych wskazówek"*.

W liście do I KSZ z 8 sierpnia 1939 r. G. Astachow przedstawił swoje przypuszczenia odnośnie tego, jakie tematy ewentualnych rozmów politycznych mają na uwadze Niemcy. *„Domysły te* — pisał — *poczyniłem na podstawie zarówno bezpośrednich wypowiedzi moich rozmówców, jak też mniej lub bardziej mglistych aluzji, mających jednakże pewne znaczenie dla wskazania intencji"*.

G. Astachow podkreślał, iż według wszelkich oznak podpisanie porozumienia handlowo-kredytowego nie jest za górami, *„jeśli oczywiście, nie nastąpią jakieś niespodzianki, w których Niemcy są takimi mistrzami"*. Oprócz ekonomicznych, Niemcy mieli, jego zdaniem, na uwadze następujące tematy: *„problem* „odnowienia" rappalskiego *„i innych układów politycznych w formie ich zastąpienia nowym układem bądź też w formie przypomnienia o nich w takim czy innym protokole"; problem* „nieagresji" *po linii prasowej; problem propagandy radiowej; usunięcie z ZSRR aresztowanych Niemców; otwarcie chociażby części zamkniętych w ZSRR konsulatów niemieckich; nie sprecyzowana bliżej forma* „porozumienia kulturalnego" *(wymiana książek, utworów muzycznych i innych)"*.

Weryfikując na tych problemach gotowość ZSRR do porozumienia, podkreślano w liście, że Niemcy — sądząc z ich aluzji — chcieliby ewentualnie *„wciągnąć nas w rozmowy o dalej idącym charakterze, dokonując przeglądu wszystkich problemów terytorialno-politycznych, które mogłyby się wyłonić między nami i nimi"*. W związku z tym zdanie o braku sprzeczności *„na całej przestrzeni od Morza Czarnego do Bałtyckiego może być rozumiane jako pragnienie porozumienia się we wszystkich sprawach związanych ze znajdującymi się w tej strefie krajami"*.

Końcowy akapit listu mówił: *„Przedstawiając te wrażenia, rodzące się na podstawie rozmów z Niemcami i innych danych, nawet w najmniejszym stopniu, rzecz jasna, nie zamierzam twierdzić, iż robiąc tego typu aluzje, Niemcy byliby gotowi poważnie i na długo przestrzegać odpowiednich ewentualnych zobowiązań. Myślę tylko, iż w najbliższym czasie uważają oni za rzecz do pomyślenia pójść na określone porozumienie w wyżej przedstawionym duchu, by za tę cenę zneutralizować nas w przypadku ich wojny z Polską. Jeśli zaś idzie o dalszą przyszłość, to tutaj sprawa będzie oczywiście zależeć nie od tych zobowiązań, lecz od nowej sytuacji, jaka zrodziłaby się w wyniku tych zmian i której odgadnąć się nie podejmuję"*.

Odpowiadając na ten list 11 sierpnia 1939 r. Wiaczesław Mołotow telegrafował do chargé d'affaires w Berlinie: *„Lista tematów, wskazanych w waszym liście z 8 sierpnia, interesuje nas. Rozmowy o nich wymagają przygotowania i pewnych stadiów przejściowych od porozumienia handlowo-kredytowego do innych zagadnień. Prowadzić rozmowy w tych kwestiach wolimy w Moskwie"*.

12 sierpnia 1939 r. podczas kolejnej rozmowy z J. Schnurre'em G. Astachow powiedział, iż *„wiele konkretnych tematów (kontakty kulturalne, prasa, „odnowienie" układu, Polska)"*, zasygnalizowanych w różnym czasie przez Joachima von Ribbentropa i E. von Weizsaeckera, interesuje stronę radziecką, ale „byłoby pożądane rozmawiać o nich w Moskwie i przy tym „stopniowo", *nie zaczynając od najbardziej skomplikowanych"*.

Poruszając ogólną sytuację G. Astachow informował Moskwę, iż *„Niemców wyraźnie trwożą nasze rozmowy z wojskowymi brytyjskimi i francuskimi, nie szczędzą oni więc argumentów oraz obietnic o bardzo szerokim charakterze, by zapobiec ewentualnemu porozumieniu wojskowemu. W tym celu gotowi są obecnie, moim zdaniem, na takie deklaracje i gesty, jakie pół roku temu mogły wydawać się absolutnie wykluczone. Rezygnacja z rejonu nadbałtyckiego, Besarabii, Wschodniej Polski (nie mówiąc już o Ukrainie) to w danej chwili, minimum tego, na co poszliby Niemcy bez długich rozmów, byle tylko uzyskać od nas obietnicę nieingerencji w konflikt z Polską"*.

13 sierpnia 1939 r. J. Schnurre poinformował G. Astachowa, iż rząd niemiecki chciałby przystąpić do rozmów *„możliwie najszybciej"* i zgadza się prowadzić je w Moskwie. Chciałby on *„powierzyć prowadzenie rozmów którejś z najbardziej zaufanych osób Hitlera"*.

Rozmowy delegacji wojskowych ZSRR, W. Brytanii i Francji, rozpoczęte w Moskwie, 12 sierpnia 1939 r., wkrótce zaczęły dreptać w miejscu.

Okazało się, iż przedstawiciele brytyjscy i francuscy przybyli bez pełnomocnictw do podpisania konwencji wojskowej. Nie posiadali oni konkretnych planów efektywnej współpracy wojskowej z ZSRR przeciwko agresji i znaczyło to, iż nie dążyli do takiej współpracy. Okazało się, iż postęp w rozmowach jest niemożliwy również z powodu niezgody Polski na otrzymanie pomocy wojskowej ze strony ZSRR. 14 sierpnia 1939 r., po zakończeniu kolejnego posiedzenia, szef brytyjskiej delegacji wojskowej, admirał P. Drux oświadczył: *„Myślę, że nasza misja zakończyła się"*.

Rząd radziecki musiał wyciągnąć analogiczne wnioski. Dlatego też z pełnym uzasadnieniem można uważać, że po tym posiedzeniu doszedł on do wniosku, iż nie pozostają żadne nadzieje na osiągnięcie porozumienia z W Brytanią i Francją. Rząd radziecki musiał więc myśleć również o innych środkach umacniania bezpieczeństwa kraju.

Przejawiając wiele uporu, by dostać się 15 sierpnia 1939 r. na audiencję u Wiaczesława Mołotowa, Friedrich von Schulenburg odczytał otrzymaną z Berlina instrukcję. Rząd niemiecki oświadczył, iż nie istnieją realne sprzeczności interesów między Niemcami i Związkiem Radzieckim. *„Niemcy nie mają żadnych agresywnych zamiarów wobec ZSRR. Rząd niemiecki stoi na stanowisku, iż między morzami Bałtyckim i Czarnym nie istnieje ani jedna kwestia, która nie mogłaby być rozwiązana ku pełnemu zadowoleniu obu stron. Odnosi się to do Morza Bałtyckiego, państw nadbałtyckich, Polski, Południowego Wschodu itp."*.

Odwiedzając ponownie Wiaczesława Mołotowa 17 sierpnia 1939 r. Friedrich von Schulenburg odczytał oświadczenie:

„Niemcy gotowe są zawrzeć z ZSRR pakt o nieagresji, przy tym, jeśli rząd radziecki tego zechce, bez wypowiedzenia na 25 lat. Dalej, rząd niemiecki gotów jest dać wraz z ZSRR gwarancję państwom nadbałtyckim. I wreszcie, Niemcy zgodnie z zajmowanym przez siebie stanowiskiem zgłaszają gotowość wykorzystania swojego wpływu dla poprawy i konsolidacji stosunków radziecko-japońskich".

Fuehrer stoi na stanowisku — mówiło się dalej w oświadczeniu — *iż biorąc pod uwagę obecną sytuację i możliwość nadejścia w każdej chwili poważnych wydarzeń (Niemcy nie zamierzają tolerować dalej polskich prowokacji) — pożądane byłoby pryncypialne i szybkie wyjaśnienie stosunków niemiecko-radzieckich oraz wspólnego podejścia do aktualnych w chwili obecnej problemów. Z tej też przyczyny minister spraw zagranicznych Niemiec, pan von Ribbentrop wyraża gotowość, poczynając od 18 sierpnia, przybycia do Moskwy w dowolnym czasie samolotem z pełnomocnictwami fuehrera do prowadzenia rozmów na temat całokształtu zagadnień niemiecko-radzieckich i — przy odpowiednich warunkach* (gegenbenenfalls), *podpisać odpowiednie porozumienia"*.

Komisarz ludowy przekazał ambasadorowi aide memoire zawierające odpowiedź na oświadczenie niemieckie z 15 sierpnia.

„Do ostatniego czasu rząd radziecki — mówiło się w nim — *biorąc pod uwagę oficjalne oświadczenia poszczególnych przedstawicieli rządu niemieckiego, mające często nieprzyjazny, a nawet wrogi charakter wobec ZSRR, wychodził z założenia, iż rząd niemiecki szuka powodu do starcia z ZSRR, przygotowuje się do takiego starcia i często uzasadnia konieczność rozwoju swoich zbrojeń nieuniknionym charakterem takiego starcia. Nie mówimy już o tym, iż rząd niemiecki, wykorzystując tak zwany pakt antykominternowski, dążył do stworzenia i tworzył jednolity front wielu państw przeciwko ZSRR, wciągając do tego ze szczególnym uporem Japonię"*.

W dalszym ciągu w odpowiedzi radzieckiej stwierdzano:

„Jeśli jednakże obecnie rząd niemiecki dokonuje odwrotu od starej polityki w stronę poważnej poprawy stosunków politycznych z ZSRR, to rząd radziecki może tylko powitać z zadowoleniem taki obrót sprawy i gotów jest ze swej strony przebudować swoją politykę w duchu jej poważnej poprawy w stosunku do Niemiec".

Na zakończenie w odpowiedzi mówiło się:

„Rząd ZSRR uważa, iż pierwszym krokiem do takiej poprawy stosunków między ZSRR i Niemcami mogłoby być zawarcie porozumienia handlowo-kredytowego. Rząd ZSRR uważa, iż drugim krokiem po krótkim czasie mogłoby być zawarcie paktu o nieagresji bądź potwierdzenie paktu o neutralności z 1926 roku z równoczesnym przyjęciem specjalnego protokołu o zainteresowaniu układających się stron takimi czy innymi zagadnieniami polityki zagranicznej tak, by ten ostatni stanowił organiczną część paktu".

Komisarz ludowy podkreślił, iż problem protokołu *„nie jest na razie uszczegółowiany. Przy jego sporządzeniu zarówno przez stronę niemiecką jak i radziecką zostaną, między innymi, rozpatrzone zagadnienia poruszone w oświadczeniu niemieckim z 15 sierpnia. Inicjatywa przy sporządzaniu protokołu winna wychodzić nie tylko od radzieckiej, ale i od niemieckiej strony. Jest rzeczą naturalną, iż zagadnienia poruszone w oświadczeniu niemieckim z 15 sierpnia nie mogą wejść w skład układu i powinny one wejść do protokołu. Rząd niemiecki winien to przemyśleć"*. Komisarz ludowy podkreślił ponownie, iż *„przed przyjazdem Ribbentropa należy przeprowadzić odpowiednie przygotowania"*.

Pojawiwszy się u Wiaczesława Mołotowa kolejny raz 19 sierpnia 1939 r. Friedrich von Schulenburg przeprosił przede wszystkim za upór, z jakim zabiegał o przyjęcie. Powiedział, iż istnieje niebezpieczeństwo konfliktu między Niemcami i Polską. *„Sytuacja tak bardzo się zaostrzyła* — kontynuował ambasador — *iż wystarczy niewielki incydent, by doszło do poważnych następstw. Ribbentrop uważa, iż jeszcze przed zaistnieniem konfliktu należy wyjaśnić stosunki wzajemne między ZSRR i Niemcami, bowiem w trakcie konfliktu trudno będzie to uczynić"*.

Dlatego też Joachim von Ribbentrop jest zainteresowany jak najszybszym przyjazdem do Moskwy, przy czym *„miałby on nieograniczone pełnomocnictwo Hitlera do zawarcia dowolnego porozumienia, jakiego chciałby rząd radziecki. Ribbentrop mógłby podpisać protokół* — powiedział ambasador — *do którego weszłyby zarówno wspomniane problemy, jak i nowe, które mogłyby wyniknąć"*.

Odpowiadając ambasadorowi, komisarz ludowy przejawił zainteresowanie przede wszystkim zawarciem układu o nieagresji. Potem powiedział: *„Kwestia protokołu, który winien stanowić nieodłączną część paktu, jest poważnym zagadnieniem. Jakie problemy winny wejść do protokołu, o tym winien pomyśleć rząd niemiecki. My też o tym myślimy. Rząd radziecki liczy się z poglądem rządu niemieckiego, iż nie należy odkładać na daleką przyszłość zagadnień, jakie omawiamy. Jednakże przed przyjazdem Ribbentropa należy dojść do przekonania, iż rozmowy zapewnią osiągnięcie określonych decyzji"*.

Friedrich von Schulenburg ponownie nalegał na przyjazd Joachima von Ribbentropa, *„by jeszcze przed wybuchem konfliktu dojść do konkretnych rezultatów"*. Wyraził przekonanie, iż *„przy sporządzaniu protokołu również nie powinno się napotkać trudności"*. Schulenburg podkreślił, iż kierownictwo niemieckie gotowe jest *„wyjść naprzeciw wszelkim postulatom rządu radzieckiego"*. Zakończył słowami, iż *„w Berlinie spieszą się"*.

Po kilku godzinach komisarz ludowy oświadczył ambasadorowi niemieckiemu, iż *„Ribbentrop mógłby przyjechać do Moskwy 26—27 sierpnia po opublikowaniu porozumienia handlowo-kredytowego"*. Przekazał również projekt układu o nieagresji.

Dokończenie w następnym numerze („Międzunarodnaja Żizń" 5 z 1989 r.)

Panorama

KAMBODŻA

Kambodża uwikłana jest w wojnę partyzancką, która dla tego ubogiego państwa zaczęła się w 1978 roku. W kwietniu 1989 roku rządząca Ludowo-Rewolucyjna Partia Kampuczy dokonała reform, wprowadziła mechanizmy rynkowe i osłabiła kontrolę nad życiem codziennym. Jeden z członków rządu Hun Sena — wiceminister Cham Pradish stwierdził ostatnio, że **„nie budujemy już socjalizmu"**, a jego zdaniem — Kampucza znajduje się **„na wczesnym etapie kapitalizmu"**. O socjaliźmie — jego zdaniem — można będzie mówić i zastanawiać się nad jego istotą za jakieś co najmniej 50 lat.

Wysłannik agencji Reutera — David Storey pisze w swojej korespondencji, że na skrzyżowaniach dróg nadal stoją propagandowe plakaty z uśmiechniętymi mężczyznami w mundurach unoszący karabiny Kałasznikowa zwycięskim gestem w górę i krótko ostrzyżone dziewczyny w kombinezonach na tle traktorów, ale życie zmienia się niezależnie od tych propagandowych plakatów. Rozwija się prywatna inicjatywa, trwa proces odbudowy, ludzie kupują domy i je sami remontują. Zniesiono godzinę policyjną, otworzono nocne kluby, a buddyzm stał się oficjalną religią państwową. Do klasztorów mogą teraz wstępować wszyscy, a nie — jak było do niedawna — tylko mężczyźni, którzy ukończyli 50 rok życia.

Redaktor naczelny tygodnika „Kampuchea News" — Khieu Kanharith stwierdził, że zmiany te nie są w żadnym razie kosmetycznymi zabiegami, ani ustępstwem na rzecz głównego politycznego oponenta księcia Narodoma Sihanouka, ale wynikają z potrzeby i prowadzą do wielopartyjnego systemu. Powiedział dalej, że jego zdaniem **„trzeba będzie zrezygnować z idei o przewodniej roli partii"**. Dodał, że przykład Chin wyraźnie wskazuje, iż nie można liberalizować gospodarki, jeśli nie zliberalizuje się jednocześnie stosunków politycznych.

RUMUNIA

28 czerwca 1989 roku zakończyło się w Bukareszcie dwudniowe posiedzenie KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Na zakończenie obrad głos zabrał sekretarz generalny RPK Nicolae Ceausescu. Powołał się na rumuńskie osiągnięcia w budowie socjalizmu i zaprotestował **„przeciwko wszelkim próbom oczerniania socjalizmu. Uważamy** — powiedział — **że troska o doskonalenie rozwoju socjalizmu w różnych krajach nie może być przejawiana z pozycji negacji czy niedoceniania siły socjalizmu i jego wyższości"**. Opowiedział się dalej zdecydowanie za socjalistyczną własnością środków produkcji i stwierdził że **„własność prywatna podstawowych środków produkcji dzieli społeczeństwo na klasy antagonistyczne, stanowi pogwałcenie obiektywnych praw natury i rozwoju społecznego"**.

Nicolae Ceausescu zapowiedział wielki urodzaj w tym roku. Jęczmienia powinno się zebrać co najmniej 70 q z ha. Zapowiadają się też duże zbiory pszenicy, kukurydzy i słonecznika.

ZSRR

Gazeta „Prawda" wprowadziła rubrykę: **„Trybuna deputowanego ludowego"**. Niedawno w rubryce tej wypowiedział się A. Ananijew — naczelny redaktor czasopisma „Oktiabr". Uznał on, że dla rozwiązania kwestii żywnościowej trzeba w ZSRR rozwiązać problem chłopa **„zapędzonego dziś w swego rodzaju ślepy zaułek, zarówno w sensie społecznym, jak moralnym"**. Ciągle wzywa się, aby rozwiązać ręce kołchozom, aby przewodniczącym dać swobodę działania. Zdaniem Ananijewa trzeba rozwiązać ręce chłopom, a tego nie zrobi się bez **„zdecydowanego potępienia aktów bezprawia, których fala dotknęła chłopa w latach 1929—1933"**. A. Ananijew domaga się rehabilitacji **„rozkułaczonych"** i represjonowanych chłopskich rodzin. Jego zdaniem wieś na to czeka i to rozwiąże ręce chłopu, gdyż poczuje się wolnym.

NA URALU, w rejonie Czelabińska, w starych sztolniach, które pozostawili poszukiwacze złota, odkryto masowe groby rozstrzeliwanych. Pierwotnie groby te odkryto zaraz po wojnie, ale szybko sprawę zatuszowano. W jednym miejscu odkryto 15-metrowy szyb zasypany ludzkimi szczątkami. W latach pięćdziesiątych szyby te wykorzystywano do... wywożenia śmieci. Oblicza się, że w starych sztolniach znalazło miejsce wiecznego spoczynku około 20 000 osób.

Wszystko wskazuje, że są to ofiary stalinowskiego terroru z końca lat trzydziestych. Przy jednej z ofiar znaleziono monety z 1939 roku. Na niektórych czaszkach znaleziono ślady od uderzeń twardymi przedmiotami. Mieszkańcy tych okolic stwierdzają, że pod koniec lat trzydziestych nocami podjeżdżały pod stare szyby samochody ze wzmocnioną ochroną. Następnie postawiono barak i ogrodzono teren. Po wojnie zezwolono na prowadzenie poszukiwań i geologowie odkryli wtedy w starych szybach ludzkie szczątki.

Obecnie sprawą zajęła się komisja z Czelabińska i prokuratura. Celem ich działania jest ustalenie listy ofiar ludzi spoczywających w starych sztolniach.

Opracował:
WITOLD BOROWY

ŁÓDŹ: nasz czas teraźniejszy

Czy Mariusz G. musiał umrzeć?

EUGENIUSZ IWANICKI

10 maja br. o godzinie 12.02 w Pogotowiu Ratunkowym zadzwonił telefon. Dziewczęcy, podniecony głosik wykrzyknął:

— On się dusi! Przyjedźcie!

— Kto się dusi?

— Mariuszek.

— Adres?

— Wesoła 11.

Dwie minuty później pogotowie było już w drodze. W karetce znajdował się zespół pediatryczny pod kierownictwem doktora **Stefana Mączki.** Z ulicy Henryka Sienkiewicza (siedziba Pogotowia Ratunkowego) na ulicę Wesołą (Chojny) jest spory kawałek drogi, ale kierowca zna swój fach i karetka po piętnastu minutach jest już na miejscu. Czteroipółmiesięczny **Mariusz G.** znajduje się w stanie krytycznym. Teraz liczą się już sekundy. Dziecku zakładają maskę tlenową, stosują masaż serca i na sygnale wiozą do szpitala. Dr Mączka zapisał w karcie dziecka:

„Od rana duszność, obecnie zasinienie wokół ust, powłoki skórne o odcieniu marmurkowatym, pojedyncze płytkie oddechy, akcja serca zwolniona, pojedyncze uderzenia serca. Płuca: słychać rzeżenia na przestrzeni przylegania płuc do klatki piersiowej. Brzuch miękki, źrenice rozszerzone".

O godzinie 12.30 **Mariusz G.** jest już w **izbie przyjęć Szpitala im. Janusza Korczaka.** Mówi lekarz dyżurny **Ksawera Łukasik:**

— Akurat przyjmowałam pacjenta, kiedy zawołała mnie siostra Sobczak. Szybko poszłam do izby przyjęć, ale tam już był doktor Cezary Gronert i udzielał dziecku pierwszej pomocy. Była też matka dziecka. Zaczęłam zbierać wywiad i pamiętam, że matka opierała się na moim biurku i poczułam od niej „oddech chemiczny". Matka twierdziła, że dziecko zachorowało nagle, więc wezwała pogotowie. Ale jest to nieprawda, bo do takiego stanu musiała ona doprowadzić sama przez zaniedbanie.

Odnajduję doktora **Cezarego Gronerta,** starszego asystenta w dziale anestezjologii.

— Pan przyjmował Mariusza G. na oddział. Jaki był jego stan?

— Pracuję w tym szpitalu już 12 lat, ale czegoś podobnego jeszcze nie spotkałem Kiedy mnie wezwano do izby przyjęć, ponieważ dziecko przywiezione nie kwalifikowało się na oddział internistyczny, a od razu na intensywną terapię, zobaczyłem coś, co mnie, lekarza, przeraziło. Ujrzałem 4,5-miesięcznego chłopczyka bardzo brudnego, cuchnącego, niedożywionego. Byłem przekonany, że katowano go permanentnie. Pod paszkami, w pachwinach, pod szyjką leżały zwały brudu, czaszka dziecka była miękka niczym piłka, zupełny brak kostnienia, na plecach liczne podbiegnięcia krwawe, w okolicy odbytu zmacerowane ciało. I to wyciągnięte nieprawdopodobnie ucho!

— Jak to jest możliwe! — nie wytrzymuję.

— Do tego proszę sobie **wyobrazić,** że ważyło zaledwie 3 kg. Jak obliczyliśmy, od chwili narodzin, a więc w ciągu 4,5 miesiąca przybyło mu na wadze zaledwie pół kilograma. Kiedy go przywieziono znajdował się w stanie bardzo ciężkim. Sądzę, że jedynie nasze natychmiastowe zabiegi przedłużyły mu życie o te kilka dni. Według mnie powinien był umrzeć już w izbie przyjęć.

Krótki opis tego, co się nazywa domem rodzinnym

Krystyna G. (rocznik 1947) z zawodu tkaczka, nigdzie nie pracuje, ma już czworo dzieci: najstarszy syn urodził się w 1971 roku, najmłodszy w 1987. Dwójka z nich to dzieci z prawego łoża, pozostałe z różnych ojców. **27 grudnia 1988 r. Krystyna G. urodziła chłopca, któremu dała imię Mariusz.**

— Sama dałam sobie radę — powiada o porodzie.

Będąc w ciąży nie odwiedzała poradni, nie leczyła się. Po urodzeniu Mariusza także nie poszła do lekarza, bo „dziecko rozwijało się normalnie, karmiłam je „niebieskim" mlekiem, miał apetyt". Nigdy też nie była z nim na żadnych badaniach ani na szczepieniach ochronnych. Dopiero gdzieś pod koniec lutego 1989 r. sąsiedzi powiadomili przychodnię, że Krystyna G. urodziła dziecko. Wówczas do jej domu pojechał lekarz.

Wspomina pielęgniarka **Teresa Urbanek** z Przychodni Rejonowej mieszczącej się przy ulicy Rzgowskiej 170:

— Wiedzieliśmy, co to za dom i co to za środowisko. Dlatego lekarz pojechał z „obstawą", to znaczy byłam ja, jeszcze jedna pielęgniarka i kierowca. Nie wiedzieliśmy, czy nas wpuści do mieszkania czy nie. Okazało się, że Krystyny G. nie było w domu, był jedynie najstarszy syn. W mieszkaniu panował nieopisany brud, a dziecko leżało przykryte pierzyną. Lekarz badał dziecko, a ja poprosiłam, by syn odszukał matkę. Wyszedł i więcej już nie wrócił.

Pytam pielęgniarkę środowiskową **Halinę Bednarek** o Mariusza G. i o rodzinę, w której przyszedł na świat. Pani **Halina Bednarek** odwiedzała bowiem od półtora roku **Krystynę G.,** gdyż był tam jeszcze inny chłopczyk, urodzony w 1987 roku.

— Znam tę rodzinę, bo kiedy urodził się w 1987 roku Pawełek, chodziłam tam często. Uważam za sukces fakt, że mnie w ogóle wpuszczano do mieszkania. Było tam zawsze niezwykle brudno, ale dziecko było czyste. O tym, że Krystyna G urodziła kolejne dziecko, dowiedziałam się w marcu. Poszłam od razu, Dziecko leżało w czystej pościeli i było czyste. Zaczęłam namawiać Krystynę G., aby zgłosiła się do przychodni, aby zaszczepiła dziecko...

— Zgodziła się?

— Zawsze się ze wszystkim zgadzała. Ale nigdy nie przychodziła. Tak było z Pawełkiem, teraz już dwuletnim, który dotąd nie jest szczepiony, tak było z tym ostatnim. W ogóle Krystyna G. sprawia wrażenie zaniedbanej, nic nie robi w mieszkaniu, jest jej wszystko jedno. Ale muszę przyznać, iż nigdy nie widziałam jej pijanej albo podpitej.

— Przecież istnieje przymus szczepień ochronnych?

— Owszem, ale praktycznie nikogo się nie karze za ich zaniedbanie.

— Czy Krystyna G. nigdy nie odwiedzała waszej przychodni?

— Jeden raz, kiedy przyszła po zaświadczenie, że jej syn Mariusz, jest u nas zarejestrowany. Bez tego nie chciano jej wydać zwłok.

Vox populi

Sąsiedzkie relacje o Krystynie G. są rozbieżne, mimo to w jakiś sposób uzupełniają jej portret. Właścicielę posesji przy ul. Wesołej 11, **Robert i Teresa L.** mówią, że znają ją tyle o ile. Nie pamiętają, by ostatnio była w ciąży, zresztą rzadko ją widują. Są pewni co do jednego: jest to kobieta brudas, często w jej mieszkaniu są awantury, rozlega się płacz dzieci. I jeszcze jedno: żadne z dzieci nie chodzi do szkoły, co jest dziwne, bo przecież jest przymus nauczania, a do tego **Krystyna G.** ma przydzielonego kuratora, który powinien był zadbać o edukację najstarszych. O tym, że urodziła dziecko — piąte już — i że ono zmarło, dowiedzieli się przypadkowo, bo **Krystyna G.** nie nosi żałoby.

Natomiast inna sąsiadka **Waleria M.** zna **Krystynę G.** już 18 lat. Przypomina sobie, że tak jakoś około 29 grudnia 1988 roku zawołała ją **Krystyna G.** do swojego mieszkania i pokazała nowo narodzone niemowlę... Nie, na spacer z nim nigdy nie wychodziła, nie chodziła też do lekarza. Sąsiadka ją namawiała i przekonywała, ale bez skutku, bo **Krystyna G.** zawsze była niedbała, nie zależało jej na tym.

Ostatnie dni dramatu

Dwie pielęgniarki **Maria Szeler i Maria Lewandowska** z oddziału intensywnej terapii **Szpitala im. Janusza Korczaka** zapisały w „Książce raportów pielęgniarskich" ostatnie rozdziały życia malutkiego **Mariusza G.** Lektura tych notatek jest tyleż wymowna, co świadcząca o bezradności współczesnej medycyny, która ciągle jeszcze nie potrafi wskrzeszać umarłych.

10 maja, godz. 12.30. „Przyjęty z izby przyjęć w stanie zdrowia agonalnym. Powłoki skórne *w chwili przyjęcia koloru brunatnosinego.* Pojedyncze szarpiące oddechy. Dziecko zaintubowano i podłączono do respiratora na oddech kontrolowany (Podano 100 proc. tlen, choć normalnie wystarcza 25 proc. — przypis E. I.). Chłopiec bardzo brudny, cuchnący, w okolicy pośladków rozległe odleżyny, czaszka w okolicy potyliczno-ciemieniowej miękka. Rogówki suche, podrapane. Temperatura 41 st. C. Rozpoczęto schładzanie".

W nocy tegoż dnia:

„Stan krytyczny, wstrząsowy. Zewnętrzne okładanie lodem. Akcja serca 190 uderzeń na minutę".

Przez następne pięć dni zapisy w „Księdze raportów" są podobne. Trwa walka o życie Mariusza G. A więc podano krew, podłączono do monitora, zaaplikowano leki mające zatrzymać to małe życie po tej stronie. Niestety, wystąpiły kłopoty z oddychaniem, z oddawaniem moczu, przytomność nie powracała. Pojawiło się usztywnienie całego ciała.

16 maja, godzina 10.25. „Akcja serca Mariusza G. spadła do 60 uderzeń na minutę, potem do zera.

O godzinie 12.00 wszczęto akcję reanimacyjna, ale bez efektu.

O godzinie 12.30 — nastąpił zgon.

Jeszcze parę zdań o Krystynie G.

Krystyna G. twierdzi, że do 9 maja 1989 r. Mariusz czuł się znakomicie. A 10 maja stwierdziła, że dziecko się dusi, choć nie ma podwyższonej temperatury. Wysłała więc 13-letnią córkę, by wezwała pogotowie. Później już nie chodziła do szpitala, a tylko telefonowała. Chociaż nie, była raz jeden 13 maja, by dowiedzieć się, że stan dziecka jest krytyczny. A kiedy zadzwoniła 16 maja, to dowiedziała się, że Mariusz nie żyje. Skoro tak, to nie było potrzeby tam jechać. Zgłosiła się w szpitalu nazajutrz po akt zgonu. Ojca dziecka także nie powiadomiła o tym fakcie, bo i po co.

Krystyna G. nie pracuje. Twierdzi, że pozostaje na utrzymaniu syna (rocznik 1971), który zarabia 30 tys. zł miesięcznie, a do tego otrzymuje alimenty w kwocie 13 tys..

Z rozbrajającą szczerością przyznaje też, że przez te cztery i pół miesiąca (od daty urodzenia Mariusza) jakoś nie miała czasu, by pójść do USC i sporządzić akt urodzenia. Zresztą na nic nie ma czasu: ani zaszczepić dorastające dzieci, ani posłać je do szkoły, ani posprzątać w mieszkaniu.

Zakończenie nieoptymistyczne

Dr **Cezary Gronert** zaraz po przyjęciu Mariusza G. na oddział intensywnej terapii, pisemnie powiadomił prokuraturę o stanie dziecka, podejrzewając, że tak krańcowe wycieńczenie nie zostało spowodowane nagłą chorobą, lecz powstało w wyniku długotrwałego działania osób nim opiekujących się.

Śledztwo zostało wszczęte.

Pozostaje jednak nadal pytanie: Czy Mariusz G. musiał umrzeć? Myślę, że odpowiedzi udzieli proces sądowy, który być może wyjaśni także parę innych spraw, niezrozumiałych dla przeciętnego mieszkańca Łodzi, a dotyczących postępowania Krystyny G.

■

ze str. 1

Glugla

więc czasem w korytarzu i pewnego dnia Jan W. zaprosił Marię N. do pokoju. Poszła chętnie. Od słowa do słowa... i już była jego. Tak łatwo, że zaczął się zastanawiać, komu bardziej zależało. Bo, prawdę rzekłszy, nie lubił zbyt łatwych dziewczyn. Ale że akurat był wolny i daleki od poważnych, życiowych planów, tak bardzo znowu się do Marii N. nie zraził.

Wkrótce zaczęli ze sobą chodzić. Nie tyle jednak z wielkiej miłości, której nie było, co raczej z wygody i przyzwyczajenia. Tak w każdym razie traktował to chodzenie Jan W., któremu do żeniaczki wcale się jeszcze nie paliło.

Po pierwsze — młody był. Chciał najpierw zakosztować trochę życia, rozejrzeć się, powybierać, bo co innego — myślał — iść z dziewczyną do kawiarni, a co innego — do ołtarza. Nie każda się nadaje, chociażby może i ładna była.

Po drugie — trzeba się najpierw trochę dorobić, żeby ta wybrana wiedziała, gdzie jej miejsce. Taka już rola mężczyzny. A on co miał? Ani mieszkania, ani mebli, ani pieniędzy. Z domu nie dostał nic, bo matka gospodarkę na starszego brata przepisała, a pozostałych sześciu synów miało się uczyć. Porozjeżdżali się po Polsce, pozakładali rodziny. On trafił do Poznania do Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy PRE „Elektromontaż". Orłem w niej nie był, ale ogólnie dawał sobie radę. Z polskiego miał nawet na świadectwie czwórkę. Z praktycznej nauki zawodu — też. Pracował w Poznaniu i Pile. Szybko jednak przeniósł się do Łodzi, żeby mieć bliżej do matki i braci. Robił na kolei. Początkowo w warsztatach, później — prowadząc pociągi. Zarabiał dobrze. *Jak na tamte czasy* — nawet bardzo dobrze. Ale dorobić się przecież jeszcze nie zdążył. Dlatego planował poczekać parę lat, obkupić się trochę, no i zdobyć jakiś własny kąt, bo co to za życie w hotelach. Miał go już serdecznie dosyć. I wcale tego nie krył.

Pewnego dnia, latem siedemdziesiątego piątego Maria N. powiedziała:

— *Wiesz, nie chcę cię straszyć, ale prawda jest taka, że zaszłam.*

— *Jesteś pewna?* — wypytał.

— *Jestem* — potwierdziła i dodała mimochodem, że mamusia też już o tym wie. Jan W. przestraszył się, gdyż psuło mu to plany, ale że nie był tchórzem, zgodził się spojrzeć rodzicom Marii N. prosto w oczy. O dziwo, nie mieli mu nawet za złe. Powiedzieli tylko, że panna z dzieckiem, to dla nich wstyd na całą wieś, więc raz — dwa trzeba zrobić ślub i wesele. Najlepiej u nich, zwłaszcza że w gminie wszystko w miesiąc załatwi, a w mieście trzeba czekać trzy.

— *Co ma być, niech będzie* — zgodził się Jan W. i pomyślał, że tak mu widać pisane, a po ślubie na pewno jakoś się ułoży. Tylko że znów ułożyło się nie po jego myśli, bo wspólnego pokoju w hotelu nie dostali, rodzina Marii — teraz już — W. więcej chciała wziąć niż dać, a i oczekiwanego dziecka nie było, gdyż wkrótce wyszło na jaw, że z tą ciążą to lipa.

Jan W. zmartwił się bardzo i poczuł — co tu dużo mówić — oszukany. Chłopska podejrzliwość podpowiadała mu nawet, że wszystko mogło być z góry ułożone, żeby zaciągnąć go przed ołtarz. Kobiety to potrafią — słyszał nie raz. — Są przebiegłe i gdy im na czymś bardzo zależy, po trupach nawet będą szły do celu. Maria W. wykorzystała jego łatwowierność i uczciwość, a teraz będzie próbowała wziąć go pod pantofel — wnioskował — podporządkować sobie, stłamsić i żyć na jego koszt, a on nic nie będzie mógł zrobić, bo to przecież żona.

Ale pewny tego nie był. Zwłaszcza, kiedy wyjaśniała, że cierpi na dolegliwości kobiece i taka pomyłka mogła się zdarzyć. Kto wie? — myślał. — Łatwo skrzywdzić człowieka niesłusznym podejrzeniem. A to, co się stało, i tak przecież się już nie odstanie, więc czy warto niszczyć wszystko na wstęp? I w końcu machnął ręką, pogodził się, choć wątpliwości nie wyzbył nigdy.

W czerwcu siedemdziesiątego szóstego, po wielu staraniach — w Łodzi i Warszawie — Maria i Jan W. dostali służbowe mieszkanie — jeden pokój w starej kamienicy, na parterze, bez żadnych wygód. Szesnaście metrów kwadratowych. Zwykła nora. Ale ucieszyli się bardzo i przenieśli tam z ochotą. Nareszcie mogli być sami.

Na wiosnę roku następnego Maria W. znów poinformowała męża, że jest w ciąży. Nie uwierzył tym razem na słowo. Musiała z nim iść do spółdzielni, do ginekologa i dopiero gdy ten potwierdził, Jan W. przyjął fakt do wiadomości. Czy był zadowolony? Jak każdy normalny mężczyzna chciał oczywiście mieć dzieci, ale — powtarzał żonie — jeszcze nie teraz. Jak będzie prawdziwe mieszkanie. Na razie muszą więc robić tak, żeby nie zaszła i jej w tym powinna być głowa. Taka już rola kobiety.

Obiecała mu to, przyznając rację. A potem co zrobiła? Powiedziała z rozbrajającą szczerością: nie wyszło. Pewno, zdarza się, ale raz już go nabrała. A to o czymś świadczy. Zresztą — okazało się — zawsze była w stosunku do niego nieszczera i robiła, co chciała. Przekonał się o tym wiele, wiele razy.

Pojechał na przykład kiedyś sam do matki, do roboty (do teściów też często wtedy jeździł, bo taki jest, że jak go proszą, nie odmawia). No i wrócić miał w niedzielę wieczorem, a wrócił niespodziewanie w sobotę. Zapukał do drzwi, pociągnął — zamknięte na łańcuch. Zaczął szarpać, bo słyszy, że żona jest w domu i w pierwszej chwili pomyślał, że coś się jej może stało. Otworzyła po dłuższej chwili — w bieliźnie, zaskoczona, speszona... Na stole stały szklanki po kawie, talerzyki... Dostrzegł też męską kurtkę.

— *Kto tu był? — pyta.*

— *Kuzyn.*

— I już wyszedł? Bez kurtki?

— *Zapomniał.*

— *Przez drzwi wyszedł, czy przez okno? Tylko nie kłam!*

I tyle było rozmowy, bo Maria W. uderzyła w płacz, jak to kobieta, i nic więcej wyciągnąć się z niej już nie dało.

Tak samo z tą ciążą — od razu czuł, że coś jest nie tak. Ale co miał jej zrobić — urwać głowę? I co było winne to dziecko, które miała urodzić? Przecież nic. Toteż czekał na nie z radością, mimo wszystko. Myślał też — będą we troje, to się zmieni, ustatkuje. Już było jakby lepiej, bo żona rzadziej wychodziła z domu, nie czuł, by popalała (czego nie znosił) i w ogóle zrobiła się jakaś taka przystępniejsza.

7 stycznia 1978 roku Jan W. dowiedział się, że ma córkę. Wkrótce przywiózł obie panie do domu, który wysprzątał, wypucował do połysku, najlepiej jak umiał. Kupił też wszystko dla małej, całą wyprawkę, bo żona przed pójściem do szpitala jakoś nie zadbała. Poprał pieluchy, kaftaniki, poprasował... Sam, bo ani jego, ani jej rodzina nie zaoferowały wcześniej pomocy. Inna rzecz, że wcale na to nie liczył i zawsze starał się być samodzielny. A jak nieraz czegoś potrzebował, prosił sąsiadów. Później zdarzało się to często, gdyż wszystkim obowiązkom nie był w stanie sprostać, zaś żona...

Żona zajmowała się głównie dzieckiem: karmiła, przewijała, usypiała... Niekiedy ugotowała jeszcze obiad, czy ogarnęła trochę pokój. I to wszystko. Reszta była na jego głowie — zakupy, pranie, gotowanie, sprzątanie... A przecież trzeba było jeszcze tak: przynieść wodę, wylać pomyje, narąbać drewna, palić w piecu... Za oknem mróz, pokój bez żadnej wentylacji, więc już z samym paleniem ile było kłopotu, żeby małej nie przegrzać, ani nie przeziębić. Słowem, gdyby nie ta sąsiedzka pomoc, nie dałby sobie czasem rady. I to mimo że był na urlopie, a gdy urlop się skończył — brał zwolnienia lekarskie. Prawdę powiedziawszy — trochę naciągane, ale co miał robić, jak żonie nie robota była w głowie?

Do pracy wrócił dopiero po trzech miesiącach. Niestety, jeździć już nie mógł. Jeszcze przed urodzeniem dziecka poprosił o przeniesienie na inne stanowisko ze względu na trudną sytuację rodzinną. Zgodę dostał, ale też od razu — o wiele mniejszy zarobek niż jako maszynista. Różnica była duża, a później tym większa jeszcze, że zamiast dwóch pensji mieli już tylko jedną, gdyż Maria W. przeszła na urlop wychowawczy. Okazało się — bezpłatny, bo średnia w rodzinie za wysoka. Przyszło więc zacisnąć pasa. Ale i z tego nie robił problemu, nie wyrzucał córki do żłobka, a żony — do biura. Przeciwnie, sam powtarzał nie raz: dziecko ważniejsze od pieniędzy, a tyle, żeby przetrwać najgorszy czas, to przecież jakoś zarobi. Już jego w tym głowa. Jej natomiast — dbać o dom. Takie proste...

— *Rozumiesz?* — pytał. Kiwała głową, że tak, że rozumie. A potem..., potem znów robiła swoje.

Pewnego dnia, gdy Małgosia miała już ze cztery miesiące, wziął wolne, bo żona chciała iść do lekarza. Wyszła około dziesiątej, wróciła... następnego dnia o piątej rano. Gdzie ją poniosło, nie wiadomo. Mógł się jedynie domyślać, gdyż czuć było od niej papierosami i alkoholem. Ale najbardziej zdenerwował się dlatego, ponieważ karmiła piersią, nie kupowali mleka w proszku i kiedy przyszła pora karmienia, a żony wciąż nie było, nie miał co wlać dziecku do butelki. Sąsiedzi do dziś jeszcze to pamiętają, bo Jan W. wpadł w pierwszej chwili w taką panikę, że o beztroskim wyjściu Marii W. dowiedziało się w parę minut chyba pół kamienicy.

Bywało też, że przychodził z pracy, a tu tak: obiadu nie ma, wszystkie pieluchy zasikane, a żona mówi, że właśnie musi gdzieś wyskoczyć, bo ma pilną sprawę do załatwienia. Nigdy nie chciała powiedzieć, co to za sprawa. Dlaczego? Jan W. nie miał już złudzeń, zwłaszcza że koledzy widywali ją tu i ówdzie — zdarzało się — i w męskim towarzystwie. Niekiedy śmiali się z niego, że daje się tak robić babie w konia. Czynili różne aluzje... Czy zawsze mówili prawdę, trudno dociec, ale przecież coś w tym musiało chyba być.

A najgorsze, że Jan W. nie miał pewności, czy Małgosia... No, czy jest jego dzieckiem, chociaż od początku w niczym nie zmieniło to stosunku do córki. *Skąd podejrzenie? Otóż kiedy* przywiózł żonę i małą do domu, w książeczce zdrowia nie była wpisana grupa krwi dziecka, *mimo że być powinna.* Powinna również być ona zgodna — jak się dowiedział, z grupą krwi matki lub ojca. Nie dawało mu to spokoju. Pojechał więc kiedyś do szpitala i poprosił o wpis. Pielęgniarki ociągały się trochę, bo trzeba szukać, bo kłopot, znalazły jednak wreszcie dokumenty i... sprawdziło się, niestety, to, co Jan W. podejrzewał.

Oczywiście mogła to być — jak stwierdziła żona — zwykła pomyłka, ale — czy nie za dużo tych pomyłek, nie wyjaśnionych do końca spraw, tajemniczych kuzynów, karteczek z adresami i datami, o których Maria W. nie potrafiła nic powiedzieć, choć pisane jej ręką, a nawet i prezerwatywy w torebce? Chyba wystarczy, by mówić o złym prowadzeniu się i zdradzie.

4.

— Nie myślał pan o rozwodzie?

— *Myślałem i to często. Ale wie pan jak to jest: człowiekowi się wydaje, że to tylko inni się rozwodzą, a mnie się uda. Długo była taka niedzieja, bo przecież nie zawsze było aż tak źle. Druga sprawa — dzieci* (w osiemdziesiątym pierwszym urodziła się nam druga córeczka). *Nie wyobrażałem sobie, żeby miały nie mieć ojca. Kochałem je* (i nadal kocham), *chociaż później sama powiedziała mi, że nie są moje. Może tylko po to, żeby mi sprawić przykrość, nie wiem, ale fakt pozostaje faktem. Poza tym w styczniu osiemdziesiątego drugiego dostaliśmy wreszcie w blokach mieszkanie. To też miało wpływ, bo przecież mówi się: nowe mieszkanie, nowe życie. Wtedy jeszcze w to wierzyłem. Ale zamiast lepiej, było coraz gorzej.*

JÓZEF RETMAN

C.D.N.

P.S.

Imiona bohaterów reportażu zostały zmienione.

■

Bomba trafiła w dom, w którym mieszkała moja matka. Ocalały tylko listy z Syberii.

Uparta jak polska nauczycielka

TADEUSZ GICGIER

Rozmawiam z **Aldoną Sakrajdą**, mieszkanką Stoków w Łodzi, córką nieżyjącej już wieloletniej nauczycielki, **Bronisławy Sienkiewicz-Zajfert.**

— Ten wiersz znajduje się w notesie matki pani, w którym spisywała swoje wiersze w ciągu wielu lat życia. Pod wierszem umieściła nazwę miejscowości i datę: Krystynopol 1941. Gdzie znajduje się ta miejscowość i czym zajmowała się tam pani matka?

— Miejscowość ta znajduje się na Wileńszczyźnie. Matka, po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Wilnie, dostała skierowanie do pracy w wiejskiej szkole. Działo się to tuż przed wybuchem wojny. Była nauczycielką przez kilka lat, uczyła wiejskie dzieci. Uczyła w języku rosyjskim, nauczała i po polsku, w domu. Pamiętam jedno zdarzenie, o którym opowiadała, już z czasów okupacji niemieckiej. Niemcy zrobili u matki rewizję, znaleźli polskie książki. Strach wszystkich obleciał, ale matka zachowała przytomność umysłu, powiedziała, że ma te książki jeszcze sprzed wojny. Niemcy dali jej spokój, a ona dalej uczyła dzieci polskiego języka.

— Zacznijmy jednak od początku. Gdzie matka pani się urodziła, gdzie mieszkała, jak toczyło się jej życie?

— Matka urodziła się w roku 1915 w Wilnie, tam chodziła do szkoły. Kształciła się w Seminarium Nauczycielskim. Dostała skierowanie na roczną bezpłatną praktykę. Najpierw pracowała w szkole w Krystynopolu, a później w Dubrowie, w Kościelniewicach, w Postawach. Często musiała zmieniać szkoły, wbrew zresztą swojej woli, bo takie dostawała polecenia z inspektoratów rosyjskich. Pewnie nie podobała się inspektorom, mieli do niej jakieś zastrzeżenia. Po jakimś czasie skierowano ją na Białoruś i tam musiałą uczyć w języku białoruskim. Przychodziło to jej z trudem, ponieważ nie znała tego języka. Musiała jednak się podporządkować. Groziło jej wywiezienie. Jakoś to ją ominęło, wywieziono natomiast jej koleżanki ze szkoły, wśród nich jej bliską przyjaciółkę, panią Helę, którą zabrano ze starą, schorowaną matką. Pierwszy list do mamy nadszedł od pani Heli, kiedy czekały na wywiezienie, a nie wiedziały dokąd pojadą. Dalsze listy przychodziły już z miejscowości Jelenowka, z dalekiej Syberii.

Jelenowka, 26.X.1940.

Kochana Broniu! Dziękuję Ci bardzo za Twój list! Czytałam ja go i inni. Broniu! Wiary i nadziei nam nie brakuje! Wszyscy, nawet i ci, co nie wierzyli, są teraz gorąco wierzący Bywa, że padamy na duchu, ale to na krótki czas. Najgorsze, że już sześć miesięcy jesteśmy na zesłaniu, a jeszcze ile czasu? Czy fizycznie wytrzymamy? Widzisz, tu jest w tym roku wielki nieurodzaj, mówiąc szczerze, ten nieurodzaj jest zawsze, bo okropna jest uprawa ziemi Co za tem idzie, i głód na nosie. Pszenicy (bo żyta tu nie sieją) wcale kupić nie można Czasem udaje się zamienić na ubranie ale oni nawet i tego nie chcą, bo boją się sami głodować. Ja pracowałam pięć miesięcy bardzo ciężko, myślałam, że coś zarobię na utrzymanie swoje i matki. No i zarobiłam — 20 kg. mąki. Wspaniałe zarobki! Przecież z tego i kot nie przeżyje całej zimy. Pieniędzy mam trochę, ale co z nich, kiedy nic się za nie nie kupi. W ogóle szopka życiowa. Ludzie o cukrze mówią jak o legendzie. Żebym Ci mogła opowiedzieć, co widziałam, przejeżdżając przez ZSRR. Przecież przejechaliśmy więcej niż 5 tys. kilometrów Wrażenie miałam jakbym trafiła na wyspę, po której snują się cienie ludzkie. Nie widziałam jeszcze człowieka, który by się śmiał serdecznie i cieszył. My w naszej niedoli i to czasem wpadamy w wisielczy humor i potrafimy się zaśmiewać.

Jelenowka, 9.XI.1940.

Kochana Bronko! Wczoraj otrzymałam Twój list. Paczkę też otrzymałam. Dziękuję Ci bardzo za wszystko i przykro mi, że nie mogę się zrewanżować. Wczoraj był w Jelenowce fotograf, więc sfotografowałyśmy się z mamą i przesyłamy Ci nasze sybirskie podobizny. Zdjęcie jest tak śliczne, że możesz się przestraszyć. Ja jestem podbrzęknięta — właściwie sama nie wiem, dlaczego twarz mi tak brzęknie. Mrozy są okropne i w tym stroju, w którym mnie widzisz, boję się, że nie wytrzymam.

Jelenowka, 25.XI.1940.

Kochana Bronko! Twój list czytaliśmy wspólnie całą kolonią, i chciałabym, żebyś widziała ten obrazek. Wszyscy płakali, tak już zawsze bywa, gdy czytamy wspólnie listy z domu. Piszę „z domu" — to w naszym języku nazywa się Polska. Jednak dziwne, my teraz ze zmartwienia już nie płaczemy. Płaczemy z rozczulenia i radości.

Muszę Ci się pochwalić nowym nabytkiem. Otóż mam własny dom. Kupiłam go w Kołchozie. Sprzedałam kilka rzeczy i kupiłam. Tak mi zbrzydło to walanie się po cudzych kątach. Dość mi krwi napsuli gospodarze, a wypiły pluskwy, karaluchy i wszy. Coś strasznego, jak nas obłażą wszy. Tak się człowiek wystrzega i nic nie pomaga.

Pałac mój to ziemlanka, wykopana w ziemi, nakryta słomą i ziemią. Ma piec i ciepło jest, tylko wilgoci dużo, bo woda ścieka po ścianach i myszy latają po głowie, ale to nic, to już lepiej, jak być na kącie i popychadłem u gospodarzy.

Do Wigilii siądziemy z opłatkiem, który mi przysłałaś. Już czekamy tej Wigilii. Chociaż smutna, ale połączy nas z tymi, choć w myśli, którzy są teraz w swoim kraju i którzy siedzą w „białym domku". Choinek tu nie ma, nie rosną, więc umówiliśmy się, że sosnę użyjemy za choinkę. To są wszystko projekta, a może i Willi nie będzie, a może i z naszego towarzystwa znikną niektóre osoby, a może w ten dzień każą nam pracować? Przecież my to wyrzutki społeczeństwa i z nami liczyć się nie trzeba. Tak na każdym kroku dają nam odczuć naszą niższość!

Jelenowka, 21.V.1941.

Droga Bronko! List Twój z 3.V.41 otrzymałam. Piszę Ci tylko parę słów, bo jestem spakowana i czekam ciężarówki. Wywożą nas w niewiadomym kierunku. Dziękuję Ci za wszystko i żegnam, bo nie wiem, czy będzie można pisać nam. Przesyłamy Ci wszyscy pozdrowienia. Jeśli będzie można, zawiadomię Cię o miejscu mego pobytu. Całuję Cię — Hela.

— Pani Aldono, czy zna pani może dalsze losy pani Heli?

— Niestety, nie znam. Wszystkie zachowane listy pochodzą z Jelenowki, potem kontakt się urwał, nastała cisza. Matka bardzo to przeżywała. Minął rok 1941 i lata następne. Dokąd je wywieziono, czy przeżyły, tego matka nie dowiedziała się nigdy.

Pod koniec wojny było wielkie bombardowanie miasteczka, w którym mieszkała mama. Bomba trafiła nieszczęśliwie w ich dom. Spaliło się wszystko, nie ocalało nic. Ocalały tylko te listy cudem chronione, listy z Syberii, zapiski, listy niektóre nawet są nadpalone. Mama, chcąc je ocalić, naraziła się mocno, odłamek granatu trafił ją w plecy, tam się usadowił i dokuczał jej do końca życia.

Na Wileńszczyźnie, jak opowiadała mama, lata wojny były dla Polaków szczególnie ciężkie, po wkroczeniu Rosjan, po przyjściu Niemców i potem znów po powrocie Rosjan. Ludzie się załamywali, tylko wiara podtrzymywała ich na duchu. Mama była katechetką świecką przy kościele, była łączniczką podziemia, gdy jej koledzy-rówieśnicy znaleźli się w oddziałach AK. A potem Rosjanie ich aresztowali, powywozili i osadzili w obozach, więc matka znowu słała listy i paczki. Te listy od partyzantów przechowywała także bardzo troskliwie.

W roku 1945 matka z rodziną opuściła Wileńszczyznę i przyjechała na Ziemie Odzyskane. Szukała kontaktów z dawnymi koleżankami, ale one także o losach pani Heli niczego nie wiedziały. Z tych wywiezionych na Syberię nikt się nie odnalazł.

— Jakie były powojenne dzieje życia matki, gdzie zamieszkała jako repatriantka i czy dalej pracowała w szkole, uczyła dzieci?

— Tak, skierowano ją do pracy w okolicach Białogardu, do Świerznicy, a później do miejscowości Gąbino. Miała tam uczyć w wiejskiej szkole, a właściwie ją zorganizować. Ale inspektor nakazał zamknąć szkołę, ponieważ brakowało dzieci. Matka była jednak uparta, no bo jakże: zamknąć szkołę, kiedy kilkoro dzieciaków chce się uczyć? Nie może tak być! Chodziła po wsiach, po rozrzuconych domostwach i zbierała dzieci. Nie było to łatwe zadanie, te wędrówki i starania opisała potem w jednym ze swych wierszy. W końcu jednak dzieci zebrała, wystarczająco dużo, żeby szkoła mogła funkcjonować. Matka wiele razy opowiadała, jaką sprawiło jej radość, gdy nadszedł pierwszy września i szkoła ruszyła. Nie było książek, nie było zeszytów, były bardzo ciężkie czasy, ale ona czuła się szczęśliwa, że może zebraną gromadę uczyć, i to uczyć w ojczystym języku.

— A kiedy matka przeniosła się do Łodzi i czy znalazła tutaj pracę?

— Przeniosła się w roku 1947. No, niestety, w Łodzi było wtedy trudno o pracę, szkoły miały już swoich nauczycieli. Dostała skierowanie znowu na wieś, do Bukowca. Uczyła tam przez wiele lat, w małej wiejskiej szkole. Najpierw miała w niej swoją izbę, a później, kiedy wyszła za mąż i kiedy mój ojciec zdobył mieszkanie w Łodzi, zamieszkali tutaj na Stokach. Ale matka, która zdążyła już zżyć się z tą szkołą pracowała dalej w Bukowcu. Lubiła wieś i wiejskie dzieci, więc chodziła codziennie po pięć kilometrów w jedną i drugą stronę, przez las, przez pola, wiosną i zimą. Uważała zawsze, że należy pomagać innym, a dzieci wiejskie, środowisko wiejskie bardziej potrzebuje opieki i pomocy niż dzieci w mieście. Dlatego nie zrażały jej codzienne trudy i pracowała w tej szkole aż do lat siedemdziesiątych, kiedy to przeszła na emeryturę.

— Czy pamiętano potem o matce, czy ktoś odzywał się z tej szkoły?

— No, jak to w naszych czasach, każdy ma swoje życie, każdy ma swoje kłopoty. Ze szkoły nikt się nie odzywał, parę razy przyszli do niej natomiast jej wychowankowie, niektórzy byli już dorosłymi ludźmi. Z czasem jednak pamięć się zacierała, wspomnienia też, i matki już nikt nie odwiedzał. Mama zmarła dwa lata temu, w lutym 1987 roku. I tak się złożyło, że niedługo po jej śmierci przyjechała nauczycielka ze szkoły w Bukowcu, przywożąc prezent na Dzień Kobiet. Obie byłyśmy bardzo skonsternowane, i ja i ona, nie wiedziałam po prostu, co powiedzieć. Przypomniano sobie o wieloletniej nauczycielce wtedy, gdy ona już nie żyła. Ta pani spóźniła się dosłownie o jeden miesiąc.

ZIEMIANKA

Ta nora w ziemi opuszczona
przez tych, co nie zdążyli tu zagrzać miejsca,
syberyjskich zesłańców,
zaszczute zwierzęta
czterdziestych lat tego wieku.
Wciąż jeszcze leżą niegdysiejsze śniegi.

Nocą omiotły ją reflektory
zakratowanych ciężarówek,
ujadanie psów
zerwało ludzi śpiących na pryczach ciężkim snem,
wychadi! — wołali oprawcy
i rechotali na widok
trzęsących się kobiet,
obatuchanych w dzień i w nocy
na mróz i na wszelki wypadek.

Wy pajedietie na bał,
jej Bohu, priekrasnyj bał!

Skrzypią falsetem drzwi z bierwion
na jednym zawiasie,
brodaty wiatr
czochra się o oszronione ściany
inkrustowane pinezkami pluskiew,
miniaturowa mumia myszy
spogląda czerwonymi koralikami oczu.
Niczego nie wypatrzy!
Tam, gdzie zakwaterowano gospodarzy,
nawet wzrok ludzki nie sięga.

1989

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Chrzest

Cykl: ofiara

ADAM A. ZYCH

(FRAGMENTY)

**„Wspomnienia są jedynym rajem,
z którego nie można być wygnanym"
Jean Paul (1763—1825)**

1.

spotkania w porcie lotniczym
twarzą w twarz
Niemca z Polakiem
z Żydem Niemca
lot nadobłoczny
budzi wspomnienia
chociaż przeszłość
mgłą niepamięci już zasnuta
to jednak w głębi
gdzieś tam w środku
niepokój
pełne lęku sny
groźne obrazy
sprzed wielu wielu lat
i lot i pamięć
jest w nas

2.

dlaczego raz jeszcze
rozpamiętuję ten czas
zamknięty w podręcznikach historii
oglądam w szklanych gablotach
różnokształtne wielobarwne włosy
okulary buciki dziecięce
ofiar które odeszły
do gazu
i wstąpiły
w niebo
prostą linią dymu
bo dzień był pogodny i słoneczny

dlaczego wciąż powracam
z uporem maniaka
do czasów pogardy
ludzi bezbronnych ludzi rozstrzelanych
do czasów zbrodniarzy bez sumień

dlaczego tak trudno
zrozumieć człowieka
jego skrytą naturę

ciągłe pytania
i otwarte
warum...

10.

te ciągłe podróże
niespokojnej duszy
z Zachodu na Wschód
i znowu do kraju
gdzie nie ma spokoju
na co dzień
wciąż wrze
w tym polskim kotle
to marzec
to sierpień
byle przetrwać
do zimy
potem będzie przedwiośnie
może spłyną lody
i bez lęku
każdemu można będzie patrzeć
prosto w oczy...

1986—1988

(Za cykl ten autor otrzymał Medal Pozłacany w XX Grand Concours International 1988, przyznany przez Académie Internationale de Lutèce w Paryżu).

Istnieć czy... przetrwać?

Uczestniczyłem niedawno w spotkaniu przedstawicieli teatrów łódzkich z wiceprezydentem miasta, **Januszem Urbaniakiem** oraz zastępcą dyrektora wydziału kultury i sztuki UM — **Andrzejem Reiterem.** W czasie spotkania — poświęconego sytuacji łódzkiego środowiska teatralnego — padło wiele gorzkich słów. Wśród przedstawionych racji i ocen sporo było nad wyraz słusznych, dociekliwych i pogłębionych, wypływających z najgłębszej troski o dalsze losy teatrów i środowiska. Jednakże w licznych wystąpieniach dominowała charakterystyczna dla obecnych czasów nuta: ile my zarabiamy, a ile inni; nie co robić, lecz ile nam się należy w porównaniu z innymi, słowem — zakodowane latami oczekiwania: wszystkim z branży, i nie tylko, po równo.

Jeden z najmłodszych bodaj dyrektorów wyraził pogląd, że choć od niedawna żyje sprawami naszego miasta, lecz już odnosi wrażenie, iż panuje w nim atmosfera wyczekiwania — na dzień, kiedy będzie lepiej. Mówił o terenach oderwanych kiedyś od miasta, przynależnych obecnie do sąsiednich województw, które nadal ciążą do Łodzi, choć ciężar utrzymania teatrów spoczywa na niej jedynie. Postulował więc „nie czekać, czy nam się uda czy nie uda przeżyć, lecz spróbować gdzieś, coś poważnie wywalczyć, aby i zaplanowane remonty można było przeprowadzić i sytuacja płacowa wyglądała lepiej". Powołał się na przykład środowiska warszawskiego, w którym — jak powiedział — podjęto decyzję o podniesieniu płac w sposób radykalny. „Wprawdzie — stwierdził — mówiono im, że potem może nie być pieniędzy, ale odpowiedzieli: trudno — ludzie są dla nas najważniejsi..."

Dyrektor Teatru Nowego, **Jerzy Hutek**, także mówił o okrojeniu terenów Łodzi z obszarów należących dziś do ościennych województw, o swoistym okaleczeniu miasta i stworzeniu sztucznych tworów, dla których kiedyś istniejąca do dziś baza kulturalna Łodzi została stworzona, przystosowana — nie na potrzeby Śródmieścia czy Polesia, lecz całego makroregionu. Mieszkańcy tych terenów w dalszym ciągu korzystają z łódzkich teatrów, natomiast znakomita część środków przeznaczonych na kulturę dzielona jest podług ilości mieszkańców danego województwa, a potem dopiero na instytucje artystyczne. A zatem Łódź — konkludował — pracuje także na rzecz ościennych województw, czego w centrali nikt nie chce dostrzec. Dostrzec, iż pewien stan przestał istnieć administracyjnie jednakże kulturowo trwa. Jeżeli więc dziś mówi się o kasacji czy też fuzji teatrów, to trzeba mieć na względzie uwarunkowania, w jakich pracują teatry oraz ich funkcję kulturową w konkretnym środowisku.

Dyrektor Filharmonii, **Zbigniew Lasocki** przypomniał w tym miejscu że do dziś obowiązuje uchwała Rady Ministrów nakładająca na instytucje artystyczne obowiązek obsługiwania terenów należących do sąsiednich województw, tyle że o funduszach na ten cel zapomniano. Tak jak zapomniano o wielu innych sprawach. — Byliśmy swego czasu u prezydenta w sprawie pozyskania środków — mówił dyr. Lasocki. — Prezydent odpowiedział nam, ni mniej ni więcej, cóż może zrobić skoro 95 proc. dochodu z przemysłu odprowadzane jest do centrali, a gdy trzeba budować dodatkowe ujęcie wody z Pilicy, miasto musi się uporać z tym w ramach posiadanych środków. Tymczasem 80 proc. wody zużywa przemysł, z którego dochód odpływa z miasta...

Wiele i z wielką troską mówiono o sytuacji materialnej ludzi teatru, zarówno z zespołów artystycznych jak i technicznych. Dyrektor Hutek np. zwrócił uwagę na ogromne dysproporcje w zarobkach aktorów. Posiadają wyższe wykształcenie, podobnie jak inżynierowie w zakładach produkcyjnych czy instytucjach. Tyle że absolwentowi szkoły aktorskiej, nawet najbardziej utalentowanemu, można zaproponować 35—40 tys. zł, a więc płacę niewspółmierną do zarobków oferowanych pracownikom z wyższym wykształceniem w zakładach pracy.

Równie nisko kształtują się zarobki pracowników obsługi. „Na 90 pracowników technicznych poszukujemy aktualnie 25 osób do najpoważniejszych prac. Ludzie odchodzą, choć całym sercem latami związani byli z teatrem, odchodzą gdyż wszędzie indziej zarobią więcej. W tej chwili nie mamy ani jednego maszynisty. Osoby, które pracują w obsłudze, nie dają gwarancji, że — jeśli powiemy np. aby zdjęli podłogę, nie zaczną rozbierać przypadkiem desek... Artysta, nawet najlepszy, a żyjący na takim poziomie i w takich warunkach, nie jest w stanie się skupić, pracować twórczo, wydajnie. Nie pamiętam od jak dawna miałem do czynienia podczas prób z aktorem skupionym, skoncentrowanym i przygotowanym. Towarzyszy im poczucie niedowartościowania, głębokiej, moralnej krzywdy, nierzadko porażki życiowej. Sytuacja moim zdaniem — powiedział Jerzy Hutek — jest tragiczna. Moralnie już się rozsypaliśmy..."

Dyrektor Lasocki dodał, że nastroje w środowisku są minorowe. Część ludzi powiedziała wręcz, że za otrzymywane pieniądze nie są w stanie wyżywić siebie i swojej rodziny, że coraz więcej osób zabiega o wyjazd za granicę, by zarobić 1000, a bywa i 4000 dol. miesięcznie. Pozostaną więc ci, którzy nie mają takich szans. „Jestem w stanie zrozumieć — powiedział — wytłumaczyć zespołowi, iż żyjemy w takich, a nie innych warunkach, że wszyscy musimy zacisnąć pasa i ponosić koszty zaistniałej sytuacji. Ale nie jestem w stanie wytłumaczyć, dlaczego np. pani z PKO zarabia 100 tys. zł, a koncertmistrz... 56 tys. zł..."

Ktoś inny zwrócił uwagę na to, że gdyby w związku z inflacją istniały mechanizmy waloryzacji i rekompensat, dyrektorzy teatrów skłonni byliby ograniczać zatrudnienie, tam gdzie to możliwe. A ponieważ dotacje, środki dla teatrów, przeliczane są na jednego zatrudnionego — nikt nie jest tym zainteresowany. Więcej, pełne zatrudnienie nawet sprzątaczek, stanowi czysty zysk.

Ostro polemizowano z poglądem, iż średnie zarobki w teatrach wynoszą 70—80 tys. zł miesięcznie. Nawet jeśli utrzymywano, to aktorzy osiągają taki dochód kosztem ponadnormatywnych przedstawień, tak jak personel obsługi — kosztem dodatkowego wysiłku. Praca pierwszych składa się z niskiej płacy zasadniczej i gratyfikacji za przedstawienia dodatkowe, płaca drugich — z płacy zasadniczej i premii. Skutki takiego stanu to przemęczenie i — jak w Teatrze Wielkim — wzrost liczby wypadków przy pracy, spowodowanych przemęczeniem, nadmiernym obciążeniem. W Teatrze Wielkim np. brakuje aktualnie 69 pracowników. I to fachowców o bardzo wysokich kwalifikacjach inżynierskich, technicznych...

Niestety, pośród gorzkich wyrzutów w rodzaju: „władze miasta powinny zdecydowanie domagać się od ministerstwa zwiększenia środków, powinny walczyć zdecydowanie..." itp., zabrakło refleksji, przemyśleń, co do tego, jak widzą siebie i swój teatr w najbliższej przyszłości, co zamierzają robić, aby nie tyle przetrwać ile istnieć?!

To prawda, że na wiele pytań nie ma jeszcze jednoznacznych odpowiedzi, lecz nikt nie może mieć już wątpliwości co do tego, że dotychczasowy system funkcjonowania placówek artystycznych należy do bezpowrotnej przeszłości, że liczyć się będzie pozycja teatru, jego miejsce w środowisku, a co najważniejsze — liczyć się będą możliwości finansowe. Bo czyż stać nas będzie na dotacje w dotychczasowej skali. Dotacje wcale niemałe. Oto przykłady: średnio ceny biletów na imprezy artystyczne w kraju wzrosły w stosunku do 1986 r. o 40 proc., ale też i wzrosły dopłaty, które (średnio) na jednego widza wynosiły: w teatrach dramatycznych 1.353 zł, (w 1986 r. — 1.035, a w 1985 r. — 873 zł); w teatrach lalkowych — 504 zł (i odpowiednio: 391 i 331 zł); w operach i operetkach — 2.332 zł (1.729 i 1.426 zł); w filharmoniach i orkiestrach — 428 zł (odpowiednio: 331 i 283 zł).

Na marginesie warto odnotować, iż niższe były dopłaty do jednego widza w instytucjach artystycznych, których organem założycielskim jest minister kultury i sztuki: w Teatrze Wielkim w Warszawie — 224,09 zł (w 1986 r. — 138,34 zł); w Teatrze Narodowym — 127,58 zł (odpowiednio — 84.63 zł); w Teatrze Rzeczypospolitej — 192,9 zł (93,6 zł) i w Filharmonii Narodowej — 122,71 zł (73,54 zł).

Czy i na ile nas będzie stać odpowie najbliższa przyszłość. Za to już dziś teatry powinny opracować taki program, który będzie przystawalny do zaistniałej sytuacji, nie obliczony na przetrwanie, lecz istnienie, funkcjonowanie w nowych warunkach.

Na takie możliwości zwrócił uwagę w swoim wystąpieniu wiceprezydent Janusz Urbaniak. Życie w skromnych, oszczędnych warunkach to nie tylko kwestia wynikająca ze zmniejszonych dotacji, lecz z potrzeby rozumnego, gospodarnego pożytkowania środków oddanych do dyspozycji teatrów.

Teatr Nowy np. — powiedział dyr. Reiter — zwrócił się o 12 mln zł z przeznaczeniem na tzw. zraszacze, w przeciwnym bowiem wypadku teatr może być zamknięty. Są to potrzeby oczywiste i nieodzowne, tyle że od początku roku teatr posiadał 19 mln zł, które wydał na inny cel. Skoro więc — powiedział — taka groźba istnieje (przecież nie od dziś!) należało w pierwszym rzędzie pomyśleć o tej najpilniejszej potrzebie. Wskazał również na dość znaczne rozpiętości w zarobkach, także i pomiędzy dyrekcjami teatrów — pułap sięga w niektórych 300 tys. zł miesięcznie.

Warunki, w jakich przyjdzie *funkcjonować teatrom będą* wymagały licznych przewartościowań, zmiany sposobu myślenia. Także i w zakresie szeroko rozwiniętych kontaktów zagranicznych, które nie są tanie, a wyniki bywają różne. Wystarczy przyjrzeć się, co w zamian łodzianie oglądają: bywa, iż są to wydarzenia dużej miary, lecz **także i** na żenującym poziomie. Ta sprawa także będzie wymagała przemyśleń, nie mówiąc już o tak prozaicznej kwestii jak chociażby korzystanie z... telefonów. Są instytucje artystyczne, w których opłaty za telefon sięgają 350 tys. zł miesięcznie! Dostępność bowiem do telefonu w dalszym ciągu traktowana jest i zaliczana do tzw. konsumpcji zbiorowej, na którą, niestety, nie będzie nas stać...

Wiceprezydent Janusz Urbaniak zapowiedział rychły powrót do wielu z poruszonych spraw, a szczególnie do przyszłości i losów łódzkich placówek artystycznych oraz materialnych problemów środowiska teatralnego.

MARIAN ZDROJEWSKI

PESTKI DYNI

Śmiech — powiada Rabelais — to szczere królestwo człowieka. Szczere i prawdziwe, dodajmy.

Psychiatrzy, lekarze, socjologowie, historycy kultury i obyczaju zgodni są co do faktu, że zdrowy śmiech jest dla organizmu istnym dobrodziejstwem. Już Hipokrates spostrzegł kojący wpływ „pogodnego i wesołego nastawienia ducha w obliczu przeciwności losu". Arystoteles przypisywał śmiechowi „zdolności rozwijania cech indywidualnych". Kant — „wyzwolenie napiętych energii". Dla Freuda śmiech był radosnym powrotem do dzieciństwa, dla Bergsona — „narzędziem naprawy niedoskonałości psychicznych i fizycznych, doprowadzeniem do stanu równowagi".

Doktor **William Fry** ze Stanford University twierdzi, że śmiech daje tyle, ile dobra porcja joggingu: część mięśni klatki piersiowej i ramion na przemian pracuje i odpoczywa. „Główną korzyść przynosi śmiech układowi oddechowemu: w śmiechu oddech jest głębszy, dzięki czemu przemieszczają się płuca, co z kolei sprzyja lepszemu utlenianiu krwi".

Śmiech zwiększa też prawdopodobnie produkcję adrenaliny i noradrenaliny, hormonów powodujących z kolei wydzielanie endorfiny, która działa niczym środek uspokajający. Stąd znieczulające lub terapeutyczne działanie śmiechu.

Sondaże przeprowadzone w kilku krajach europejskich wykazały, że na przykład we Francji przeciętny obywatel w 1939 roku śmiał się 19 minut dziennie, podczas gdy w 1987 — zaledwie 5 minut, a 24 procent ankietowanych przyznało, że śmiechowi „poświęcają" mniej niż minutę dziennie. Gdyby takie badania przeprowadzić u nas, wyniki byłyby jeszcze bardziej ponure.

A przecież przyjemność śmiechu „towarzyszy historii człowieka i trudno było inaczej, skoro zdolność śmiania się odróżnia »śmiejące się zwierzę«, właśnie homo sapiens, od wszystkich innych istot żywych". (Giulliano Ferieri — EUROPEO.)

Osobiście uważam, że zwierzęta śmiać się potrafią — acz nie wszystkie. To fakt. Podobnego zdania jest Lino Pentari, weterynarz z Mediolanu. „Koń śmieje się obnażając zęby, pies — merdając ogonem, ostryga — rytmicznie poruszając skorupą, ptak — śpiewając tak, a nie inaczej. Zwierzęta, które śnią (np. pies), śmieją się czasem przez sen: mój pies we śnie merda ogonem i poszczekuje, przypuszczam, że śni mu się kość, a jego śmiech wyraża psychiczny stan zadowolenia".

Również państwo Gucwińscy w swoich audycjach niejednokrotnie wyrażali pogląd, w oparciu o długoletnie obserwacje, że zwierzęta potrafią się śmiać.

Uśmiech i śmiech wyrażają najczęściej radość życia. Ale nie tylko: dziecko śmieje się dlatego, że uśmiech daje mu możliwość wejścia w kontakt z resztą świata. Mówi się, że maleńkie dziecko uczy się śmiać przez naśladownictwo, ale to nieprawda — uśmiecha się nawet dziecko, które nie widzi. Pochodzenie śmiechu u człowieka wiąże się więc z pewnym czynnikiem dziedzicznym, genetycznym być może. Zjawisko jest bardzo złożone: gotowość do pierwszego, automatycznego właśnie uśmiechu zależy od całej przekazywanej spuścizny kulturowej. Tak, to ważne stwierdzenie.

Naukowcy badają tajemnicę śmiechu. Powstała nawet leughing therapy — terapia śmiechem, przynosząca zdumiewające rezultaty, jak chociażby u takiego Normana Cousina, który wyleczył śmiertelną — wg opinii lekarzy — chorobę kręgosłupa, oglądając nieme komedie filmowe.

A zatem panie i panowie — śmiejmy się!!! Zrywajmy boki, sikajmy ze śmiechu, nawet jeśli mieliśmy trudne dzieciństwo i jeszcze trudniejszą młodość...

ANDRZEJ GRUN

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

BUBLE CZY...?

— Jest to sytuacja trudna nie tylko z czysto materialnego, handlowego punktu widzenia, ale i społecznego. Nie chodzi tu, oczywiście, o bezsporne pomyłki, potocznie zwane bublami, ale o książki, na których się nie poznano. Otóż odnotowujemy coraz więcej bardzo ważnych pod względem merytorycznym tytułów, które nie rozbudzają u czytelników takiego zainteresowania, na jakie zasługują. Niewątpliwie jest to rezultat braku odpowiedniego systemu promocji książki, jej reklamy w różnych środowiskach. Dlatego też, nasze wydawnictwo wysunęło ostatnio szereg propozycji pod adresem kolegów-wydawców i księgarzy, których wspólna realizacja, naszym zdaniem, poprawiłaby sytuację. Należy do nich powołanie — finansowanego przez wydawnictwa i księgarstwo — Ośrodka Badań Rynku Czytelniczego, zajmującego się bieżącą analizą rynku księgarskiego, zainteresowań czytelniczych, geografią sprzedaży itp. Przydałaby się również Agencja Promocji Książki, której zadaniem byłoby wypracowanie nowych form upowszechnienia książki i czytelnictwa, reklama, promocja prowadzona na zlecenie wydawnictw i przedsiębiorstw księgarskich, koordynacja niektórych działań promocyjnych, organizowanie wystaw itp. — powiedział **Stanisław Pieścik**, dyrektor i redaktor naczelny wydawnictwa **„Wiedza Powszechna".** — Dlatego też proponujemy zorganizowanie Krajowych Targów Książki, które służyłyby promocji tytułów znajdujących się w magazynach hurtowych, a nawet detalicznej sieci księgarskiej. Targi umożliwiałyby też wstępną promocję książek znajdujących się w druku. Korzystaliby z tego nie tylko księgarze, ale i bibliotekarze, a także indywidualni nabywcy. Jako organizatorów targów widzimy wszystkie instytucje i stowarzyszenia związane z książką... Siedzibą mogłaby być Łódź, z uwagi na centralne położenie i znajdujące się tam główne magazyny hurtowe...

„WSPOMNIENIA STAREGO AKTORA"

Pod takim tytułem ukazała się (nakładem KAW w Katowicach) książka **Juliusza Lubicz-Lisowskiego**, będącego ostatnim z grona tych, którzy tworzą ciągłość historii polskiej sceny od międzywojennego dwudziestolecia do dnia dzisiejszego. W odróżnieniu od wielu pamiętnikarzy w książce nie wysuwa własnej osoby na pierwszy plan. Pisze o tych, z którymi znajomością lub przyjaźnią się szczycił; byli to **Juliusz Osterwa, Leon Schiller, Aleksander Zelwerowicz, Irena Solska, Stefan Jaracz, Maria Przybyłko-Potocka, Arnold Szyfman, Mieczysława Ćwiklińska, Karol Adwentowicz, Karol Szymanowski, Ludwik Solski, Magdalena Samozwaniec** i wiele innych równie znakomitych postaci. To oni są bohaterami opowieści i anegdot.

Do pisania zachęciła go, jak wspomina, Magdalena Samozwaniec. „Zapisz, bo zapomnisz" — mówiła. Juliusz Lubicz-Lisowski miał jednak wątpliwości, co innego opowiadać, a co innego pisać i czy ktoś w ogóle zechce to wydać. Ale Magdalena Samozwaniec nie podzielała tych obaw. „Nie martw się, są takie czasy, że prawdziwych pisarzy nie wydają, za to amatorów, jak najbardziej" — uspokoiła go. A oto inna anegdota związana z osobą autorki **„Marii i Magdaleny".** „Gdy pierwszy raz zobaczyła moją żonę — powiada aktor — zawołała z zachwytem: ach, jaka pani jest piękna. Gdyby żył mój ojciec, zaraz namalowałby pani portret, albo panią na koniu, albo samego konia. Nigdy nie było wiadomo, czy mówi poważnie, czy kpi. Nie oszczędzała nikogo, ani swojej rodziny, ani siebie. Taka była do ostatnich chwil swego życia"...

NA 200 ROCZNICĘ

Francuski reżyser **Robert Enrico**, wraz z **Johnem Guillerminem** z Wielkiej Brytanii, postanowił zrealizować film o Rewolucji Francuskiej. Pokazy filmu w paryskich kinach, przewidziane już na wrzesień br., będą jednym z punktów obchodów 200 rocznicy tego historycznego wydarzenia.

Twórcy postanowili przedstawić historię Wielkiej Rewolucji od chwili zdobycia Bastylii do upadku Robespierre'a. Realizację filmu zapowiedziano na osiem miesięcy, a uczestniczyć w niej

NA SCENIE „NOWEGO"

Wokół mamony

Jak sobie radził niegdysiejszy posesjonat, czyli właściciel majętności nieruchomej, żeby zapewnić sobie na stare lata wikt i opierunek, a nie być zmuszonym przypatrywać się, jak drodzy spadkobiercy liczą mu każdą, niesioną do ust, łyżkę strawy, która uszczupla ich majątkową substancję, a może też, Boże uchowaj, dosypują mu czego cichcem do zupy? Otóż zawierał on z kimkolwiek umowę, mocą której ten ktoś, w zamian za korzystanie z jego majątku, musiał dotrzymywać zaciągniętych zobowiązań i był zainteresowany w tym, żeby kontrakt, zwany dożywociem, trwał jak najdłużej.

Dożywocie niekiedy potajemnie dzierżawiono i wypuszczano w zastaw. Zresztą, kto spragniony bardziej wyczerpujących wiadomości w tym przedmiocie, znajdzie je choćby u Glogera. Najważniejsze dla nas, że **Aleksandrowi Fredrze**, przenikliwemu znawcy realiów życia codziennego, sprawy te dostarczyły pomysłu do komedii, którą oglądamy obecnie w **Teatrze Nowym** w reżyserii **Ludwika Benoit.**

Osią intrygi jest więc wspomniana handlowa transakcja, a raczej spekulacja, dzięki której przebiegły lichwiarz Łatka, nabywca dożywocia Leona Birbanckiego ma wszelkie powody, żeby drżeć o zdrowie i życie tego hulaki i birbanta. Daje to autorowi znakomitą sposobność do obnażenia małostkowych i niecnych zabiegów, rzucających cień na skłonności natury ludzkiej i choć dożywocie, przynajmniej w tej postaci, wyszło z mody, powinniśmy ze zrozumieniem odnieść się do naszych przodków, którzy jak mogli, tak starali się zadbać i o siebie, i o swych wnuków...

Otóż w tym to przedsięwzięciu każdy z bohaterów intrygi po trosze macza palce i nikt nie jest tu bez skazy, nawet zacny prowincjonalny szlachciura, Orgon, skłonny zawierzyć los ukochanej córki małżeństwu ze starym i odrażającym lichwiarzem. Zresztą te ludzkie przywary nie wywołują zdecydowanego potępienia autora dla swoich bohaterów, czemu bynajmniej nie przeczą moralizatorskie tyrady oskubywanego z wszystkich stron Orgona, kierowane ogólnikowo do świata i ludzi. Ludzie są świnie — mawiamy i dziś, wyłączając z tego siebie i aktualnego rozmówcę...

Z uwzględnieniem tych uwarunkowań, reżyser poprowadził rzecz akuratnie i bez udziwnień, dbając o zróżnicowanie całej galerii osób. LUDWIK BENOIT kreował też rolę bezwzględnego i konsekwentnego, pozbawionego skrupułów **Twardosza**, którego flegmatyczne usposobienie stanowiło doskonały kontrast dla zachowań znerwicowanego, miotającego się **Łatki**, spalającego się w gonitwie za pieniądzem, co z temperamentem i brawurą zagrał BRONISŁAW WROCŁAWSKI (chwilami niestety kosztem dykcji), choć niepotrzebnie, moim zdaniem, przydając postaci rysy demoniczno-farsowe. Obaj stanowili zresztą świetnie zgraną parę.

Bogatą galerię postaci zdecydowanie komicznych uzupełniali JANUSZ KUBICKI, jako **Dokter Hugo**, pieczeniarz o manierach salonowca, i dla kontrastu — obaj „z waszecia" — bracia **Rafał** i **Michał Lagenowie** — MICHAŁ KRET i MARIUSZ PILAWSKI, a także z komediowym wdziękiem rezolutnej prowincjuszki — KATARZYNA WĘGLICKA — **Rózia**, córka Orgona. Nieco odstawała od komediowej konwencji rola **Birbanckiego** w wykonaniu ANDRZEJA MUSIAŁA, którą nazwałbym wielce sprawną i swobodną scenicznie, ale bez krzty fredrowskiego, ciepłego humoru. Zresztą gorącą wzajemnie miłość obojga młodych trzeba przyjąć z lojalności wobec autora.

Dość niewdzięczna na tle komediowych oczekiwań publiczności rola Orgona przypadła BOGUSŁAWOWI MACHOWI, który potrafił wydobyć z niej akcenty wzruszające. Wreszcie **Filip**, młody DARIUSZ WIKTOROWICZ, frant kuty na cztery nogi, również nie pobudzający widzów do śmiechu; czy słusznie?

Przedstawienie toczyło się wartko, w scenografii funkcjonalnej, wolnej na szczęście od maniery estetyzującej wszystko, co tylko staroszlacheckie. Wystawienie **„Dożywocia"** dowiodło, iż mimo upływu czasu, zmiany pojęć i obyczajów również ta sztuka Fredry (oprócz niezawodnej „Zemsty" i „Ślubów"), dzięki świetnie skreślonym postaciom i komediowej celności tekstu, może zainteresować i zabawić współczesnego widza.

JERZY KWIECIŃSKI

Aleksander Fredro: „Dożywocie, komedia w trzech aktach, wierszem". Reżyseria — **Ludwik Benoit**, scenografia — **Iwona Zaborowska**, opracowanie muzyczne — **Teresa Stokowska-Gajda.** Premiera 2 czerwca.

Ludwik Benoit i Bronisław Wrocławski w „Dożywociu" A. Fredry

Foto: Andrzej Brustman

Młynarski

Ktoś kiedyś nazwał piosenki **Wojciecha Młynarskiego** śpiewanymi felietonami, a piszące i gadające papugi powtarzają to określenie do znudzenia. Nie było chyba wywiadu z artystą, w którym nie padłaby owa nazwa, na co Młynarski elegancko i uprzejmie przystaje, dodając jednak uparcie jakieś „ale...". Skoro jesteśmy przy terminach literackich: dlaczego nie mógłby to być śpiewany esej lub minireportaż hę?

Pal jednak licho definicję. Najważniejsze, że artysta jest w świetnej formie, czego dowiódł niedawno, występując z recitalami w sali lustrzanej Muzeum Historii Miasta Łodzi. Impresariat Artystyczny Muzeum sprawił miłośnikom talentu Wojciecha Młynarskiego wielką radość, a oni odwzajemnili się tłumnym przybyciem na imprezę, mimo iż nie była zbyt mocno reklamowana. Zignorowali tym samym nachalnie reklamowany bzdet estradowy, toczący się równolegle w Teatrze Wielkim, dając tym dowód właściwego rozeznania i dobrego smaku. Obecność przedstawicieli władz kulturalnych w Muzeum, a nie w Teatrze Wielkim, również jest wymowna.

Młynarski zaprezentował piosenki w lat osiemdziesiątych, a także wygłosił dwa najnowsze teksty, jeszcze nie mające oprawy muzycznej. Robił to ze swadą, lekkością i dowcipem, był taki, jakim go znamy i pamiętamy od ponad 25 lat. Jest to niezwykły przykład utrzymania wysokiej formy artystycznej, literackiej i wykonawczej. Że też poskąpił Dobry Stwórca podobnych zalet innym pracownikom wielu dziedzin życia społecznego i politycznego. Powinno się zacząć lansować hasła: „Bądź Młynarskim gospodarki, albo zarządzania, lub skupu mleka, a przede wszystkim myślenia".

Ponieważ lata osiemdziesiąte spuchnięte są od ważnych wydarzeń w naszym kraju, pożywkę do swych utworów miał artysta znakomitą. Cięte, niekiedy gorzkie, ale zawsze dowcipne teksty są znakomicie puentowane, wzbudzają wesołość i aplauz nawet prominentów, choć o sobie wysłuchali przed chwilą ostro brzmiącą satyrę. Talent gawędziarski, niewymuszona lekkość nawiązywania kontaktów z publicznością, żartobliwe wprowadzenia i komentarze do wykonywanych utworów powodowały, że koncert toczył się w wartkim tempie, dynamicznie, a bisom mogłoby nie być końca.

MAREK KOPROWSKI

„Ty bywasz poetą"

Rozmowa z piosenkarzem — ANDRZEJEM PONIEDZIELSKIM.

— Studia ukończył pan na Wydziale Elektrycznym Politechniki Kieleckiej. Od czego zaczęła się pana przygoda z piosenką?

— W połowie lat siedemdziesiątych przebywałem w gronie ludzi rozśpiewanych. Naszym idolem był Bulat Okudżawa. Zacząłem pisać własne kompozycje. Głównie do szuflady. Podekscytowany rozśpiewaną atmosferą naszych spotkań coraz częściej nabieraiem odwagi do śpiewania utworów własnych. W spotkaniach uczestniczyła dziewczyna, która bez mojej zgody zgłosiła mnie do „Przeglądu Kwalifikacyjnego" w Kielcach. Powiadomiła mnie o tym. Pojechałem. Warunkiem uczestnictwa w tej imprezie było zaśpiewanie własnych kompozycji. W cenie były piosenki autorskie. Wystartowałem piosenkami: „Kardiogram", „Bawitko" i „Chodzę po świecie". Zostałem zakwalifikowany na Festiwal Piosenki Studenckiej do Krakowa. Tam właśnie w 1977 r. zdobyłem Nagrodę Naczelnej Redakcji Muzyki Rozrywkowej Polskiego Radia i Telewizji.

— W rok później uzyskał pan I Nagrodę na I Przeglądzie Piosenki Autorskiej w Warszawie i ponownie wygrał pan konkurs w Krakowie. Od tamtej pory był pan częstym gościem w telewizji i rozgłośni radiowej. Fundatorzy nagród zadbali o promocję pańskiej osoby.

— Myślę, że czuli się zobowiązani do torowania mi dalszej drogi. To prawda, że brałem udział w różnych programach telewizyjnych i zrobiłem kilka nagrań radiowych, ale uważam, że to nie był dobry czas dla moich piosenek.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Lata siedemdziesiąte miały się ku końcowi. W Polsce nie było dobrze, unikano smutku, a moje piosenki były dość ponure.

— Jakiego rodzaju zdarzenia mają najsilniejszą moc inspirującą do napisania piosenki?

— Widoczna głupota. Głupotę może wykazać kobieta stojąca w kolejce po „Express Ilustrowany", jak i przedstawiciel rządu w swoim oficjalnym wystąpieniu. Ta jawna, niczym nie maskowana głupota, doprowadza mnie do stanu wrzenia. Spostrzeżenia zalegają we mnie i w końcu eksplodują w postaci piosenki. Gdy coś absurdalnego zaobserwuję, muszę problem przetrawić, żeby go w miarę celnie spointować. Inaczej powstawałyby koszmarne rzeczy. Czuję się współodpowiedzialny za dalszy rozwój rodzaju ludzkiego.

— To brzmi bardzo patetycznie...

— Ale tak wygląda. Bezmyślność ludzka doprowadza mnie do szału. Denerwuje mnie głupota u dzieci, a cóż dopiero u ludzi dorosłych, od których mam prawo wymagać czegoś więcej.

— Pana późniejsze utwory są łagodniejsze. Jest w nich miejsce na liryzm i wzruszenie nad codziennością, a „Walczyk na cztery ręce" i „Piosenka Hydromilosna" są tego najlepszym potwierdzeniem. Dlaczego odszedł pan od formuły piosenki protestującej, w końcu tymi utworami zaskarbił pan sobie sympatię i uznanie słuchaczy?

— Ja od niczego nie odszedłem. To samo życie pokierowało moim piórem. Kiedy jest się bardzo młodym, to wszystko ocenia się w kategoriach: czarne, białe. Na szarość nie ma miejsca. Później dopiero okazuje się, że nasza rzeczywistość jest bardzo skomplikowana i nie można dokonywać tak jednoznacznych ocen. Częstokroć ludzie postępują w sposób budzący wątpliwości z moralnego i etycznego punktu widzenia tylko dlatego, że nie mają innego wyboru... Widzi pani, w moim zawodzie żyje się bardzo szybko. Dużo więcej poznaje się ciekawych ludzi, częściej zatem trafiają się ci mądrzejsi, którzy zarażają swoimi przemyśleniami. Przebywając w takim otoczeniu człowiek w naturalny sposób szybciej dojrzewa i zaczyna inaczej postrzegać świat i ludzkie działania. Dochodzi do silnych przewartościowań. Inne sprawy, inne wartości stają się naczelnymi.

— Na przykład jakie?

— Dzisiaj najbardziej cenię sobie spokój. Uważam, że jeżeli człowieka stać na taki stan ducha, to w ślad za nim rozwijają się wszystkie inne pozytywne cechy charakteru przypisywane rodzajowi ludzkiemu. Ludzi, którzy wypracowali w sobie tę cechę, bardzo trudno jest czymś zaskoczyć. Oni potrafią doskonale przewidzieć, co za chwilę może się wydarzyć i to ich już nie porusza. To jednak nie znaczy, że otaczająca rzeczywistość jest im obojętna. Żałuję, że sam jeszcze nie dopracowałem się wewnętrznego spokoju.

— Czy dążenie do spokoju wyzwala w pańskiej twórczości poetyckiej wzruszenia?

— Pani, zdaje się ma ochotę nazwać mnie poetą?

— A nie jest pan?

— Chyba nie. Poeta trzeba się urodzić. Trzeba nim być. Nie wystarcza zdolność rymowania i zawierania myśli w paru linijkach. Mój kolega kiedyś powiedział: „Poniedzielski — ty bywasz poetą!" I to mi wystarcza. Nie mam żadnych złudzeń, co do mojego zawodu. Nie przeskoczę autocenzury. Zrymowanie dwóch słów: cień i dzień, nie zadowala mnie.

— A co pana zadowala?

— Zależy mi, aby piosenka była o czymś. Wiem, że nie mówię niczego odkrywczego. Wielu już tak mówiło, ale dla mnie tylko taka piosenka ma wartość, w której pewne prawdy oczywiste poukładałem po swojemu. Sam do nich doszedłem.

— Czy dzisiejsze przewartościowania dokonujące się w naszym społeczeństwie nie prowokują pana do napisania utworu, ujawniającego pański prywatny stosunek do tych zmian?

— Owszem. Obrady „okrągłego stołu" poruszyły mną. Wizualnie okrągły stół przypomina mi obwarzanek. Uczestnicy spotkań siedzieli po jego zewnętrznej stronie, a w środku było tyle wolnego miejsca. Szkoda, że tam nie zasiadł naród, który ma dość słuchania tego wszystkiego. Na pewno te obrady przyczynią się do istotnych zmian w życiu Polaków, ale jeżeli zabiorę głos w tej kwestii, to będę bliski refleksji, jaka płynie z mojego wcześniejszego utworu, adresowanego do Pani Polski, pt. „Piosenka o chyba jeszcze miłości". Jej pierwsze słowa brzmią: Coraz trudniej mi pisać do ciebie... Bardzo nie lubię, kiedy inni ludzie wypowiadają się w moim imieniu, podczas gdy ja myślę inaczej.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Galeria pisarzy

EDWARD KOLBUS

Rys. Sławomir Arabski

Kronika

XX MIĘDZYNARODOWE WARSZTATY ARTYSTYCZNE '89 zainaugurowane zostały uroczyście 3 bm. **w siedzibie Widzewskiego Dzielnicowego Domu Kultury — organizatora imprezy. Patronuje im redakcja „Expressu Ilustrowanego".**

Na program warsztatów składają się **zajęcia z wysoko kwalifikowanymi choreografami i instruktorami muzyki, wspólne występy zespołów zagranicznych i krajowych, międzynarodowy karnawał folkloru, koncert galowy w salach Muzeum Historii Miasta Łodzi.**

Przybyłe do naszego miasta zespoły m.in. z Portugalii, Litwy, Łotwy, kraju Basków, gościć będą do 24 lipca — prezentując folklor ojczystych stron.

Z INICJATYWY PRZEDSIĘBIORSTWA „PROSPEROR" (Spółka z o.o.) w łódzkich hotelach **„Grand"** i **„Światowit"** powstają **minigalerie.**

W **„Grandzie"** można już oglądać — dodające splendoru wnętrzom — **dzieła mistrzów sztuki nowoczesnej, zaś w „Światowicie" abstrakcjonizmu i realizmu** (zwiedzanie w godz. 8—21, sprzedaż — 11.30—18.30).

Protektorat artystyczny nad tymi galeriami objęła PWSSP w Łodzi.

Ich **oficjalne otwarcie,** ze względu na okres urlopowy, **odbędzie się we wrześniu.**

W WARSZAWSKIEJ SYNAGODZE IM NOŻYKÓW odbył się 2 lipca br. **pierwszy po wojnie ślub religijny.** Związek zawarli: 23-letnia **Polka Joanna Kan** z 29-letnim **Robertem Blumem,** adwokatem **ze Stanów Zjednoczonych.** Węzłem małżeńskim złączył ich rabin **Menachem Joskowicz.**

WŚRÓD KLIENTÓW „SWATKI" znalazł się ostatnio **85-letni łodzianin,** który pragnie po raz czwarty się ożenić. Stawia tylko jeden warunek — **jego ulubienica musi być młodsza od niego o co najmniej dziesięć lat!**

W STAREJ GALERII ZPAF w Warszawie prezentowana była niecodzienna wystawa fotograficzna — **„Ocaleni z GULagu. Workuta 1955—57".**

Na tę wstrząsającą ekspozycję złożyło się m.in. **ponad 100 fotografii** wykonanych po zwolnieniu przez byłych polskich więźniów stalinowskich łagrów.

ZWYCIĘSTWEM DARIUSZA STACHURY, dyplomanta Akademii Muzycznej w Łodzi, zakończył się w naszym mieście **III Konkurs Wokalny o nagrodę Funduszu Artystycznego im. Ady Sari.**

Temu **rewelacyjnie** zapowiadającemu się **młodemu tenorowi przypadło,** wraz z nagrodą pieniężną, **stypendium muzyczne do Włoch.**

W DNIACH 14 i 15 września br. odbędzie się w **Łodzi XVI Ogólnopolski Festiwal Poezji.** W ramach niego rozstrzygnięte zostaną dwa konkursy poetyckie: na nie opublikowany **debiutancki tomik poezji** (składający się z ok. 40 wierszy) oraz na **zestaw poetycki** (od 3 do 5 tekstów).

Ponadto jury dokona wyboru **najciekawszego tomu poetyckiego,** spośród **pozycji z lat 1988/1989.** Na zwycięzcę w tej rywalizacji oczekuje **nagroda w wysokości 100 000 zł.**

LAUREATAMI TEGOROCZNEJ ŁÓDZKIEJ WIOSNY POETÓW, zorganizowanej już po raz **trzydziesty pierwszy** przez Oddział Wojewódzki **Stowarzyszenia PAX w Łodzi,** zostali: w kategorii utworów o tematyce religijnej — **Rafał Jaworski ze Sławkowa;** w dziale wierszy o problematyce ogólnej — **Ewa Bieganowska** z Katowic i **Stanisław Gola z Bielska-Białej** (dwie równorzędne drugie nagrody — pierwszej na przyznano). Zwycięzcą tradycyjnego **Turnieju Jednego Wiersza** został **M. Bochenek.**

W CHEŁMIE, mieście PKWN, w **Wojewódzkim Domu Kultury,** otwarta zostanie 15 bm. wystawa pn. **„Ekslibrisy grafików polskich 1944—1989".** Eksponaty pochodzą z bogatej kolekcji **Józefa Tadeusza Czosnyki** z Wojcieszowa.

W ODRESTAUROWANYM GMACHU MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE otwarto wielką **wystawę „Żydzi polscy".** Składa się na nią **przeszło 1000 eksponatów,** wypożyczonych z 36 galerii oraz ze zbiorów prywatnych — m.in. **Anieli Rubinstein, Wojciecha Fibaka i Wojciecha Borzobohatego.**

Autorem scenariusza tej bardzo ciekawej ekspozycji jest **dr Marek Rostworowski.**

TADEUSZ KONWICKI zakończył realizację **„Lawy"** — filmu oczekiwanego z ogromnym zainteresowaniem, **opartego na „Dziadach" Adama Mickiewicza.**

Jako pierwsi zobaczą go widzowie jubileuszowego, **XXX Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Moskwie. Jury przewodniczyć będzie Andrzej Wajda.**

HITEM WYDAWNICZYM „ALFY", podbijającej nasz rynek czytelniczy, jest **drugi tom katyńskiej trylogii: „Katyń, tło historyczne, fakty i dokumenty",** opracowany przez **dr Andrzeja Leszka Szcześniaka.** Wyszedł on spod pras **Łódzkiej Drukarni Dziełowej** w nakładzie **200 tys. egzemplarzy.**

Według solennych zapewnień wydawcy **tom trzeci** trylogii — noszący tytuł **„Relacje, wspomnienia, publikacje"** — pojawi się już **w sierpniu w księgarniach.** Dodajmy, że trafi zapewne pod księgarskie lady i do rąk obrotnych bukinistów.

KOLEJNĄ NIEZWYKLE CENNĄ PUBLIKACJĄ HISTORYCZNĄ, z zakresu budzącej wciąż wielkie zainteresowanie tematyki katyńskiej, jest opublikowana przez **„Książkę i Wiedzę"** praca **prof. Czesława Madajczyka pt. „Dramat katyński".**

Ta oparta na **bogatym materiale źródłowym** książka wytrawnego znawcy dziejów najnowszych — **wyróżniona została doroczną nagrodą „Miesięcznika Literackiego".**

W 84 ROCZNICĘ URODZIN PIONIERA KOSMONAUTYKI Arego Szternfelda odbyła się **w Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Moskwie sesja popularnonaukowa,** poświęcona uczczeniu pamięci wielkiego uczonego.

Z dużym zainteresowaniem uczestników spotkało się **wystąpienie dr Mirosława Zbigniewa Wojalskiego z Łodzi — znakomitego znawcy dorobku naukowego Arego Szternfelda — w którym omówił związki genialnego wynalazcy z Sieradzem i naszym miastem.**

ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ KONKURS LITERACKI „DEBIUTY — '89", zorganizowany przez **Centrum Kultury Młodych w Łodzi.** Jury przyznało **w dziale poezji I nagrodę Dariuszowi Bugalskiemu, II — Agacie Robak;** w dziale prozy postanowiło nie przyznawać I i II nagrody. **Nagroda III przypadła Adamowi Szymczykowi.**

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

będzie ok. 30 tys. statystów. Film pochłonie 30.000.000 franków, które wyłożył francuski kanał telewizyjny Antenne 2. Jakkolwiek nieznane są nazwiska odtwórców głównych ról, lecz wiadomo, że w filmie zagra gwiazdor francuskiego kina — **Robert Hossein.**

„PISAŁEM FATALNIE..."

„Ponieważ pisałem fatalnie i krytycy nie zostawili na mnie suchej nitki — oto powód, dla którego **Ingmar Bergman** zaniechał pisania tekstów teatralnych na rzecz scenariuszy do własnych filmów. — W 1942 r., powodowany życiową koniecznością, a także szukając pociechy, zabrałem się do pisania scenariuszy. Występowałem nawet w roli „murzyna" pracującego dla uznanych już scenarzystów. W tym okresie kręcono w Szwecji sporo filmów, około 50 rocznie, bardzo wiele, jak na taki mały kraj. Roboty więc nie brakowało, a ja, mając na utrzymaniu dzieci oraz byłe żony, musiałem jakoś zarabiać na chleb. Sytuacja była na tyle korzystna, że mogłem robić swoje, nie narażając się na ciosy krytyki, które dotknęły mnie tak boleśnie przy moich próbkach teatralnych. W ten sposób skończyłem z pisaniem dla teatru..." („la Repubblica")

GORZKIE WYRZUTY

„**Marek Maldis** w „100 pytaniach do..." robił gorzkie wyrzuty **Jackowi Kuroniowi,** że przed dwudziestu z okładem latami Kuroń deprawował kilkunastoletnich harcerzy (w tym samego Maldisa) zawiązując im na szyi czerwone chusty i zabraniając śpiewania legionowych pieśni (TV 2, 18 czerwca). Jeśli weźmiemy pod uwagę gorące przywiązanie współautora telewizyjnego programu „Dawniej niż wczoraj" do legionowych tradycji, zauważymy bez trudu, że niegdysiejsze zabiegi wychowawcze byłego druha Kuronia spaliły na panewce". („Antena" 27)

AUTOR... NAJTAŃSZY

Tzw. przeciętna książka kosztowała w ub.r. 292,2 zł (w 1986 — 209 zł) i była droższa o blisko 40 proc. w stosunku do roku poprzedniego. Statystycznie najdroższe były wydawnictwa z dziedziny nauk społecznych i społeczno-politycznych (610,26 zł w ub. r. i 383,38 w roku 1986), a najtańsza literatura dla dzieci i młodzieży (149,96 w ub.r. i 108,21 w 1986 r.).

W cenie produkcji książki usługi poligraficzne miały udział w 53,3 proc. (w roku poprzednim — 52,1), papier w 28,7 proc., a honoraria autorskie — 6 proc. (w roku poprzednim — 6,5 proc.). Natomiast na cenę książki w sprzedaży składały się: usługi poligraficzne — 32 proc., papier — 17,3 proc., marża księgarska — ok. 28 proc. Zysk księgarzy podobnie jak wydawców i przedsiębiorstw poligraficznych był w ub.r. objęty podatkiem dochodowym w wysokości 65 proc.

Byli legendą — wspomnienia z najbliższej przeszłości (7)

Ballada o „Jędrusiu"

RYSZARD BINKOWSKI

W Rawiczu Stanisław Wiącek przyjaźnił się z majorem Janem Jackowskim z Krakowa oraz z Mieczysławem Fidzińskim z Łodzi. Na wolności prowadził z nimi korespondencję. Wyjechał więc za pracą do Krakowa. Zamieszkał w jednym pokoju z Jackowskim, jego żoną i dzieckiem i zaczął się starać o mieszkanie. Niestety, nie mógł się nawet zameldować, w Krakowie nie chcieli przestępcy.

Wyjechał więc do Łodzi. Bez trudności zameldowano go w mieszkaniu teściowej Fidzińskiego. A z pracą były kłopoty. Jednakże dzięki pani Gieni z Koprzywnicy otrzymał wiadomość, że może się zgłosić do działu kadr zakładu pracy przy ul. Dąbrowskiego, podległego Centralnemu Zarządowi Przemysłu Tkanin Dekoracyjnych.

— W dziale kadr była długa kolejka. Czekam cierpliwie, aż tu widzę, że do pokoju obok wchodzi kilka osób. I naraz słyszę moje nazwisko. Zacząłem przepuszczać interesantów i słuchać ożywionej dyskusji za drzwiami. Nie wiedziałem jeszcze, co to takiego, a odbywało się właśnie posiedzenie egzekutywy na temat mojej osoby. Głosy były podzielone. Przestępca, dobry pracownik, a to że będzie występował przeciw partii i ustrojowi itp. Kierownik transportu, którego później poznałem i polubiłem, stwierdził, że obowiązkiem zakładu jest mnie przyjąć, stworzyć odpowiednie warunki i obserwować. Niech się sprawdzę, niech udowodnię, że siedziałem niewinnie. Nie wolno dopuścić, abym znowu wziął karabin do ręki. No i decyzją egzekutywy zostałem przyjęty na stanowisko księgowego materiałowego z pensją 602 zł miesięcznie, niższą od sprzątaczki.

Sam się wgryzał w ten bałagan, pozostawiony przez zwolnioną księgową, która nie chciała mu w niczym pomóc, i wyprowadził wszystko na czysto, zyskując uznanie głównego księgowego Tucholskiego. Po roku pracy, gdy miał 42 lata, ożenił się w Pabianicach i zamieszkał przy ul. Pięknej 11. Aby nie dojeżdżać do Łodzi, podjął pracę w Miejskim Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym w Pabianicach.

Miał więc pracę, kochaną żonę, dom rodzinny i warunki, jakich wielu mogło mu pozazdrościć. Ale wiatr historii nie rozwiał czarnej chmury, wlókł się za nim zły cień, nie ustawały szykany. Stanisław Wiącek był w Pabianicach człowiekiem obcym, nieznanym, podejrzanym, a że jego teść wrócił z Anglii jako żołnierz gen. Władysława Andersa, więc dla ludzi z bezpieki dom przy ul. Pięknej stał się prawdziwym gniazdem reakcji. Dom był ciągle obserwowany, wieczorem kręciły się po ogrodzie jakieś podejrzane typy, sąsiedzi donosili, że wciąż ich wypytują, kto bywa w tym domu itd. W MPRB nieżyjąca p. Koziarowa i inni ostrzegali, aby uważał na siebie, bo stale dopytują się, z kim przebywa, co mówi itp. A przecież było już po Październiku.

— Pracowałem w jednym pokoju ze Zdzisławem Niworskim, członkiem partii, i opowiadałem mu swoją przeszłość. To był rozsądny człowiek, z wyższym wykształceniem, bardzo dobry kolega. Kiedy po jednym z ostrzeżeń przyszedłem do pracy mocno przygnębiony, zapytał z troską, co mi jest. Zwierzyłem mu się, że nie chce mi się żyć, jestem wyczerpany i znerwicowany inwigilacją i szykanami. Wkrótce Zdzisław Niworski został kierownikiem wydziału spraw wewnętrznych UM w Pabianicach i złe cienie przepadły gdzieś, znikły...

Po pięciu latach pracy w MPRB przeniósł się do „Polfy", gdzie przepracował 15 lat. Nikt go nie szykanował, ale awansami gotówkowymi też nie pieścił. Nie był „swoim" człowiekiem.

Zaczął się starać o wyjazd do Anglii, aby odwiedzić brata i siostrę. Nikt nie wierzył, że mu się to uda. Poszedł więc do Zdzisława Niworskiego.

— Otrzymałem od siostry w Anglii zaproszenie i opłacony przejazd, łącznie z biletem powrotnym — powiedział. — A ty mnie znasz, prawda?

— Jasne. W czym więc rzecz?

— Mówią, że szkoda czasu na starania.

— Stasiu — pyta Niworski — a wrócisz?

— Tutaj mam dom, żonę i dzieci.

— Więc staraj się o ten wyjazd!

Zaczęto prowadzić wywiad środowiskowy. Pewnego razu Stanisław Wiącek pojechał samochodem służbowym pod dom i zobaczył przez okno milicjanta w mundurze. I wszystko nagle odżyło. To było silniejsze od niego, to sprzed lat... Chciał uciekać... Dopiero po kilku sekundach opanował się i wszedł do domu.

Teraz ma to już za sobą. Uśmiecha się szeroko, dusi w popielniczce niedopałek, prostuje się na kanapie i opowiada z humorem:

— Dzielnicowy przedstawił się, a ja pytam spokojnie, o co chodzi. Zakrył ręką formularz i pyta o dane personalne. Podaję dane, po czym rzucam od niechcenia, żeby nie zakrywał tej kartki, bo to chodzi o mój wyjazd do Anglii...

Zaskoczony dzielnicowy odkrył formularz i spisał dane personalne. Potem nastąpił kabaretowy dialog.

— Karany?

— Tak. Ale zrehabilitowany.

— Narodowość?

— Polska.

— Hmm... Ale jakiej pan był narodowości?

— Polskiej.

— To czemu zrehabilitowany? Za co?

— Proszę zaczekać, zaraz to wyjaśnię.

Wiącek wszedł do pokoju i przyniósł teczkę. Pokazał dzielnicowemu te dokumenty z wyrokami śmierci i więzienia, decyzję o umożeniu śledztwa, świadectwo zwolnienia ze Sztumu, przekazy z sumą pieniężną za odszkodowanie. Dzielnicowy kiwał bez przekonania głową. Wstał, podszedł do drzwi i rzucił na pożegnanie:

— Ale do Anglii, to pan nie pojedzie.

— Dlaczego?

— Figuruje pan w rejestrze skazanych.

Po trzech miesiącach Stanisława Wiącka wezwano do Łodzi. Otrzymał paszport. Wyjechał do Anglii i wrócił.

— Po powrocie spotykam kiedyś na ulicy dzielnicowego. Podchodzę, mówięc dzień dobry i pytam, czy pamięta, co mi przepowiedział.

— No, co?

— Że nie wyjadę do Anglii.

— Zgadza się!

— Byłem sześć tygodni w Londynie, wróciłem i dziury w niebie nie ma, panie dzielnicowy.

— Panie! To pan musi mieć chody!

— Ano, ma się te chody!

Odtąd dzielnicowy przy każdym spotkaniu salutuje Stanisławowi Wiąckowi.

Czas na ostatniego papierosa. Stanisław Wiącek mówi na pożegnanie:

— Doznałem krzywdy, ale to nie znaczy, że pragnę żyć w micie cierpiętnika. Postępowałem słusznie, nie mam sobie nic do zarzucenia. Stoję nad grobem ze świadomością, że spełniłem swój obowiązek wobec Ojczyzny...

Blade słońce pnie się po niebie, a na ziemi płoną złotem krzewy forsycji. Na ulicy Pięknej gruchają gołębie, a w cieniu drzew, w mroku cichych podwórek snuje się jak babie lato echo ballady o „Jędrusiu". Życie toczy się dalej...

KONIEC

Łódź: historia, wspomnienia, relacje (1)

Armata na kieracie

WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS

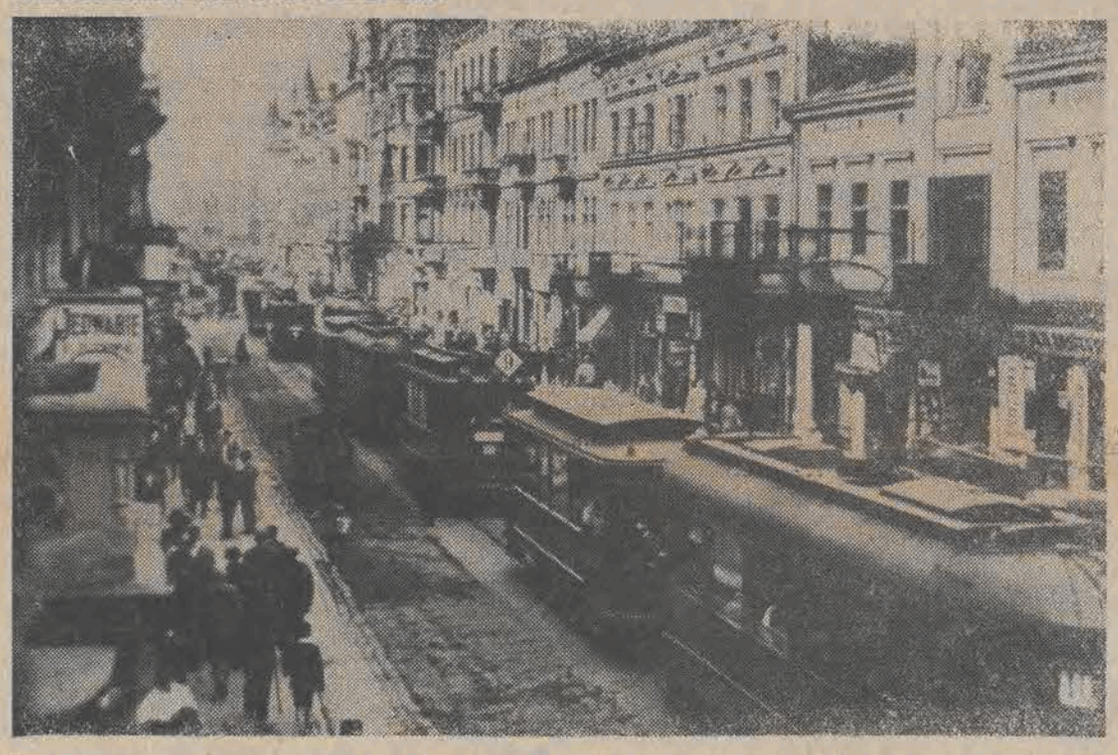

Piątego września 1939 r. wieczorem dotarła do nas wiadomość, że Niemcy sforsowali Wartę w pobliżu Sieradza i teraz wszystkimi siłami pancernymi prą na Łódź.

— Nie szkodzi — uspokajał nas ojciec. — W czasie I wojny światowej również przeprawiali się przez Wartę. Stawiliśmy im opór pod Konstantynowem. Ale tym razem nie popełnimy błędu Rosjan. Zatrzymamy ich na Nerze pod Lutomierskiem.

W parku Julianowskim kwaterował sztab Armii „Łódź". Zajęli pałacyk barona Heintzla. Dowódcą armii był gen. Juliusz Rómmel. Wiadomość ta zaniepokoiła ciotkę Terkę, a jeszcze bardziej pana Czerniewskiego. Pałacyk stał w lasku, kilkaset metrów od willi, w której wszyscy przebywaliśmy.

Rankiem szóstego września wyszedłem przed dom. Od strony miasta wszystkimi ulicami i drogami szły grupki mężczyzn w kierunku Łagiewnik.

— Co się dzieje? Dokąd idziecie? — zapytał zaniepokojony ojciec.

— Jak to? Nic pan nie wie? Nie słyszał pan komunikatu radiowego? Wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni wzywa się do wymarszu w kierunku Warszawy celem zorganizowania obrony stolicy.

— To już Warszawa jest zagrożona?

— A coś pan myślał? Z Czechosłowacji przeszli przez Karpaty i podchodzą pod Lwów.

Matka zaniepokojona naszą głośną rozmową z przechodzącymi ludźmi wyszła przed dom.

— Janko, spakuj nam trochę najpotrzebniejszych rzeczy do plecaka.

Nagle, nad parkiem Julianowskim, rozległ się ryk silników samolotowych i powietrzem wstrząsnęły wybuchy bomb. Niemieckie lotnictwo zlokalizowało siedzibę sztabu Armii „Łódź" i kilkoma nawrotami obróciło pałacyk w gruzy.

Żegnaliśmy się w pośpiechu.

Po południu dobrnęliśmy na skraj niewielkiego młodniaka brzezinowego. Przed nami wznosiły się wysokie kominy fabryczne, a dalej zasnute pasmami dymu Głowno. Drogą ciągnęły nieprzeliczone tłumy uchodźców. Jakiś Żyd w czarnym chałacie, w jarmułce na głowie, spod której wysuwały się misternie skręcone pejsy splatające się z długą brodą, dźwigał przywiązane sznurem na plecach duże lustro w masywnej ramie. Lustro podrygiwało śmiesznie w rytmie kroków utykającego Żyda, odbijając błękit nieba i rosnące wzdłuż drogi drzewa. Ktoś grubym kijem trzasnął w lustro niesione przez Żyda.

— Skurwysyn! Daje znaki tym lustrem!

— Jakie znaki? Jakie znaki? Pan wiesz, że uni, te hitlerowcy, nie kochają Żydów. Jakie znaki?

Facet zmitygował się szybko i odszedł w las, zostawiając zrozpaczonego Żyda nad okruchami rozbitego lustra.

Zaczęło się ściemniać, gdy maszerując przez pola, zobaczyliśmy łunę nad Łowiczem. Wyszliśmy z Łodzi w samych tylko ubraniach. Nikt z nas nie pomyślał o palcie czy kocu. Zmęczenie nie pozwalało na dalszy marsz. Ojciec ruszył w kierunku majaczącej w mroku chaty. Zapukał do drzwi. Otworzył mu starszy człowiek.

— Uciekinierzy — stwierdził krótko.

— Tak.

— Wchodźcie. Gdzie ich położymy? — spytał w głąb izby.

Gospodyni rozejrzała się wkoło. W ciasnej izbie siedziało i leżało kilkanaście osób i naprawdę nie było już więcej miejsca. Kobieta uśmiechnęła się serdecznie, powiedziała:

— Prześpicie się nad obórką, na sianku...

Skoro świt, po wypiciu kubka surowego mleka, ruszyliśmy w dalszą drogę. W pewnej chwili poczułem zapach pieczonego chleba. Rzeczywiście, w pobliskim domu mieściła się piekarnia. Zgromadzony tłum szturmował wejście do sklepu. W drzwiach stał ubielony mąką piekarz, a ku niemu wznosił się las rąk z pieniędzmi.

— Musicie poczekać jeszcze z pół godziny. Zaraz zakończę wypiek. Ale chleba nie wystarczy dla wszystkich.

— To dawaj pan po połowie bochenka — zaproponował któryś z czekających.

— Ale! Po pół bochenka! Ja muszę mieć chleb dla dziesięciu osób.

— To niech czekają tak samo jak my.

— Tam są małe dzieci.

— A pan myślisz, że ja zające prowadzę?

Awantura wisiała na włosku. Spór rozstrzygnął sierżant, który zeskoczył z podjeżdżającej podwody. Energicznie rozgarnął antagonistów i stanąwszy przed piekarzem, zadecydował:

— Cały wypiek dla wojska!

Nie było na co czekać. Ruszyliśmy w drogę. Doszliśmy do większego osiedla. Wzdłuż drogi ciągnął się wysoki, murowany parkan, za którym wznosiły się zabudowania fabryczne. Była to cukrownia w Łyszkowicach.

Za stodołą kręciło się kilku żołnierzy. Stanowili obsługę działka przeciwpancernego.

— Czy możemy się tu zatrzymać i trochę odpocząć — zapytał przezornie ojciec.

— Zostańcie. Prosimy. — kapral wskazał nam długą ławkę stojącą wzdłuż ściany stodoły. — Pomożecie nam wciągnąć działko na kierat.

— Na kierat? Po co?

— Czołgów jeszcze tu nie ma, więc zastąpi armatę przeciwlotnicza. Na kieracie będzie jeździła wkoło jak na karuzeli.

Byłem zachwycony przemyślnością żołnierzy. Wtoczyliśmy działko na kierat. Celowniczy usiadł na belce, amunicyjni przygotowywali pociski, a nasza trójka, na dany przez celowniczego znak, popychała drąg kieratu w pożądanym kierunku. W ten sposób lufa omiatała całe niebo.

Żołnierze ofiarowali każdemu z nas puszkę mięsnych konserw. Ojciec postanowił ugotować zupę. Siedzieliśmy w kucki nad parującym garnkiem. Wyjadaliśmy ostatnie łyżki zupy, gdy na drodze rozległ się krzyk:

— Lecą! Lecą! Znowu lecą!

Celowniczy w jednej chwili znalazł się na kieracie.

— Pomału w prawo. Zatrzymać się, jak powiem „stop"!

Nie zdążyłem niczego zobaczyć, gdy z wylotu lufy trysnął słup ognia, działko zsunęło się jednym kołem z kieratu, nad nami przemknął złowrogi cień i zaterkotał karabin maszynowy. Wszyscy padliśmy pod ścianę stodoły. Pod drzwiami, przy stojących spokojnie kominach, leżał jeden z żołnierzy, a na jego białej koszuli pojawiały się plamy krwi. Pocisk trafił go w lewe ramię.

Pomóżcie nam schować działko do stodoły, bo ten drań może tu wrócić — powiedział kapral.

Wepchnęliśmy je do stodoły.

Bocznymi drogami, przez laski i zagajniki, wytrwale maszerowaliśmy w kierunku wskazanym przez ojca. Późnym wieczorem znaleźliśmy stóg siana nie zajęty przez nikogo.

Nie wiem jak długo spałem. Poczułem, że ktoś mnie szarpie za ramię.

— Wstawaj Włoduś. Musimy szybko iść dalej. Niemcy następują.

Wmieszaliśmy się w ciągnący milcząco tłum. Długi wąż furmanek toczył się wolno poboczem drogi. Pan Czerniewski kręcił się niespokojnie i rozglądał nerwowo dookoła.

— Panie Witoldzie — zwrócił się niepewnie do ojca — mam pistolet belgijski. Chcę się go pozbyć. Gdzie mam go wyrzucić.

— Pokaż pan.

Pan Czerniewski dyskretnie podał ojcu metalowy przedmiot.

— Belgijka, kaliber sześć — stwierdził ojciec, chowając pistolet do tylnej kieszeni spodni.

— Pan chce go mieć przy sobie? — zdziwił się Czerniewski.

— Oczywiście.

— To niebezpieczne. Mogą znaleźć.

— Najpierw muszą zacząć szukać — zbagatelizował sprawę ojciec.

Weszliśmy w pierwsze zabudowania Wiskitek. Na ciasnych uliczkach przelewało się mrowie ludzi. Ojciec poszedł naprzód, a my stanęliśmy w kolejce po smakowicie pachnącą kaszankę. Dostaliśmy po całym kilogramie. Ociekała tłuszczem i parzyła palce. Minęło sporo czasu, a ojciec nie wracał. Pan Czerniewski był zrozpaczony. W osobie ojca zaakceptował dowódcę i bez niego czuł się zupełnie bezradny.

Na skrzyżowaniu dróg, gdzie wozy skłębiały się w jeszcze większe zatory, major wygrażał rewolwerem woźnicom chcącym wjechać na szosę, którą sunęły wojskowe tabory. Tuż obok majora zobaczyłem ojca. Najbardziej ze spotkania ucieszył się Czerniewski.

— Dobrze, że przyszliście. Furmanką daleko byśmy nie zajechali. Tędy musi przejść wojsko; przez Żyrardów idą na Mszczonów — wyjaśnił ojciec.

Słońce leniwie przebijało się przez poranną mgłę, gdy na horyzoncie zarysowały się wieże żyrardowskiego kościoła. Około ósmej rano wchodziliśmy do miasta. Byłem głodny jak wilk. Na budynku lekko cofniętym w głąb ulicy widniał napis: „Resursa Rzemieślnicza".

— Jeśli jest tu resursa, to musi być również bufet — stwierdził ojciec znający zwyczaje panujące w małych miastach.

Weszliśmy do środka. Na całą długość sali stał stół, na którym było pełno talerzy i sztućców. Uczta musiała być bardzo obfita, bo na półmiskach pozostały nietknięte, smakowicie wyglądające potrawy.

— Proszę bardzo, siadajcie panowie i jedzcie wszystko, na co macie ochotę — zaprosiła nas kobieta nie wyglądająca na kelnerkę. — Żegnaliśmy dowództwo sztabu. Idą do Warszawy.

Rynek w Żyrardowie był zatłoczony wozami z rannymi żołnierzami. Nieliczne samochody sanitarne z trudem przepychały się między furmankami, kierując się w stronę Mszczonowa. Na horyzoncie unosiły się w niebo czarne dymy i rozbłyskujące ognie eksplozji. Tam naprawdę toczył się bój.

C.D.N.

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

29

Korciło grubasa, żeby ją dogonić. Kto wie, co by zrobił, gdyby ujrzał w pobliżu funkcjonariusza albo biało-niebieski radiowóz, zamiast radiowozu jednak zobaczył wolną taksówkę i po krótkim namyśle zdobył się na heroiczny gest — wsiadł i podał kierowcy adres, dzięki czemu wyprzedził Jacka w drodze do domu. Zasadził się z lornetką w ciasnej kuchence. Palił i czekał.

Pozna w razie czego tę babę; spotkają się jeszcze! Przeświadczenie, iż jest na tropie grubej kryminalnej afery, krzepło w nim z każdą chwilą.

13.

— A jednak! — Gejsza otworzyła drzwi i stanęła na wprost ogromnego, iście królewskiego bukietu czerwonych róż, nad którym tkwiła poważna, uroczysta twarz Jacka T.

— Wejdź!

— Wszystkiego najlepszego. — Pocałował kochankę w usta. — Przepraszam, mistrzem świata w składaniu życzeń urodzinowych, to ja nie jestem.

— Ale w ogóle masz się dobrze?

— Tak.

Wprowadziła go do pokoju zarumieniona i szczęśliwa, no i trochę speszona. Szczupły, siwy mężczyzna obrzucił najpierw bacznym spojrzeniem Jacka, jego białą, nową koszulę i wiśniowy krawat w centki, po czym zatrzymał wzrok na córce. Wstał z głębokiego, skórzanego fotela. I on był trochę speszony. Poprawił szarą, elegancką marynarkę i uśmiechnął się bez zobowiązań.

— Pozwól, tatusiu, że ci przedstawię mojego... — Gejsza zawahała się chwilę i dodała —... chłopca.

— Miło mi. — Uścisnął Jackowi rękę i wrócił na fotel.

Dzieciak! Ta dziewczyna ma chyba źle w głowie. Przedtem, delikatnie mówiąc, rozpusta — teraz deprawacja nieletnich. Sąsiedzi nie darują jej tego.

— Zostawię panów na moment. — Gejsza potrząsnęła kwiatami, zdjęła z kredensu duży kryształowy wazon i wyszła rzucając w biegu: — Częstujcie się.

— Koniak? — Inżynier sięgnął po butelkę Camusa skłonny napełnić Jackowi kieliszek, ale chłopak powstrzymał go:

— Dziękuję.

— Nie pije pan?

Cóż może być lepszego niż cios z kontry we właściwym czasie — pomyślał Jacek i powiedział:

— Wolę whisky.

Ho, ho! Szokujący tupet u siedemnastoletniego wyrostka.

Chłopiec i mężczyzna obsłużyli się w milczeniu, każdy z innej butelki.

— Pan pracuje?

Jacek pokręcił głową.

— Miałem zdawać w tym roku maturę, ale zostałem utrącony.

— I co dalej?

— Nie wiem.

Pewność, że chłopak będzie mu nadskakiwał, opuszczała z wolna mężczyznę. Jakie dziwne, ponure oczy! A przy tym nie brak smarkaczowi obycia. Odmówię, odmówię! — przyrzekł sobie, kiedy Jacek wyjął z kieszeni camele.

Chłopiec jednak nie dał mu szans:

— Pozwoli pan, że zapalę?

— Proszę.

Wziął papierosa i posunął lekko paczkę w kierunku mężczyzny, co było jakąś tam formą poczęstunku, zbyt niewyraźną wszelako, aby skwitować ją słowem. Przyjechali kowboje, każdy pali swoje — błysnęło inżynierowi w głowie łobuzerskie porzekadło.

Wicher też pokrzepił się rymem. Poszły konie po betonie! Upił łyk z ciężkiej szklanki, puścił w sufit kłąb wonnego dymu i przyglądał się mężczyźnie bez żenady.

— Znałem pańskiego ojca.

— To miał pan szczęście — odparował chłopak. — Ja go osobiście nie poznałem.

Choroba sieroca, kompleksy, urazy. Nie wróży to nic dobrego.

— Słyszałem, że obecnie przebywa w Meksyku?

— Owszem.

— Nie wybiera się pan w odwiedziny?

— Być może.

— Kiedy.

— W tym roku.

— Sam?

— Z bratem i... z Barbarą, jeśli tylko wyrazi zgodę.

— I ja nic jeszcze o tym nie wiem? — Dziewczyna zawisła nad stołem z tacą, na której leżał brzuchem do góry złocisty, ociekający tłuszczem indyk.

Jacek przełknął ślinę. Był głodny; niepokoiły go krągłe, wydatne, zarysowane pod sukienką uda. Do cholery ze starym gadułą!

— Wczoraj Bernard napisał do ojca, żeby wysłał ci zaproszenie.

— A jeśli nie wyśle?

— To i ja nie pojadę — powiedział bez namysłu chłopak.

Zadowolona! Właśnie na taką odpowiedź czekała — stwierdził markotnie inżynier. Był dobrym, uczciwym człowiekiem. Kochał córkę, więc zaczął się pocieszać: — Może to naprawdę jest miłość? W sumie lepszy dzieciak niż armia kochanków. Patrzył na zaczerwienioną, wzruszoną twarz Gejszy. Ani śladu szminki i pudru! Wszystko w dobrym guście, wszystko wyważone. I te oczy — szczęśliwe, roziskrzone jakimś wewnętrznym światłem.

— Siadajcie! — powiedziała dziewczyna.

Zajęli miejsca przy stole. Inżynier pokroił indyka i zaczęli jeść — Gejsza powściągliwie, Jacek z hamowanym wigorem, mężczyzna ze zwykłymi w takich okolicznościach wyrzutami sumienia, nie mógł bowiem zapomnieć o żonie, która codziennie stała w kolejkach. Ano, jednym sprzyja szczęście, innym walą się na kark niepowodzenia i kłopoty. Meksyk. Całe życie marzył o podróży do Meksyku, lecz kiedy pojawiła się wreszcie taka możliwość, zakład wydelegował Szymańskiego.

— Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, chciałbym wznieść toast za pomyślność Barbary.

Inżynier nie miał nic przeciwko temu. Sam powinien wznieść toast i wygłosić krótką mowę. Skinął głową. Umoczył w winie blade, opadające lekko wargi. Mitygował się w duchu — nie wolno zazdrościć chłopcu i córce!

— Twoje zdrowie, Basiu!

— Dziękuję.

Czuł wilgoć pod powiekami i tę samą wilgoć czuła Gejsza. Kochany, najdroższy ojciec! Zestarzał się; przystojną, szlachetną twarz pokryły zmarszczki; dwie głębokie bruzdy biegły pionowo od nosa ku brodzie. Oczy były zgaszone, smutne, cierpiące. Nie umiał nawet powstrzymać westchnień, które wstrząsały od czasu do czasu jego kruchą klatką piersiową. Ciążył mu ten urodzinowy wieczór. Wiedziała, że chce wyjść, że nie zgodzi się zostać. Pewnie zrezygnuje nawet z hotelu, aby wrócić czym prędzej do matki, do jej ciągłych utyskiwań i nieprzerwanych bólów głowy.

To jest właśnie miłość!

— Ona wie, że tu jesteś?

Czytał w jej myślach.

— Podejrzewa.

— Były komentarze?

— Nie. O dziwo nie było komentarzy i dlatego wolałbym...

— Gejsza zerknęła na Jacka i oświadczyła bez ogródek:

— Wolałbyś! Oczywiście, że byś wolał! Nosi cię: czekasz na pretekst, żeby się pożegnać.

— Wybacz!

— I ty mi wybacz, tatusiu! Zrobisz to, co musisz zrobić, ale ... powiedz matce, że ją kocham i że bardzo za nią tęsknię. Powiedz jej, że się zmieniłam i że któregoś dnia przyjadę do was, choćbyście mieli zrzucić mnie ze schodów.

Przypadła do ojca i płakała mu na twarz. Inżynier zatrzepotał powiekami i zacisnął pięści, aby powściągnąć szloch. Byle nie przy chłopcu!

Wszelako chłopiec był już w łazience. Raz — żeby ich nie krępować, dwa — żeby ułatwić inżynierowi odwrót. Przysiadł na wannie i palił strząsając popiół do zlewu. Uśmiechnął się — Sanyo na mahoniowym stoliku! Kto wie, jaki kurs wzięłyby sprawy, gdyby nie telewizor. Życie jest pasjonujące, a świat piękny! Dotknął serca. Na sercu była kieszonka — w kieszonce spoczywał obok pierścionka przynoszący szczęście wężyk. Whisky! Zaleje się dzisiaj. Będzie pieścił Gejszę, do rana, po czym zaśnie w miękkim, wygodnym łożu króla Ludwika.

14.

Señora Luisa Rosario Figueras, właścicielka pensjonatu w Cuernabace, przesłałaby ewentualnie Janowi T. list od Bernarda, ale nie znała aktualnego adresu zdrajcy, który opuścił ją nagle i nie odezwał się dotąd ani słowem. Świństwo! Wszystkie chłopy są takie — leniuchy! samoluby! Kobieta potrzebna jest im do prania i do gotowania, rzadziej do miłości, która nuży ich szybko i przestacza się w niechęć. Wytrzymać wszakże bez chłopa nie przychodziło jej łatwo. Nowy kochanek nie pojawił się jeszcze na horyzoncie i nic nie wskazywało w tej kwestii na zmianę.

Podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na zasnutą wieczornym cieniem ulicę. W barze po drugiej stronie płonęły czerwone światła. Upał zelżał; gdzie nie spojrzeć, roiło się od zakochanych — szepty, pocałunki, wyznania, uściski, słowa wielkie i ostateczne, a potem fura dzieci w ciasnej ruderze, rozczochrana żona i pijany, skory do awantur mąż.

Conchita dreptała gdzieś ze swoim kawalerem. Zgrabny muchacho! W górze brzucha narastało pragnienie. Ktoś brzdąkał na mandolinie i śpiewał z uczuciem:

Nad Sekwaną cały Paryż śni,
powiedz, señorito, kogo
kochasz ty?

Szumią bulwary,
rozszalały się gitary,
temu dam całą noc,
który złota ma moc!

Paryż! A w pensjonacie chamstwo — robociarze, urzędnicy, wałkonie. Juanito nie był taki zły, ale gdzie go szukać? Odwróciła kopertę i przesylabizowała adres. ŁÓDŹ. Idiotyczne litery! Pewnie jakieś miasto w Europie. Wrzuciła list do pozostawionej przez Jana walizki. Niebawem miała zrobić to samo z kolejnym listem Bernarda, w którym starszy syn prosił ojca o zaproszenie dla narzeczonej młodszego syna.

Na plebanii kościoła polskiego w Ciudad de Mexico zaterkotał w tym momencie telefon.

15.

Ksiądz uchylił ostrożnie drzwi i utkwił wzrok w spłoszonej, niespokojnej twarzy emigranta.

— Do ciebie, synu.

— Kto?

— Ten człowiek z ambasady.

— Tak późno? — zdziwił się Jan.

— Na dobre nowiny nigdy nie jest za późno — rzekł pogodnie misjonarz.

— Skąd ojciec wie, że są dobre?

— Ufajmy Bogu.

Jan położył na stoliku Biblię, wsunął stopy w parę zniszczonych sandałów i poczłapał za księdzem do kancelarii.

— Słucham.

Głos urzędnika brzmiał chłodno i sarkastycznie:

— Jeśli dysponuje pan czasem, proszę przyjść jutro do nas w południe.

Karykaturzysta dotknął serca tym samym gestem, jakim zrobił to Jacek w łazience Gejszy. Puściły kolana; myśl smyrnęła w przyszłość i zawróciła trwożliwie.

— Co się stało, jeśli wolno spytać?

— Może pan pojechać do Polski, o ile nie zmienił pan planów.

— Pan mówi poważnie?

— Tak. Trzeba będzie jednak załatwić kilka formalności.

— Przyjdę punktualnie o dwunastej — powiedział ochrypłym, rwącym się ze wzruszenia głosem emigrant. Łzy wezbrały w oczach, a potem wyciekły na policzki i zaczęły drążyć kanały zmarszczek. Opalona, pełna dostojeństwa i pychy twarz pociemniała od krwi. — Nie wie pan nawet, jak szalenie, jak bezgranicznie... — Brał rozpęd, aby przekazać konsulowi wszystkie swoje gorące, szczere niewątpliwie uczucia, lecz urzędnik rzucił: — Do jutra — i przerwał połączenie.

Objął księdza. Wciąż jeszcze płakał.

— Nie pij tylko, synu — upomniał go surowo misjonarz.

— Skąd! W żadnym wypadku — zaprzeczył, chociaż znużony, skorodowany duch wył o alkohol. Oddałby teraz za butelkę wódki rok ze swoich ostatnich paru lat życia.

16.

Jacek drgnął i ocknął się gwałtownie. Przez chwilę był jeszcze pod wrażeniem przykrego snu, którego w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, szybko jednak wracał do świata konkretów. Słońce pryskało na parapet, wróble ćwierkały radośnie na dachu, anonimowy muzyk ciągnął na klarnecie bluesa. Dym! Przewrócił się na drugi bok. Wsparta nagim ramieniem o poduszkę Gejsza paliła i obserwowała go uważnie.

— Która godzina?

— Po dziesiątej.

— Chodź! — Przywarł do ciepłej, pachnącej dziewczyny, która nagle stawiła mu opór:

— Zgaś papierosa! — zażądał.

— Poczekaj, Jacek. Chciałam z tobą porozmawiać.

— O czym?

Nie lubił, kiedy była poważna. Pierścionek i wężyk, które podarował jej na urodziny, leżały na blacie nocnego stolika. Nie o tym chyba chciała z nim porozmawiać? Ile razy ma powtarzać, że nie ukradł? Dosyć! Żadnych więcej tłumaczeń! Bernard uprzedzał go, że baby są wścibskie i że nawet najłagodniejsze z nich usiłują wziąć mężczyznę pod obcas. Możesz je tłuc, prać, łoić, podniosą się jednak i będą próbowały postawić na swoim.

— Co zamierzasz robić?

— Dzisiaj?

— Nie, w ogóle, w życiu.

— Już ci to chyba mówiłem. W marcu przyszłego roku skończę osiemnaście lat i ożenię się z tobą.

— No dobrze, ale co będziesz robił za rok, za dwa, za cztery?

— Nie wiem, do czego dążysz? — Drżał ze złości. — Nie wyspałaś się?

— Wyspałam.

— Więc czemu mnie dręczysz?

— Posłuchaj, Jacek, nie jestem biedna i gdyby zaistniała taka konieczność, byłoby mnie stać, aby utrzymać jakiś czas, może nawet dłuższy czas, mnie i ciebie bez podejmowania pracy. Jednak człowiek, a szczególnie mężczyzna, musi pracować, bo w przeciwnym wypadku...

— Już gdzieś o tym czytałem — przerwał chłopak kapryśnie. — Przestań nudzić i przytul się do mnie.

Sięgnął po nią, ale odepchnęła go stanowczo.

— Ja nie żartuję! Mówię poważnie, z nadzieją, że raczysz wziąć sobie moje słowa do serca. Nie przerywaj, bardzo cię proszę! — Wstała, włożyła szlafrok i usiadła na taborecie. — Mężczyzna musi pracować, bo w przeciwnym wypadku grozi mu katastrofa. Nawet miliarder, nawet gość, który do końca życia ma zapewnioną egzystencję w luksusowych warunkach, musi znaleźć sobie pole działania, aby nie wykrzywić się moralnie, aby nie zgnuśnieć, aby nie zamienić się w maszynkę do picia, żucia i kopulowania. Znam takie bogate maszynki, nienawistne, zazdrosne, sfrustrowane, znudzone, podatne na zboczenia i narkotyki, płaczliwe, tchórzliwe, bredzące o samobójstwie, nie potrafiące niczym się martwić, cieszyć, zdziwić i wzruszyć. Taka maszynka nie jest w gruncie rzeczy mężczyzną. Od takiej maszynki wyżej stoi przemytnik i złodziej, bo oni przynajmniej o coś walczą i czymś ryzykują.

— Mam więc zostać przemytnikiem lub złodziejem?

— Masz się uczyć. To jest moje ultimatum, Jacek. Nie zależy mi na maszynce, choćby była nie wiem jak piękna i posażna. Zależy mi na mężczyźnie. Mogę ci pomóc, mogę w ciebie zainwestować, mogę czekać cierpliwie i długo na efekt, lecz chcę, i tu nie ustąpię, abyś po wakacjach wrócił do liceum...

— Nie wrócę!

— To mnie stracisz! Powtarzam — ja nie żartuję. Chcę, żebyś zrobił maturę i zdał na studia. Jesteś zdolny. Stać cię na to. Przy odrobinie wysiłku poradziłbyś sobie śpiewająco na filologii. Zostałbyś świetnym dziennikarzem, może nawet pisarzem, nawet zrobiłbyś karierę naukową, może uczyłbyś tylko w szkole, co też daje podobno satysfakcję, ale nie byłbyś w każdym razie maszynką.

— A ty, bez urazy, nie jesteś maszynką?

— Jestem i nie jestem. Działam w określonym kierunku, zdobyłam to, czego pragnęłam. Och, dobrze! Jestem, jestem! Byłam! Lecz teraz nie będę! Ty pójdziesz do szkoły i ja pójdę do szkoły. Solidarnie! Po maturze zacznę studiować, chyba że...

— Co?

— Nic.

— Zaczęłaś, to dokończ! — zdenerwował się Jacek.

C.D.N.

Ta wiadomość przyda Wam się przed urlopem!

Interes w taksówce

MAREK KOPROWSKI

Rozpoczął się sezon wakacyjny, stoimy przed urlopowymi decyzjami, lub tylko „łykendowymi" wyjazdami, warto, wydaje mi się, zaprezentować firmę, istniejącą od maja 1988 roku, która zajmuje się, między innymi, organizacją naszego wypoczynku. Nazywa się ona **„Auto Transtur Relaks — Spółka Usług Transportowych, Turystycznych, Organizacji Wypoczynku i Pośrednictwa Handlowego".**

Dwa lata temu, **Prywatne Zrzeszenie Taksówkarzy,** zorganizowało kurs pilotów i przewodników turystycznych, z myślą o Targach „Interfashion". Jednak taksówkom nie dano żadnych przywilejów, nie mogły wjeżdżać na tereny targowe, nie były oznakowane itp. Ponieważ kurs ukończyło 25 taksówkarzy, legitymujących się średnim i wyższym wykształceniem, a miasto odrzuciło ich fachowe usługi, postanowili założyć własną spółkę, gdzie mogliby wykorzystać nowo zdobyte umiejętności.

Założono pierwszą w Łodzi wypożyczalnię samochodów wraz z kierowcami. Do dyspozycji są polonezy, bez „kogutów", by zachować dyskrecję, którymi można jeździć po całym kraju, a nawet — uwaga, uwaga! — do Wiednia i Berlina Zachodniego. Dlatego tylko tam, gdyż możemy jeździć do Austrii i Berlina bez wiz. Oczekiwanie na wizy do innych krajów Europy trwa zbyt długo, a klient chciałby wyruszyć w trasę np. za trzy dni. Tego, na razie przynajmniej, przeskoczyć się nie da. Ceny są konkurencyjne do cen „Orbisu".

Przedsiębiorstwo zajmuje się organizowaniem wycieczek szkolnych, obozów i kolonii letnich po najniższych w Łodzi cenach, z pełnymi programami zatwierdzonymi przez Kuratorium Oświaty i Wychowania. Proponuje się kolonie dla 7—10-latków, nie praktykowane przez inne przedsiębiorstwa turystyczne, rodzaj turystycznego przedszkola w Bukowinie Tatrzańskiej Górnej, na poziomie wyższym niż Ząb, skąd wraca się z iście alpejską opalenizną. **Jest to jedyna firma świadcząca usługi turystyczne dla dzieci.** Również jako jedyna, spółka **„Auto Transtur Relaks"** organizuje wczasy dla ludzi niepełnosprawnych i PCK.

W pakiecie usług firmy są i inne, nie mniej ciekawe propozycje: organizowanie wystaw psów rasowych, dzięki kontaktom z międzynarodowymi organizacjami kynologicznymi, urządzanie miejsc rekreacyjnych (budowa, montaż domów letniskowych, altan, pawilonów) i sprzątanie terenu, pośrednictwo w wynajmowaniu przyczep campingowych, sprzętu turystycznego, wędkarskiego, gospodarstwa domowego i ich sprzedaży. Również wynajmu i sprzedaży domów letniskowych. Firma zatrudnia wysoko kwalifikowanego prawnika, a więc wszelkie przeniesienia prawa własności i inne problemy formalne załatwiane są fachowo i ostatecznie.

Mówi prezes spółki, **Jan Grzegorz Krzysztofiak:**

— Zatrudniamy wysokiej klasy fachowców. Jeden z nich, na przykład, rolnik z odpowiednim wykształceniem, będzie hodował konie, z przeznaczeniem dla miłośników relaksu w siodle. Poza umiejętnościami zawodowymi łączy nas wspólne zamiłowanie do turystyki i krajoznawstwa, a także poważne i silne zainteresowanie tym, co chcemy i będziemy robić. Dobraliśmy ludzi odpowiednich, sprawdzonych, których etyka zawodowa i cechy czysto ludzkie nie wzbudzają najmniejszych zastrzeżeń. Gwarantujemy absolutne zawodowstwo i poważne traktowanie naszych klientów. Jakiekolwiek reklamacji i skarg w ogóle nie wliczamy w koszty przedsięwzięcia. Po prostu ich nie będzie.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Wróciłam niedawno z odbywającego się w Gottwaldovie Festiwalu Filmów dla Dzieci. Przyznam, że poza estetycznymi wrażeniami największe wywarło na mnie wszechobecne uczestnictwo dzieci w tym festiwalu. Głównym organizatorem imprezy był Czechosłowacki Film oraz władze miasta, we współpracy z Filmowym Studiem w Gottwaldovie. Dyrektorował festiwalowi **dr Bohumil Steiner**, reżyser filmowy. Czuło się sprawność i profesjonalizm organizatorów, jednak klimat tworzyły dzieci — obecne we wszystkich imprezach towarzyszących, poczynając od ulicznego koncertu na rozpoczęcie festiwalu.

Dzieci i film

spotkań z twórcami i aktorami, malowania kadrów filmowych kredą na chodniku, po udział w werdykcie jury i przyznanie nagrody Dziecięcego Widza. Dzieci nie tylko oglądały filmy, ale świetnie się przy tym bawiły.

Tegoroczny, 29 festiwal odbywał się pod hasłem **„Pokój dzieciom na całym świecie"**. Ideogramem festiwalu były dwa obejmujące się niedźwiadki, których autorem jest młody plastyk z Gottwaldova — **Michał Zeman**. Była to konfrontacja bieżącej produkcji filmowej minionego roku, przeznaczonej dla młodego widza wszystkich wytwórni z Czech, Moraw i Słowacji. Zaprezentowano 49 filmów, w tym 10 fabularnych, pozostałe krótkometrażowe realizowane różnymi technikami (z wyróżnieniem 9 „dobranocek" zleconych przez telewizję). Filmy wyświetlano w Wielkim Kinie Gottwaldova, wypełnionym codziennie po brzegi dziećmi i gośćmi festiwalu, a także w 8 miastach Czechosłowacji. (Oblicza się, że obejrzało je ok. 25 tys. widzów).

Obok pokazów konkursowych odbywał się przegląd retrospektywny twórczości wybitnego reżysera **Josefa Pinkawy**. Poza konkursem w okolicznych kinach Gottwaldova wyświetlano również filmy obcych kinematografii — głównie seriale. W konkursie były również i polskie akcenty — pokazano bowiem film powstały w koprodukcji czesko-polskiej, zrealizowany przez **Kazimierza Tarnasa**, na podstawie książek **Zbigniewa Nienackiego, „Pan samochodzik — i praskie tajemnice"** z udziałem Polaków: **Marka Wysockiego, Leona Niemczyka** i **Bartka Zycińskiego**. Niestety, nie wykorzystano właściwie szansy, jaką daje dowcipna i wartka proza Nienackiego.

Poza konkursem zaprezentowano około 30 filmów zrealizowanych w technice wideo, stanowiących dorobek zagranicznych kinematografii.

Jak na cztery festiwalowe dni była to duża porcja dzieł o bardzo różnorodnej tematyce i artystycznych rozwiązaniach. Ogólnie, większość filmów była interesująca, choć na niejednolitym poziomie, co skonstatowano w werdykcie jury, a mianowicie: niedostatki warsztatowe odczuwalne głównie w konstrukcji scenariuszy, rozwlekłej fabule i przegadaniu. Ale było też sporo dobrego humoru, świetnych gagów, fantastycznych pomysłów, i dużo atrakcyjnej animacji.

Przyznano osobne nagrody w kategoriach filmów pełnometrażowych i krótkich oraz (po raz pierwszy) nagrodę **im. Karla Zemana** — niedawno zmarłego wybitnego twórcy filmu dla dzieci. Ta ostatnia przypadła **Otovi Hofmanovi** (pośmiertnie) za inspirujący wkład w rozwój czechosłowackiej twórczości dla dzieci.

Zaistniały kontrowersje w ocenie filmów kandydujących do głównych nagród (w związku z brakiem wybitnego dzieła). Spośród filmów fabularnych przyznano ostatecznie 7 nagród: I — **„Nefnukej, veverko!"** reż. **Very Simkove-Plivove** („Ostrożnie, wiewiórko!"; II — **„Cesta na jihozapad"**, reż. **Zdenka Sivového** („Podróż na południowy-zachód"), ex aequo z filmem **Julia Matuly „Nebojsa"** („Nie bój się"). Trzeciej nagrody nie przyznano. Nagrodę za najlepszą rolę przyznano **Jiřiemu Schmitzerovi** za udział w filmie **„Cesta na jihozapad"**, **Ottovi Simankovi** za główną rolę w filmie **„Pan Tau"**, **Dusanu Trančikovi** za reżyserię filmu **„Mikola a Mikolko"** („Michał i Michałek"). **Antoninu Holubovi** za zdjęcia do filmu **„Nefnukej, veverko!"**.

W kategoriach filmów animowanych przyznano dziesięć nagród: **nagrodę Jiriho Trnky** otrzymał film **Mirko Kaćena „Duhovy koberec"** („Tęczowy dywan"); nagroda — Czeskiego Filmu przypadła w udziale **Helenie Slavikovej-Rabarovéj** za **„Malovanky jeseň"** („Malowanki — jesień") oraz — **Zdenkowi Milerowi** za film **„Krtek filmova hvězda"** („Krecik — filmowa gwiazda"); nagrodę za animację otrzymali: **Vladim Malik** i **Miloslav Šuster** za film **„Babatko v cukrarni"** („Niemowlę w cukierni"); nagroda Narodowej Galerii w Pradze przypadła **Jitce Walterovej „O Malence"** („Calineczka"); nagroda Biennale Ilustracji w Bratysławie — **Zdenku Vinsovi** za film **„O poctivem Matejovi"** („O poczciwym Macieju"); za najlepszą dobranockę uznano **„Koniček vyskočjanko"** („Skaczący konik").

Nagrody Dziecięcego Widza zgodne były w zasadzie z ocenami jurorów. Dodatkowo uhonorowano reżysera **Dušana Trančika** oraz aktorkę **Helene Vitovske.**

Laury festiwalu wręczono przy entuzjastycznym aplauzie młodej publiczności i, jak to na festiwalach bywa, tylko część twórców była usatysfakcjonowana, reszcie pozostało liczyć, że następnym razem będzie lepiej.

BOŻENA JĘDRZEJCZAK

Kadr z nagrodzonego filmu za reżyserię „Mikola a Mikolko" reż. D. Trancika.

A może do kina?

Proponujemy dziś amerykański film sensacyjny, pt. **„Akt zemsty"** w reżyserii **Johna MacKenzie.** Film rekonstruuje okoliczności zamordowania znanego działacza związku zawodowego górników — Yablonskiego. Ten wybitny działacz został zamordowany w noc sylwestrową 1969 r. Wraz z nim ofiarami mordu stały się jego żona i córka. Zbrodnia odsłoniła korupcję w łonie ruchu związkowego, a śledztwo dowiodło, że została dokonana na polecenie prezesa związku.

Film został zrealizowany dla telewizji amerykańskiej. Scenariusz, wiernie rekonstruujący okoliczności zbrodni, oparty został na dokumentalnej książce **Trevora Armbristera.** W roli Yablonskiego wystąpił gwiazdor kina sensacji **— Charles Bronson.**

Fakty ◇ Plotki ◇ Anegdotki

■ XVI Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Moskwie jest całkowicie inny od poprzednich — zrezygnowano z zakazów cenzuralnych, poza tymi, które obowiązują wszędzie — nie może być apologii wojny, przemocy, pornografii oraz nacjonalistycznej i rasowej nienawiści. 10-osobowe jury, któremu przewodniczy **Andrzej Wajda**, obejrzało 20 filmów z Polski, Francji, USA, Argentyny, Węgier, Wielkiej Brytanii, NRD, ChRL, Meksyku, ZSRR, Finlandii, RFN, Czechosłowacji, Iranu, Korei Południowej, Japonii i Włoch. Konkurs zapoczątkował film **Krzysztofa Zanussiego — „Stan posiadania"**, drugim filmem polskim biorącym udział w konkursie jest film **Tadeusza Konwickiego „Lawa"**.

■ Premier **M. F. Rakowski** odwołał **Jerzego Bajdora** ze stanowiska podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki oraz z funkcji przewodniczącego Komitetu Kinematografii.

■ Na zamkniętym posiedzeniu Komitetu Kinematografii postanowiono powołać w miejsce Zespołu Tow. Filmowych osiem nowych instytucji filmowych, które będą miały pełną samodzielność działania. Jak podają wtajemniczeni, wprawdzie w nowych warunkach nadal podstawą produkcji będą dotacje państwowe, to jednak nowe instytucje filmowe nie muszą się dzielić ani dochodami, ani stratami, co może spowodować likwidację deficytowych.

■ Film **Marka Piwowskiego „Guernica"** zdobył jedną z dwu głównych nagród jury w kategorii filmów muzycznych oraz główną nagrodę jury interwizji na międzynarodowym festiwalu telewizyjnym „Złota Praga".

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników którzy przekazali je nam telefonicznie Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

13 lipca — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

20 lipca — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z DNIA 6 LIPCA 1989 ROKU

Pan **Aleksander Kabarowski** z ul Zarzewskiej 53 pyta: jak to jest z wyrównaniem emerytur, z owymi trzydziestoma tysiącami? Miał je otrzymać w czerwcu, a tu już lipiec i pieniędzy nie ma. Ponadto pan A. K. przytacza przykład opieszałości naszej poczty: list do niego z Chicago szedł wpierw do Warszawy 9 dni, z Warszawy do Łodzi 1 dzień, a z UPT 7 do niego do domu 5 dni. Co z naszą pocztą? — pyta A.K. — Dlaczego tak źle pracuje? Pan A.K. jest emerytem i owe 30 tys. nie są obojętne dla jego domowego budżetu.

Pan **Roman Witkowski** z Bełchatowa grozi, że na środku miasta popełni harakiri. Popełni dlatego, że przez dwa dni oglądał relacje z posiedzeń Sejmu i Senatu i ani razu nie usłyszał słowa „robotnik". Ciągle mówiono o rolnikach, natomiast o robotnikach nie wspomniano, chociaż robotnicy dziś żyją wcale nie w lepszych warunkach niż rolnicy.

Pan **R.D.** (dane personalne do wiadomości redakcji) pyta, dlaczego nasza milicja nie reaguje na tych wszystkich, którzy jeżdżą rowerami po chodnikach? Kto wydał im karty rowerowe? Pan R.D. bardzo chciałby uzyskać odpowiedź z Wydziału Ruchu Drogowego.

Pani **Krystyna Wiśniewska** z ul. Dąbrowskiego 99 zadzwoniła ze sprawą dość złożoną. Chodzi o to, że większa część lokatorów z czterech wieżowców wyraziła zgodę na zainstalowanie anten zbiorczych do odbioru tv. ADM obliczyła, że każdy lokator ma zapłacić po 15 tys. zł, a że inflacja galopuje, teraz ta kwota wynosi już 19 tys. Pani K.W. pyta: a co mają robić ci, którzy nie mają telewizora? Albo mają własną antenę? Czy też muszą płacić? A ADM od maja już nalicza kwoty (po 1.500 zł) za antenę, której jeszcze nie ma.

Pani **Teresa Bobrowska** z ul. Zawiszy 9 ma przez sąd przyznane mieszkanie po rodzicach. Niestety nie może się do niego wprowadzić, bo są w nim meble jej brata, a Wydział Spraw Lokalowych dzielnicy Łódź-Bałuty nie chce jej wydać kluczy do czasu aż usunie owe meble. Myślę, że jest to kolejny przykład złej woli urzędników.

Nasz kolega redakcyjny **Andrzej Makowiecki** usiłował w dniu 6 lipca br. kupić „Odgłosy" Na trasie od alei Mickiewicza do ul. Moniuszki wszystkie kioski Ruchu były nieczynne. Spenetrował także ulice przyległe do Piotrkowskiej — to samo. W końcu zszedł do przejścia znajdującego się u zbiegu alei Mickiewicza z ulicą Piotrkowską. Tam kiosk Ruchu był otwarty, ale Andrzej Makowiecki został poinformowany, że tygodnik „Odgłosy" nie został dostarczony ani wczoraj (tj. w środę, kiedy ukazuje się w sprzedaży), ani dzień później, w czwartek. Sprzedawca wyraził przekonanie, że w tej sytuacji do jego kiosku „Odgłosy" w tym tygodniu już nie trafią. Bardzo nas dziwi ten fakt. Zastanawia natomiast co innego: w jaki sposób RUCH sprzedaje prasę, mimo że większość kiosków jest zamknięta?

EUGENIUSZ IWANICKI

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

KUPIĘ stylowe biurko 51-62-43. 39778-g

NOWEGO „Wartburga" kupię. Tel. 84-38-37.

ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

CENTRALNY OKRĘGOWY ZAKŁAD ENERGETYCZNY ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

Z SIEDZIBĄ W ROGOWCU 97-406 BEŁCHATÓW 5

PRZYJMIE DO PRACY

pracowników w następujących zawodach:

- ENERGETYKÓW z wykształceniem średnim lub zasadniczym do pracy w systemie 4-brygadowym,
- MURARZY KOTŁOWYCH,
- MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,
- SZKLARZY,
- MONTERÓW SPAWACZY,
- ABSOLWENTÓW SZKÓŁ ZAWODOWYCH I ŚREDNICH o kierunku łączności lub elektronika.

Przedsiębiorstwo zapewnia:
— konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń, dodatek bełchatowski, zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Informacji udziela Dz. Kadr Elektrowni — tel. 715-61 lub na miejscu. Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk", godz. 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

4865-k

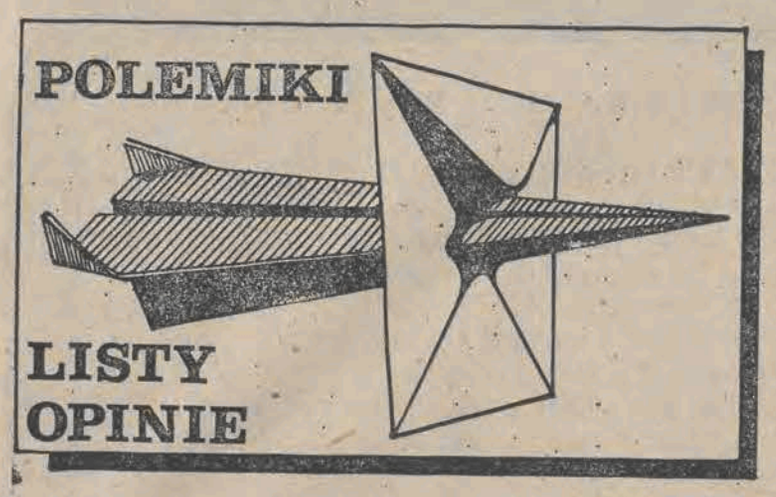

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

REWOLUCJA WOKÓŁ REWOLUCJI

Francuzi świętują dwusetną rocznicę Wielkiej Rewolucji. Rocznicy nadano odpowiednią oprawę, na miarę znaczenia rewolucji w historii świata. Ideę posłania rewolucji przekazanego w XIX wiek dobrze wyraża I. Singer w książce „Dwór", opisującej Polskę minionego stulecia; autor poprzez jedną z postaci książki wypowiada następującą myśl:

„Rewolucja francuska była nieunikniona. Europa potrzebowała wejść w nową erę... Wszystko, co mamy obecnie zawdzięczamy Francuzom... Czy niewolnicy byliby wyzwoleni, gdyby nie rewolucja?

Rewolucja francuska, nowe Jeruzalem, jakobini nowymi mesjaszami? Rewolucja pozostawiła ślady w wyobraźni politycznej Francuzów jako wydarzenie szczególnie znaczące, skupiające wszystkie przeciwieństwa, wszystkie rany francuskie, całą zawartość temperamentu narodowego. Dwa wieki później historycy stworzyli nowe kontrowersje wokół rewolucji; wyłoniła się manichejska wizja wydarzeń. Pojawiają się poglądy przedstawiające rewolucję jako więzienie (według określenia Clémenceau), w którym przebywają: jedni skazani bez sądu, drudzy błogosławieni bez spowiedzi. Faktem jest, że podejmowane obecnie próby rewizji głównych wniosków dotyczących rewolucji znajdują ujście w historiografii uprawianej przez historyków zbliżonych do lewicy republikańskiej czy rewolucyjnej.

Historiografia rewolucji narodziła się w XIX wieku; najwybitniejszymi dziełami z tego okresu są prace A. Lamartine pt. „Historia Żyrondystów" i A. Thiersa pt. „Historia rewolucji", zawierająca 10 tomów. W pierwszej połowie XIX wieku poparciem cieszyły się prace burżuazyjne, przede wszystkim A. Migneta i Thiersa. Po wydarzeniach 1848 r. powstały prace, w których z entuzjazmem przedstawiano rolę ludu w Wielkiej Rewolucji Francuskiej. W tym nurcie mieści się dzieło J. Micheleta pt. „Historia rewolucji francuskiej", w którym autor z nutą liryzmu wychwala lud francuski. W latach późniejszych konflikty wewnętrzne rewolucji, zwłaszcza między Robespierre'em a Dantonem, znalazły odbicie w debatach politycznych, jakie w końcu XIX wieku toczyły się między „rewolucyjnymi" aktywistami a reformistami i parlamentarzystami. Sedno owych sporów tkwiło w ocenie jakobinizmu — ruchu poprzedzającego rewolucję. Zapowiedź powszechnych walk w przyszłości? Czy terror był do uniknięcia? Czy można z dobrodziejstwem inwentarza przyjąć marksistowską teorię rewolucji burżuazyjnej? Oto lista pytań-problemów, które stanowiły przedmiot ostrych sporów pod koniec XIX wieku.

Historiografia przychylnie oceniająca rewolucję kładzie nacisk na dwa problemy: na porządek społeczno-ekonomiczny i sferę polityczną. Historycy reprezentujący ten nurt twierdzą, że rewolucja urzeczywistniła jedność narodową kraju na bazie zniszczenia porządku senioralnego i porządku przywilejów feudalnych. W sferze politycznej pozytywy rewolucji przejawiały się, w ich przekonaniu, w eksponowaniu praw człowieka, idei, wolności, równości i braterstwa.

Atak na zdobycze rewolucji przypuściła tzw. nowa prawica historyczna. Jeden z jej przedstawicieli — P. Chaunu stwierdza bez ogródek:

„Rewolucja, naprawdę, jest trochę na dobre a zwłaszcza na złe, drugą kreacją Francji".

Na złe? Jest to przede wszystkim tragiczna historia masakry w Wandei, które to wydarzenie eksponuje R. Secher w książce „Ludobójstwo franko-francuskie". Wszystkie prace z tego nurtu rozwijają wątek masakry ludzkiej będącej konsekwencją rewolucyjnego wiru. Rewolucja to „Republika i Masakra".

Drugim obiektem ataku rewizjonistów z nowej prawicy stał się upadek ekonomiczny kraju. P. Chaunu przedstawia to wydarzenie pisząc:

„Francja... dostarcza w okresie 1793—1794 (okres terroru) *anty-modelu dla krajów nierozwiniętych... Francja... dokonała złego wyczynu w okresie rewolucji przemysłowej...".*

Wielce wymowny jest tytuł pracy F. Crouzeta, a mianowicie „Przewaga Anglii nad Francją". Główna teza owej pracy zawarta jest w następującym stwierdzeniu: Francja kraj najbardziej rozwinięty pod koniec XVIII wieku, podupadł ekonomicznie w XIX wieku, w konsekwencji katastroficznej rewolucji. Polemikę z taką oceną rewolucji podejmuje H. Sée, który twierdzi, że rewolucja stworzyła przeszkody w rodzaju ekonomicznym raczej w krótkim-średnim okresie, natomiast w długim okresie uczyniła możliwy ów rozwój, gdyż zakładała — jak przypominał A. Tocqueville — obalenie pozostałości instytucji średniowiecza.

We wszystkich potępieniach i oskarżeniach rewolucji dostrzec można ten sam żal, żal z powodu upadku starego porządku. Należy wyraźnie podkreślić i przypomnieć, że królowie winni byli popełnienia masakr (np. represji seweńskich pod koniec panowania Ludwika XIV), błędów ekonomicznych (odwołanie Edyktu z Nantes, poprzedzone emigracją tysięcy protestantów, którzy w Szwajcarii, Prusach, Holandii wykorzystali swoją kulturę techniczną i przedsiębiorczość).

Bardziej nowatorskie i pogłębione poglądy na temat rewolucji zrodziły się poza obszarem krytyki rewizjonistycznej. Poglądy te podejmują polityczne, ekonomiczne i społeczne aspekty rewolucji.

Przede wszystkim należy odnotować pogłębioną analizę pojęcia braterstwa. Wspaniała książka M. Davida pt. „Braterstwo i rewolucja francuska" zaprasza do przeformułowania sensu braterstwa. W świecie bezrobocia, pogłębiającej się ekskluzywności w życiu społecznym, narastającej krytyki idei państwa opiekuńczego spojrzenie na ideał braterstwa rewolucjonistów może, zdaniem M. Davida, pomóc w zrozumieniu nowej solidarności między ludźmi. Zaletą książki M. Davida jest to, że autor unika w niej apologetyki rewolucji. M. David przedstawia specyficzny sposób podejścia rewolucjonistów do kategorii braterstwa, wyrażający się w stwierdzeniu:

„Nasi wrogowie nie mogą być naszymi braćmi" (nie ma wolności dla wrogów wolności?).

Zasada ta odbiega trochę od ideałów równości i wolności; zasady tej żarliwie broniło radykalne skrzydło ruchu rewolucyjnego.

Warto zauważyć, że trudności ekonomiczne i finansowe okresu 1789—1800 są nadal słabo znane. Oczywiście istnieją liczące się opracowania np. książka Marion na temat historii finansów kraju, lecz dużo jest cieni, które trzeba oświetlić. Problemy ekonomiczno-finansowe są ważne; wiadomo, że w całym XIX wieku rozwój stosunków pieniężnych w gospodarce francuskiej przebiegał wolniej niż w Anglii czy USA. Przyczynił się do tego system asygnat (pieniądz, dokument zastawny na nieruchomości lub grunty szlachty i duchowieństwa), który odblokował inflację galopującą i zniszczył obrót ekonomiczny. System asygnat wpłynął negatywnie na zachowania ekonomiczne Francuzów; oddalił je od norm wyznaczonych przez prawa obiegu pieniężnego.

M. Bruguiére w swej obszernej pracy „Zarządcy i paskarze rewolucji" analizuje drobiazgowo ludzi odpowiedzialnych za finanse w okresie rewolucji. Autor przedstawia losy znanych funkcjonariuszy finansowych, których droga wiodła od finansów królewskich, przez republikańskie aż do cesarskich. W książce M. Bruguiéra znaleźć można opisy losów bankierów genewskich (np. J. Neckera), jak również wielkich administratorów i fortunatów handlu. M. Bruguiér stawia pytanie: czy w losach urzędników Ludwika XVI, np. Barairona, który pozostał na swoim miejscu w okresie wszystkich zaburzeń, należy widzieć przejaw systemu administracyjno-politycznego typowego dla Francji? Autor nie sądzi, że jest to zjawisko typowo francuskie; twierdzi on, że administracja stanowi realną siłę, być może nie autonomiczną politycznie, chroniącą pomimo zaburzeń politycznych i okresów destabilizacji społecznej ciągłość funkcjonowania sfery finansów publicznych.

Bardzo interesującą książką poświęconą problemom ekonomicznym rewolucji jest praca zbiorowa pt. „Idee ekonomiczne rewolucji", opublikowana przez Uniwersytet w Lyonie, pod kierownictwem naukowym J. M. Serveta. W pracy tej szczególnie cenne jest studium J. P. Potiera dotyczące prawa Le Chapelier (uchwalonego w czerwcu 1791 r.), które często traktowane jest jako dokument regulujący „wolność" pracy i w ogóle funkcjonowania rynku pracy. J. P. Potier przypomina, że prawo to nie może być mylone z prawem Allarda (marzec 1791 r.), które zniosło przywileje różnych zawodów i zezwoliło wszystkim obywatelom na wykonywanie handlu, rzemiosła lub sztuki. Autor opisuje wydarzenie znamienne dla stosunków społeczno-ekonomicznych okresu rewolucji.

„W Paryżu, 14 kwietnia 1791 r. związek braterski robotników-cieśli zwrócił się do przedsiębiorców z prośbą o dokonanie oszacowania pracy, przewidując wysokość minimalnej płacy dziennej na poziomie 50 sou. Właściciele składają 30 kwietnia w magistracie Paryża petycję, w której potępiają robotników powołując się na prawa człowieka i domagają się rozwiązania ich związku. Magistrat odmawia grania roli mediatora w tym konflikcie. Jednak magistrat ogłasza 26 kwietnia „Odezwę do robotników". *W dokumencie tym stwierdza się, że obywatele są równi wobec prawa, ale nie są równi w zdolnościach, kompetencjach, i nie mogą spodziewać się wynagrodzeń identycznych przez tworzenie koalicji, synonimu monopolu. W maju następowały po sobie sprzeczne reklamacje i petycje właścicieli i robotników".*

W końcu maja konflikt trafił przed Zgromadzenie Konstytuanty. Właściciele potępili *„zgromadzenie korporacyjne robotników"* w swoim wystąpieniu 22 maja. Z kolei 27 maja robotnicy *„składają swoje oświadczenie"*. Pojawiły się gwałtowne wystąpienia, konflikt rozszerzał się. Zgromadzenie obawiając się opanowania ruchu masowego przez kontrrewolucjonistów podjęło decyzje satysfakcjonujące właścicieli. Deputowany La Chapelier spowodował przegłosowanie prawa, które powołując się na Deklarację Praw Człowieka, zakazuje pracownikom organizowania się. Wszelkie akcje zbiorowe (petycje, strajki) są zakazane. Prawa zbiorowe zostały więc usunięte z prawa rewolucyjnego. Tylko Marat skrytykował prawo La Chapeliera, natomiast robespieryści i jakobini zachowali milczenie. Nie dostrzegli oni narodzin stosunków pracy i płacy właściwych dla rozwoju przemysłu i kapitalizmu. Ale to dotyczy innej rewolucji...

CHRISTIAN LE BAS
(Profesor Uniwersytetu Lyon II, ekonomista i historyk myśli ekonomicznej).

Tłumaczenie:
WITOLD KASPERKIEWICZ

KARTKA Z TARNOWA

Chcę serdecznie podziękować za ciepłą wzmiankę w „Odgłosach" na temat naszej roboty w tarnowskim teatrze. Wzruszyliśmy się oboje, bo przecież mimo oddalenia sercem jesteśmy ciągle z Wami. Pracujemy bardzo ciężko, żeby zreanimować teatr Ludwika Solskiego, który obumierał śmiercią naturalną. Taki zwyczajny uwiąd. W pierwszym sezonie udało się nam postawić na nogi zespół, repertuar i jaki taki przyzwoity poziom. Teraz sezon się kończy, urlop za pasem i przyszła pora na refleksję. Dlatego pozwoliłam sobie napisać do Was.

„Odgłosy" docierają do Tarnowa, są kupowane i czytane. Cieszy nas to niezmiernie, bo zawsze to kontakt z domem i Łodzią — tym trudnym miastem, ale jakże w gruncie rzeczy ciekawym. Czasem tęsknimy za Wami wszystkimi, ale tak na co dzień nie mamy czasu. Właściwie to jest nam tu dobrze. Niektórzy śmieją się nawet, że jesteśmy „skazani na sukces". No to jak się chwalić, to się chwalić. Przesyłam Wam recenzję z jednej z ostatnich naszych premier. Robię to dlatego, że tutejszy tygodnik społeczno-kulturalny „TeMI" być może nie dociera do Łodzi. Wiem, że to zabawne, ale chcemy żebyście tam na ul. Henryka Sienkiewicza wiedzieli, co my tu w Tarnowie robimy. Pozdrawiamy bardzo serdecznie cały zespół redakcji „Odgłosów".

BARBARA WAŁKÓWNA-ZBIRÓG

A oto fragmenty wspomnianej przez Barbarę Wałkównę-Zbiróg recenzji.

(...) 1 kwietnia odbyła się uroczysta premiera (bo świętowano spóźniony Dzień Teatru) sztuki Sławomira Mrożka pt. „Pieszo". Jest to najlepsze przedstawienie, jakie widziałem od wielu, wielu lat na tarnowskiej scenie. Nie, nie piszę tu recenzji — takową znajdzie czytelnik wkrótce w „TeMI" — lecz dzielę się kilkoma luźnymi uwagami, bo po prostu muszę to zrobić, choćby tylko dla własnej satysfakcji.

Brawa dla teatru należą się za sam wybór dramatu. „Pieszo" — to sztuka ważna, mądra i atrakcyjna scenicznie, a zarazem czytelna dla widza, nawet tego, który nie jest zbyt częstym gościem teatralnych sal. I po raz drugi należą się brawa teatrowi tarnowskiemu, że Mrożkowy wysiłek nie został zmarnowany. Ba, powstało profesjonalne przedstawienie z wyjątkowo zakomponowaną scenografią Grzegorza Małeckiego (znakomite oświetlenie sceny), ze świetną muzyką Zbigniewa Lamparta nie tandetnie ilustrującą sceniczną akcję, lecz budującą nastrój logicznie i przejmująco. Oczywiście, że nierówno muszą zostać rozdzielone pochwały pod adresem wykonawców, ale ponieważ jest to programowo i zasłużenie felieton pochwalny, więc wspomnę tylko o bardzo dobrych rolach Józefa Zbiróga, Barbary Wałkówny-Zbiróg a także Ryszarda Stogowskiego i Marii Zawady-Bilik. Zresztą słabych nie było.

Mrożkowe „Pieszo" — kolejna sztuka o tragicznym zagubieniu tożsamości Polaka, została przeczytana przez reżysera Michała Pawlickiego uważnie i z respektem, co nie odnosi się do nieudanych scen końcowych spektaklu. Już dawno w Tarnowie nie było tak fachowego reżysera. (...).

MAREK STREMECKI
(„TeMI", 09.04.1988)

JEST ŹLE, ALE NIE TAK!

Z niemałym zdziwieniem czytałem pierwszą część historii pt. „Tragiczne przypadki Antoniego H.", pióra Andrzeja Krakowskiego (Odgłosy nr 23/89). Nie znam przypadków Antoniego H., ale znam życie i uważam, że jest to historia nie tylko nieprawdziwa, ale co więcej, tendencyjna. Tendencyjna dlatego, że autor użył tylko dwu kolorów, białego do malowania Antoniego H. i czarnego do odmalowania milicji. Łódzka milicja słusznie mogłaby się uznać za zniesławioną i podać autora do sądu. Tu chciałbym być dobrze zrozumiany — o łódzkiej milicji mam jak najgorsze zdanie, ale nie jest tak źle jak w reportażu A. Krakowskiego.

Mam kolegę, którego była żona puszcza się z milicjantem. To sytuacja szczególna, dlatego można tu zaobserwować wiele wynaturzeń w pracy milicji, ale jest to skutek rzadkich, jednak w końcu naturalnych układów pomiędzy ludźmi. Dzięki ochronie milicyjnego eks-partnera, eks-małżonka mego kolegi bezkarnie prowadzi ciemne interesiki, bezkarnie włamuje się do mieszkania eks-małżonka, bezkarnie przejmuje jego korespondencję i pieniądze przesyłane pocztą. Opiekun umarza wszelkie dochodzenia, dzięki niemu świadkowie nagle nic nie widzą, nic nie słyszą, ba, nawet dematerializują się, choć służbowo w duchy nie powinni wierzyć. Ale to wszystko ja rozumiem, to nawet jest ludzkie, a więc normalne. Chronić seksualną partnerkę, to nawet rycerski obowiązek, choć czy to powinien być również obowiązek milicyjny? Tego rodzaju szwindelki nawet wydają mi się normalne w milicyjnych sferach. Ale nie wierzę w bicie 70-letniej kobiety, w bicie i katowanie Antoniego H., rozdeptywanie dłoni, dwukrotne fingowanie wykroczeń drogowych i przekupstwa. To nie te czasy. Milicję mamy kiepską, szczególnie łódzką, ale nie aż tak skorumpowaną, jak to przedstawiono w tym reportażu. Jest źle, ale nie aż tak!

Ukłony i pozdrowienia.

B.M.

OD REDAKCJI: Tekst Andrzeja Krakowskiego „Tragiczne przypadki Antoniego H." nie jest reportażem. Jest to opowiadanie. Każdy uważny Czytelnik mógł przeczytać, że redakcja i autor zastrzegali, że może ono wydawać się prawdziwe, ale wszelkie podobieństwo do zdarzeń i osób jest przypadkowe. Dlatego nie rozumiemy, na jakiej podstawie B.M. (imię, nazwisko, adres zastrzeżony tylko do wiadomości redakcji zgodnie z obowiązującym prawem prasowym) dochodzi do wniosku, że była to rzecz o łódzkiej milicji.

B.M. natomiast opisuje konkretny — mamy taką nadzieję — przypadek. Takie przypadki zdarzają się w każdym środowisku. Są naganne. To nie ulega wątpliwości. Można spodziewać się, że władze łódzkiej MO — i słusznie — będą chciały wiedzieć, na kogo sporządzono ten donos? Ale autor donosu chowa się za literkami — można o to nie mieć do niego pretensji, ma bowiem do tego prawo — ale też nie ujawnia szczegółów owego konkretnego przypadku.

Dlaczego mimo to zdecydowaliśmy się na publikację tego listu? Po pierwsze — ze względów szkoleniowych. Chcemy pokazać Czytelnikom, jak łatwo jest rzucać posądzenia, które później trudno udowodnić. Łódzka milicja też może zaskarżyć B.M. do sądu, gdyż autor listu wyraźnie sugeruje, że rzecz dzieje się w Łodzi. Po drugie — znamy autora z innych publikacji i wierzymy, że w razie potrzeby udostępni niezbędne informacje.

REDAKTOR DYŻURNY

WIEŚ PARCHANIE

Władysław Strzelecki przesłał nam wiersz **Stanisława Helsztyńskiego** z lipca 1943 roku, który to wiersz powstał na wieść o śmierci gen. **Władysława Sikorskiego**. Nadesłał nam też wiadomości o wsi **Parchanie**, leżącej na wschód od Inowrocławia, w kierunku Włocławka, w której w 1923 roku gen. Władysław Sikorski nabył posiadłość i gdzie mieszkał od 1923 roku do 1939. Szkoła Podstawowa w tej wsi nosi imię gen. Władysława Sikorskiego. W 1981 roku odsłonięto tu pamiątkowy obelisk.

A oto nadesłany wiersz:

SIKORSKI

Choć cię odmęt zgubił morski
W atlantyckim Gibraltorze,
Będziesz wiecznie żył, SIKORSKI,
Gdzie wawelskie lśnią ołtarze.

Od Narwiku białych śniegów,
Od dział grzmiących pod Tobrukiem,
Do Bałtyku jasnych brzegów
Brzmi twe imię głośnym hukiem,

Orzeł wzleciał nad sztandary,
Leci biały nad armiami,
Wróg nie ujdzie swojej kary,
Już trup jego ziemię plami.

Ile wojska! Ile wojska!
Armat, czołgów, samolotów!
Jak potężną będzie Polska!
Już na wroga szturm jest gotów!

Choć cię odmęt zgubił morski
W atlantyckim Gibraltorze,
Będziesz wiecznie żył, SIKORSKI,
Gdzie wawelskie lśnią ołtarze.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

KILKA POWAŻNYCH NIEŚCISŁOŚCI

Opierając się pokusie polemiki z ogólnymi uwagami recenzenckimi, pragnę jednak zwrócić uwagę na kilka — eufemistycznie nazwijmy to — nieścisłości, jakie pojawiły się w recenzji Jerzego Kwiecińskiego z X Łódzkich Spotkań Baletowych. (Prezentacje krajowe, „Odgłosy" nr 24 z 11.06.1989 r.).

1. Autorem choreografii do baletu „Pietruszka" (prapremiera: Paryż 13.06.1911, Théâtre du Châtélet, Balety Rosyjskie Diagilewa) był Michał Fokin nie zaś Wacław Niżyński.

2. Tytułową rolę Pietruszki w balecie Andrzeja Glegolskiego, w dwu łódzkich prezentacjach Polskiego Teatru Tańca, wykonywali: Paweł Kromolicki (24.06.89) i Waldemar Staszewski (25.06.89). Jerzy Kwieciński przypisał tę partię Robertowi Szymańskiemu, bardzo dobremu skądinąd tancerzowi, który w programie „Niżyńskiemu 'une soirée" demonstruje swój talent w bardzo odważnej, fascynującej wizji choreograficznej Ewy Wycichowskiej „Samotność Fauna" oraz w subtelnym „S'amor non é..." autorstwa Gustawa Klauznera.

3. W „Duchu róży", zaproponowanym przez Wacława Gaworczyka pastiszowym widzeniu weberowskiego motywu muzycznego („Zaproszenie do tańca"), wspaniałą kreację baletową i dramatyczną stworzyła Mariola Lebida, która z wymienianą przez Jerzego Kwiecińskiego Marią Lebiodą ma tyle wspólnego, co książę biskup Krasicki z hrabią Krasińskim.

4. Przypisana Romanowi Komassie, jako współautorka choreografii, Jadwiga Misztur rzeczywiście współpracowała z naszym znakomitym I tancerzem w jego — niezwykle udanym zresztą — debiucie choreograficznym, ale jako scenograf. Różnica to nie tylko etymologiczna...

5. Wreszcie „Dyl Sowizdrzał", temat który autorka inscenizacji i choreografii Maria Wójcicka w myśl swojej koncepcji prezentowała w niemieckojęzycznej wersji tytułowej „Till Eulenspiegel". W recenzji Jerzego Kwiecińskiego tytuł ten zyskał dość kompilacyjne brzmienie: „Tilla Sowizdrzała".

JADWIGA IGNACZUK

1. Oczywiście, wśród czterech baletów opracowanych choreograficznie przez Wacława Niżyńskiego nie ma „Pietruszki", do którego choreografię stworzył Fokin, jak podają wszystkie znane mi źródła, czego zresztą nie podważałem, pisząc (o Niżyńskim): „tańczył on m.in. rolę tytułową w „Pietruszce" Strawińskiego, a także opracowywał ją choreograficznie", ponieważ taki twórczy współudział (w pracy nad własną rolą) mu przypisywano.

2. Co do obsady ról, to jako osoba zapewne związana ze sceną powinna pani wiedzieć, że recenzentów obowiązuje informacja obsadowa naniesiona przez teatr na recenzencki egzemplarz programu.

3. Panią Mariolę Lebidę, która kojarzy się autorce listu raczej z biskupem niż z hrabią, najmocniej przepraszam za zniekształcenie nazwiska, nie przeze mnie zawinione.

4. Panią Jadwigę Misztur przepraszam natomiast za pomyłkowe przypisywanie jej współpracy choreograficznej zamiast scenograficznej. Dziękuję pani Ignaczuk za pouczenie o „różnicach etymologicznych i innych".

5. Kompilacja Tilla z Sowizdrzałem jest rzeczywiście niefortunna.

Ufam, iż nadal moim krokom będzie towarzyszyć tak sympatyczna czujność pani Jadwigi Ignaczuk.

JERZY KWIECIŃSKI

Uspołecznione Zakłady Usług Marketingowych

MARKUS

ŁÓDŹ ul. KRASZEWSKIEGO 22

Z A T R U D N I:

▲ **KIEROWNIKA ZAKŁADU HANDLU ZAGRANICZNEGO**
z praktyką w Centrali Handlu Zagranicznego.
Warunki przyjęcia:
— staż pracy 6—8 lat
— biegła znajomość 2 języków obcych
— wykształcenie wyższe kierunkowe

▲ **BRANŻYSTÓW-HANDLOWCÓW**
w niżej wymienionych specjalnościach:
— **włókiennictwo**
— **dziewiarstwo**
— **konfekcja**
— **specjalistów z zakresu wyposażenia hoteli, moteli, zajazdów itp.**

▲ **SPECJALISTĘ ds. MARKETINGU**
▲ **KOORDYNATORA STUDIUM JĘZYKÓW OBCYCH**

Informacji udziela Dział Kadr, tel. 43-39-94, 43-39-95.

UZUM „MARKUS" SA
w Łodzi, ul. Kraszewskiego 22
posiada do sprzedaży

SAMOCHÓD marki „ROBUR"
rok prod. 1983, LD 3000, nr silnika 331-15032,
nr podwozia 29324/11248, zużycie 60 proc., ład. 2.600 kg,
cena: 2.400.000, — zł.
OFERTY: Łódź 1, skr. poczt. 369.

SPÓŁKA (J.G.U.)
K U P I, W Y D Z I E R Ż A W I

POWIERZCHNIĘ BIUROWĄ
(nieruchomość)
na cele biurowe o pow. 300—500 m kw.

OFERTY: Łódź 1, skr. poczt. 369.

4864-K

Przedstawicielstwo Łódzkie Sp. Zakładu Ubezpieczeń „Westa"

Być może zarabiasz nieźle, ale z pewnością chciałbyś zarobić więcej!
Taka szansa istnieje!
Wystarczy zgłosić się pod adresem:

ŁÓDŹ, ul. PIOTRKOWSKA 204 A
(pomiędzy blokami)

uzyskasz tam wszystkie niezbędne informacje o możliwości zatrudnienia w charakterze:

▲ **GŁÓWNEGO KSIĘGOWEGO z uprawnieniami biegłego (minimum 10 lat praktyki w tym 5 lat na stanowisku kierowniczym).**
▲ **SPECJALISTY ds. PRACOWNICZYCH (minimum 5 lat praktyki).**
▲ **RADCY PRAWNEGO**
▲ **POŚREDNIKÓW UBEZPIECZENIOWYCH.**

Informujemy szanownych klientów, że od dnia 1 lipca 1989 r. uruchamiamy

AGENCJĘ UBEZPIECZENIOWĄ
w Zgierzu, ul. Parzęczewska 24, bl. 12, lokal nr 1

z zasięgiem terytorialnym obsługi miasta i gminy:
— ZGIERZ
— GŁOWNO
— PARZĘCZEW
— STRYKÓW
— OZORKÓW

...czynne od poniedziałku do piątku, w godz:
do 31 sierpnia 12—17
od 1 września 8—17.

Z A P R A S Z A M Y !!!
2516-K

POLISA UBEZPIECZENIOWA TO TAKŻE TOWAR TY WYBIERASZ ZAKŁAD W KTÓRYM SIĘ UBEZPIECZASZ

Są słowa zapisane trwale w pamięci pokoleń bardziej przez tradycję niż przez historię, choć i ona lubi upiększać rzeczywistość i zmieniać ją w legendę. Kiedy po dwuletnim oblężeniu Syrakuz wojska konsula rzymskiego Marcellusa wtargnęły do miasta, jakiś żądny krwi i łupów żołdak natknął się na Archimedesa, zajętego właśnie kreśleniem na piasku skomplikowanych figur geometrycznych. Nie bacząc na podeszły wiek uczonego żołnierz zranił go śmiertelnie. W ostatnim przebłysku świadomości ciężko ranny starzec zawołał: *„Noli turbare circulos meos"* (Nie psuj moich kół!) i skonał. Ocalało prawo Archimedesa i ostatnie jego słowa, nie wiadomo przez kogo zapamiętane i po co.

Umierający Sokrates nie chcąc zabierać w zaświaty ziemskich zobowiązań wydał ostatnie przed śmiercią polecenie: *„Krytonie, winniśmy Asklepiosowi koguta, zapłać przeto i nie zaniedbaj tego"*. Poeta włoski Vittorio Alfieri (1749—1803) zwrócił się do stojącego u jego wezgłowia przyjaciela: *„Uściśnij mi rękę, drogi przyjacielu, teraz umieram"*. Karol Darwin oznajmił: *„Nie ja ostatni boję się śmierci"*, zaś Paul Claudel (1868—1955) rzekł: *„Dajcie mi umrzeć — nie boję się"*. Nie okazał też lęku przed śmiercią słynny filozof niemiecki Immanuel Kant: *„Nie boję się śmierci, pragnę jej. Przysięgam wam na Boga, że gdybym tej jeszcze nocy uczuł ją zbliżającą się, wyciągnąłbym ramiona i zawołał: „Bogu niech będą dzięki!"*. Pełen wewnętrznej rozterki był przedśmiertny okrzyk francuskiego bajkopisarza Jana de Lafontaine'a: *„Umrzeć, to nic, lecz pomyślcie, że idę stawić się przed sąd Boga"*. Król francuski Ludwik XIV na chwilę przed zgonem skonstatował: *„Sądziłem, że trudniej umrzeć"*, a słynny feldmarszałek austriacki, zwycięzca spod Custozzy i Novary, Johann Joseph von Radetzky (1766—1858), na którego cześć Jan Strauss (ojciec) skomponował znany „Marsz Radetzky'ego", prosił: *„Dajcie mi spokojnie umrzeć"*. Niektórzy umierający pragnęli dokonać życia przy dźwiękach muzyki. Cyniczny i bezwzględny polityk francuski Honore Mirabeau (1749—1791) błagał: *„Dajcie mi umrzeć przy dźwiękach muzyki"*. Podobnie Wolfgang Amadeus Mozart: *„Pozwólcie mi ostatni raz posłuchać muzyki"*. Natomiast Ludwig van Beethoven, cierpiący na pogłębiającą się głuchotę, oświadczył z przekonaniem: *„W niebie będę znów słyszał"*.

Z różnych szuflad

Ich ostatnie słowa

Spoczywający na łożu śmierci błagali o światło lub pragnęli mroku. Słynne jest wołanie Goethego: *„Mehr Licht!" (więcej światła!)*. Stanisław Wyspiański w przedśmiertnej męczarni błagał: *„Więcej. Jak najwięcej świetła!... Boję się nocy!..."*. Jan Jakub Rousseau, wybitny pisarz francuski pochodzenia szwajcarskiego, ledwie dosłyszalnym szeptem mówił do otaczających go przyjaciół: *Słońce mię woła... Widzicie tę światłość niezmierną?... To Bóg... otwiera przede mną ramiona... Istota Najwyższa!"*. Francuski historyk i filozof, przedstawiciele humanistycznego sceptycyzmu, rozwijanego na gruncie filozofii pozytywistycznej, Ernst Renan (1823—1892) wołał: *„Zabierzcie to słońce znad Akropolu!"*.

Spośród ostatnich słów wielkich ludzi skwapliwie zapamiętano te, w których umierający żegnali się ze światem. Zygmunt Gloger (1845—1910), etnograf, archeolog i historyk polski powiedział do spowiadającego go ks. prałata Fijałkowskiego: *„Całe życie moje starałem się być dobrym Polakiem, całe moje życie było ciężką pracą. Odchodzę spokojnie"*. Leonardo da Vinci miał powiedzieć: *„Jak dzień dobrze wypełniony przynosi błogi sen, tak dobrze wypełnione życie przynosi błogą śmierć"*. Bardziej sceptycznie odniósł się do swych życiowych dokonań francuski poeta i teoretyk literatury Nicolas Boileau-Despreaux (1636—1711): *„Zwyciężony przez czas, ustępuję przed jego zniewagami"*. André Chenier (1762—1794), stojąc przed gilotyną, rzekł do otaczających go gapiów: *„Nie zrobiłem nic dla potomności, schodzę z żalem do grobu. A jednak tu jest coś jeszcze"*.

Władcy starożytnego Rzymu w obliczu śmierci popadali w przesadę. Oktawian August, czując zbliżającą się śmierć, zażądał od służby przyniesienia zwierciadła, kazał sobie utrefić włosy i wezwawszy przyjaciół, zwrócił się do nich ze słowami: *„Czy dobrze odegrałem komedię życia? Jeżeli jesteście zadowoleni, klaszczcie!"*. Neron powiedział: *„Qualis artifex pereo" (jakiż artysta ginie we mnie)*, ale według Swetoniusza miał jeszcze powiedzieć: *„Za późno... Oto wdzięczność..."* — gdy centurion zamierzał opatrzeć mu ranę gardła zadaną sztyletem. Cesarz Wespazjan westchnął patetycznie: *„Cesarz powinien umrzeć, stojąc"*. Marek Aureliusz (121—180), jeden z najszlachetniejszych władców rzymskich, powiedział: *„Pracujmy! Chociaż nic już nie ma znaczenia"*.

Cyceron powitał nasłanych nań przez Oktawiana skrytobójców lakonicznym, ale jakże wymownym okrzykiem: *„Uderzajcie!"*, zaś wódz kartagiński Hannibal ścigany przez Rzymian aż w Bitynii, gdzie schronił się na dworze króla Prusjasza, zażył truciznę, mówiąc: *„Niech teraz śmierć bezsilnego starca uwolni Rzym od strachu"*. Strach ten kazał dumnym Rzymianom wołać po zwycięstwie kartagińskiego wodza pod Kannami: „Hannibal ante portas!" (Hannibal pod bramami!).

Utrudzeni chorobą i cierpieniem umierający nade wszystko tęsknili do kojącego snu. Alfred de Musset (1810—1857) na krótko przed śmiercią szeptał: *„Spać! Nareszcie usnę!"*. Jerzy Gordon Byron, znakomity poeta angielski, mówił, odzyskując na chwilę przytomność: *„Patrz, oto najwyższy czas pójść spać"*. Fryderyk Schiller, przekraczając już niemal granicę niebytu, oznajmił przyjaciołom: *„Coraz lepiej, coraz spokojniej"*. Walter Scott wyznał: *„Czuję, że wracam do samego siebie"*. Król angielski Jerzy IV (1762—1830), wielki birbant i utracjusz, zadał zgromadzonym przy łożu śmierci pytanie: *„Czy śmierć jest dalej, aniżeli to?"*. Franciszek Rabelais, odchodząc do lepszego ze światów rzekł: *„Spuśćcie zasłonę, farsa skończona"*. Niektórzy badacze przypisują mu też inne powiedzenie: *„Idę poszukać wielkiego Być Może"*. Cyprian Norwid, złożony niemocą na ubogim łóżku wygnańca w przytułku św. Kazimierza w Paryżu, powiedział do czuwającego przy nim przyjaciela Michała Zaleskiego znamienne słowa: *„Przykryjcie mnie lepiej!"*, które zaciążyły nad spuścizną literacką poety na długie lata.

Elżbieta I, królowa Anglii, po dziesięciu dniach konania, wypowiedziała słowa: *„Całe moje królestwo za jedną minutę życia"*. Zwycięzca Napoleona spod Waterloo, lord Wellington rzekł lakonicznie: *„Dobrze idzie"*, podobnie powiedział George Washington: *„Wszystko dobrze!"*. Chopin miał wyrzec jedno tylko, nic nie znaczące słowo: *„Plus"*, zaś John Locke: *„Dosyć!"*.

Jan Matejko, umierając, wypowiedział słowa: *„Boże, zbaw Polskę i błogosław moje dzieci!"*. Słowa te, w nieco odmiennej formie, odnotowali bezpośredni świadkowie zgonu malarza: Marian Gorzkowski i Stanisława Serafińska. Do swej progenitury odwołał się też Aleksander Fredro, mówiąc: *„Moje dzieci"*. W niespełna dwa tygodnie po śmierci komediopisarza jego wnuk 17-letni Andrzej Fredro napisał:

...W wiliją śmierci, gdy już prawie kona,
Jeszcze wśród bólu myślą do swych leci
I ręce wznosi do swych wnuków grona,
I jeszcze mówi: „Moje, moje dzieci!".

Wielki Napoleon konając na wyspie św. Heleny, szeptał rwącym się, rozgorączkowanym głosem: *„Armia!... Czoło armii... Francja... Francja... Józefina..."*.

ANDRZEJ KEMPA

1

Jeszcze przyjdzie nasz czas

Myślę, że sytuacja powoli dojrzewa do tego, by w kraju zaczęły wyłaniać się nowe partie polityczne. W tej chwili istnieje właściwie dualizm. Z jednej strony „Solidarność", z drugiej zaś PZPR i stronnictwa koalicyjne, które mają własne programy, ale jeszcze nie bardzo wiedzą, gdzie jest ich miejsce. Trwa więc jakby stan oczekiwania. Oczywiście nie można zapominać o innych ugrupowaniach, takich jak na przykład KPN, PPS-RD, PPS i Stronnictwo Pracy. W wyborach wygrała zdecydowanie „Solidarność" i to z jej nurtu powinna wyłonić się jedna, a może więcej partii politycznych.

Zanim jednak nastąpi moda na zakładanie całkowicie niezależnych ugrupowań (co dzieje się właściwie już teraz w różnych środowiskach młodzieżowych) i ja postanowiłem wystąpić z propozycją założenia własnej partii. Nazywać by się miała Partią Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa. To nic, że pomysł nie jest nowy, najważniejsze, że był dobry. A z dobrych wzorów należy korzystać. Przy okazji, ponieważ nie wymyślam niczego nowego, mam od razu załatwioną sprawę patrona i duchowego przywódcy dla mojego ugrupowania. Będzie nim oczywiście twórca Partii Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa — Jaroslav Hasek, który założył ją na początku naszego stulecia w Pradze. Obecnie chcę więc tylko nawiązać i kontynuować dzieło tego wielkiego pisarza i człowieka. Dlatego na początek pragnąłbym bardzo, by wydano pisma zebrane Jaroslava Haska, a w kilku wielkich miastach ustawiono jego pomniki, jak również nazwano ulice i place jego imieniem.

Gdy wymyśliłem już te wszystkie ważne rzeczy, zacząłem werbować członków do mojej partii. I nie powiem, kilku fajnych chłopaków zjawiło się na pierwszym spotkaniu, postanowiliśmy więc skonkretyzować program. Zebranie odbyło się w podniosłej atmosferze i już na początku ustaliliśmy, że oprzemy wszelkie nasze działania na haśle trzy razy „P", co znaczy: 1) pełna kasa, 2) pełny rynek, 3) pełna wolność dla każdej jednostki.

Ale na tym oczywiście nasz program się nie skończył, w miarę upływu czasu poszczególni członkowie dopowiadali co i rusz nowe postulaty. Wszystkich niestety, nie mogę tutaj zacytować. Powiem tylko, że gdzieś koło północy ktoś rzucił pomysł, by dobry, niedrogi alkohol był dostępny w każdym sklepie. Wszyscy podchwycili ów postulat, a jeden z aktywniejszych członków, wyglądający bardzo poczciwie (muszę przyznać, że widziałem go pierwszy raz na oczy. No cóż, nasze spotkanie było w końcu otwarte) wygłosił w tym miejscu wcale niedługie przemówienie, w którym stwierdził, że jeżeli wprowadzimy do naszego programu hasło dotyczące alkoholu, to przyszłe wybory możemy nawet wygrać. Dlatego trzeba liczyć się z możliwością przejęcia władzy i on by radził, żeby wobec tego zastanowić się nad obsadzeniem stanowisk w rządzie. Tu doszło do kłótni, ponieważ dwóch kandydatów zgłosiło się do urzędu ministra policji. Ktoś trzeci natomiast wstał i powiedział, że jeżeli któryś z nich obejmie policję, to on idzie do lasu i zakłada partyzantkę. Dla ratowania sytuacji podniósł się mój bliski współpracownik i stwierdził autorytatywnie, że ani jeden, ani drugi nie może objąć tego urzędu, ponieważ ministerstwo policji będzie połączone z ministerstwem kultury i kandydat na to stanowisko już jest. I nawet ku ogólnemu zdziwieniu po tym wystąpieniu na jakiś czas zapanował spokój.

A następnego dnia, kiedy obudziłem się z bolącą głową, przyszedł mój przyjaciel, który wczoraj z zebrania wyszedł najwcześniej i powiedział, że u nas nie można założyć takiej partii o jakiej marzę, bo: po pierwsze brak jest zacisznych kawiarni, w których, podobnie jak nasi wielcy poprzednicy w Pradze, moglibyśmy się spotykać, a po drugie, kto dawałby nam, jak to się często zdarzało Haskowi i jego kompanom, alkohol na kredyt? Niestety, musiałem przyznać mojemu przyjacielowi rację.

Jak więc widzicie z powodu ciężkiej sytuacji ekonomicznej mój pomysł upadł. Co nie oznacza jednak, że nie powrócę do niego w czasach lepszych, które mam nadzieję w bliskim nadejdą. A sympatyków Partii Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa proszę o cierpliwość. Nie nawołuję również, by schodzić do podziemia. Chcę, by wszyscy spokojnie poczekali. Jeszcze przyjdzie nasz czas!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Każda inteligentniejsza jednostka...

Przed paroma tygodniami przeczytaliśmy w „Odgłosach" wspomnienie Tadeusza Chróścielewskiego o pierwszych dwóch latach powojennych w Łodzi. Chróścielewski pisze zwłaszcza o domach zajętych wówczas przez literatów polskich, którzy miotani wydarzeniami ostatnich miesięcy wojny w naszym mieście znaleźli przystań. Takich domów było wtedy w Łodzi trzy. Do dziś ostał się tylko jeden przy alei Adama Mickiewicza. Przeważająca większość mieszkających wówczas artystów i naukowców rychło porzuciła Łódź przenosząc się zwłaszcza do podnoszącej się z gruzów stolicy.

Niektórzy z nich nie pamiętają nawet o tym, że przez kilka lub kilkanaście miesięcy Łódź stanowiła ich dom. Dziwią się kiedy im to przypomnieć, pisze Tadeusz Chróścielewski. Jak gdyby to była jakaś wstydliwa karta w czyjejkolwiek biografii, jak by stolicę od drugiego co do wielkości miasta dzieliło nie tylko skromnych sto dwadzieścia kilometrów, ale i niezmierzona różnica poziomu kultury, nauki, wielkoświatowego poloru.

Tu przypomniała mi się, wydana w 1895 roku, a więc prawie sto lat temu broszura niejakiego Adolfa Starkmana pod tytułem „Łódź i Łodzianie":

„Ci, którzy oprócz bytu dla ciała — pisał Starkman — chcieliby znaleźć w Łodzi odrobinę karmu dla spragnionego ducha odwracają się od tego miasta ze zniechęceniem niemal ze wstrętem nawet. Nikt tu nie posiada wyższych pragnień, nie ma tu idealniejszych polotów, szlachetniejszych dążeń i świętych ogników myśli i natchnienia. Każda inteligentniejsza i myśląca jednostka, zagnana losem do Łodzi wyrywa się stąd jak może najprędzej. Nie zauważono dotąd jakiejkolwiek bądź inicjatywy, która przyczyniła by się do pozornego choćby zaaklimatyzowania sztuki i nadania jej powierzchownego choćby prawa obywatelstwa na łódzkim gruncie".

Skąd pochodził pan Adolf Starkman? Nie wiemy. Wiemy tylko, że pisywał monologi i skecze do stołecznych kabaretów i że siedział w więzieniu chyba za działalność polityczną, skoro nie przemilcza tego faktu, a nawet wydaje swoje „więzienne wspomnienia". Skecze były pewnie zabawne i rozśmieszały warszawian, zwłaszcza gdy było w nich coś o łódzkich jaskiniowcach.

Ale patrzcie jak wiele się przez tych kilkadziesiąt powojennych lat w Łodzi zmieniło! Może nawet więcej niż w Warszawie...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Sport i dolary

Najpierw była telewizyjna wiadomość o tym, że pracownicy bydgoskiego „Rometu" część płacy za pracę będą otrzymywali w dolarach USA. Ludzie się ucieszyli, bo skoro „Romet" w gospodarnej Bydgoszczy może, to inni też się zepną i będą chcieli zarabiać prawdziwe pieniądze. Wszyscy niewątpliwie jesteśmy przeciwnikami neokolonializmu, ale nikt nie będzie się sprzeciwiał, gdy zaczną mu płacić w dolarach USA lub markach RFN czy innych wymienialnych walutach. Mogą być nawet franki szwajcarskie.

Starsi koledzy uświadomili mnie, bo ja tego pamiętać nie mogę, że dawno temu, bodajże w „Przeglądzie Kulturalnym", Krzysztof Teodor Teoplitz gorąco protestował przeciw kultowi dolara, przypominając, że Włodzimierz Lenin twierdził, iż na każdym dolarze jest krew amerykańskiego robotnika. Ale kto dziś przejmuje się uwagami Włodzimierza Lenina, a zapewne i sam Krzysztof Teodor Teoplitz chętnie brałby honoraria w dolarach USA. I nie mogę mu mieć tego za złe, bo ja też nie byłabym temu przeciwna. Ale niestety w DTV wyjaśniono, że z tym płaceniem w dolarach USA to zwykła plotka i nieporozumienie. Bydgoski „Romet" wyjaśnił, że nie płacił w dolarach i nie ma takiego zamiaru. Ale przypomnę tylko, że w polityce nawet gospodarczej nigdy nie mówi się nigdy...

Płacić w dolarach czy innych walutach wymienialnych to nam nikt nie chce, ale sprzedawać — to proszę bardzo. Oto w Warszawie, na rogu Nowego Światu i Foksal, otworzono sklep firmowy zachodnioniemieckiej firmy „Puma". W sklepie tym, niestety sprzedaje się za waluty wymienialne. Na pociechę dyrektor filii „Puma" w Polsce, pani Anna Krzysztofik zapewnia, że ceny są konkurencyjne w stosunku do cen „Pewexu". Są niższe o 30 procent. A dolar kupiony według kursu rynkowego — bo czarnego rynku już nie ma skoro kupowanie i sprzedawanie walut nie jest karane — i tak da przeliczeniowe ceny w złotówkach niższe niż na Stadionie „Skry", gdzie jest taki sam bazar jak w Łodzi na Stadionie ŁKS.

A oto przykłady: dres „Pumy" kosztuje od 27,5 do 100 dolarów. Przyjmujemy, że kurs na rynku wynosi 6 000 złotych za dolara USA i mamy ceny dresów „Pumy" w złotówkach od 165 000 do 600 000 złotych. Bagatelka! Buty „Pumy" w przeliczeniu na złotówki według wskazanego powyżej kursu kosztują od 78 000 do 300 000 złotych. Gdybyśmy optymistycznie przyjęli — jak to zakłada prezes PKO Marian Krzak — że kurs dolara na rynku spadnie i gdyby spadł do 5 000 z jednego dolara USA, to cena butów w przeliczeniu na złotówki wyniosłaby od 65 000 do 250 000 złotych. Tyz pięknie! — jak powiadają górale.

Jak z powyższego widać sport być może i przynosi zdrowie, czyni człowieka silniejszym, sprawniejszym, zdrowszym, a przez to i szczęśliwszym, przedłuża życie, ale jest czymś drogim, kosztownym i luksusowym. Ale nie tylko dla tych, którzy chcą kupować sprzęt sportowy w sklepach „Pumy", „Pewexu" czy w stoiskach z zagranicznymi towarami w domach handlowych.

„Jakiś mędrzec — napisał w „Przeglądzie Sportowym" Łukasz Jedlewski — wpadł kiedyś na pomysł zaliczenia owych towarów do kategorii wyrobów... luksusowych. Wiąże się to oczywiście, z ekstrapodatkiem. Dlatego m.in. piłka kosztuje ponad 40 tysięcy złotych. Skandal!".

Zgadzam się. W warszawskim sklepie „Pumy" najtańsza piłka kosztuje 43 800 złotych, to jest 7,30 dolara, a najdroższa — 88 800 złotych, to jest 14,80 dolara. Płatność w dolarach nie stanowi żadnej przeszkody, bowiem dolary można kupić niemal na każdym rogu ulic w dużych miastach. Ale, żeby te dolary kupić trzeba dobrze się napracować i nie każdego na to stać. Tak więc owo zdrowie, które daje sport trzeba najpierw stracić w ciężkiej pracy, aby móc się wyposażyć do uprawiania sportu. Tylko w naszej paranoicznej rzeczywistości można coś takiego wymyślić.

Nie przeczę, że są ludzie, którzy wydadzą bez zmrużenia oczu i żalu ćwierć miliona złotych, aby kupić sobie czy dziecku modny dres „Pumy" czy inny sprzęt sportowy dostępny w sklepach „Pewexu". Ale są setki tysięcy ludzi, dla których coś takiego jest poza zasięgiem najśmielszych marzeń. Sprawnie funkcjonujący rynek artykułów sportowych powinien oferować dobre rzeczy na dobrym poziomie dla masowego klienta i artykuły o wysokim poziomie dla... bogaczy. Ale my tylko marzymy o takim rynku.

Mamy natomiast rynek... piłkarzy. Krakowskie „Tempo" opublikowało rejestr piłkarzy wystawionych do sprzedaży i kupna. ŁKS na przykład zechciał pozbyć się Jarosława Baki, choć to bramkarz reprezentacyjny i można byłoby się spodziewać, że ŁKS powinien zrobić wszystko, aby go zatrzymać. Ale nie chciał i wiem, że miał istotne powody. Jarosław Bako nie musi się jednak martwić. Oto działacze Zagłębia Lubin przylecieli do Łodzi samolotem, aby zabrać bramkarza ŁKS do Lubina na rozmowy. Fakt ten wywołał zdziwienie „Przeglądu Sportowego". A niby dlaczego działacze Zagłębia Lubin nie mają podróżować samolotem — nowoczesnym środkiem lokomocji — skoro ich na to stać? Spełnią niewątpliwie wysokie wymagania Jarosława Baki i nie mniej wysokie ŁKS. Kto ma pieniądze, ten dziś decyduje. Tylko, czy sport na tym dobrze wyjdzie?

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II (24)

Ach, co to był za ślub!

Kalina ukończyła studia z wyróżnieniem. Miała przed sobą w miarę jasną przyszłość. Na co może liczyć kobieta w Kanadzie? W każdej pracy, w jakimkolwiek zawodzie, od najprostszych po najbardziej skomplikowane, zawsze zarabia mniej niż mężczyzna. Przeciętnie o dwadzieścia do trzydziestu procent.

Dawniej było jeszcze gorzej. Dyskryminacja kobiet była czymś groteskowym. Kobieta nie mogła sobie — za własne pieniądze! — kupić samochodu bez zgody męża. Nie mogła otworzyć sobie konta w banku bez zgody męża lub ojca czy brata, jeśli była panną. Nie miała prawa decydować o losie dzieci, sama była traktowana jak dziecko. Po prostu rodzaj domowego zwierzęcia, służącego do wypełniania obowiązków kuchennych i pralniczych, a przy okazji do rozpłodu.

Dopiero w latach sześćdziesiątych Women's Liberation Movement, czyli Ruch Wyzwolenia Kobiet wziął się do rzeczy. Odtąd sytuacja kobiet w społeczeństwie zaczęła się zmieniać. Przede wszystkim zaczęto wyrównywać płace w relacji do zarobków mężczyzn, ponieważ dawniej kobiety zarabiały zaledwie czterdzieści procent tego, co mężczyźni. Połowa była normą. Dzisiaj w niektórych zawodach już płace są zrównane, choć ukryta dyskryminacja wciąż istnieje. Większe też prawa mają samotne matki, kobiety porzucone i niepełnosprawne. W tej chwili kobieta kanadyjska ma o wiele więcej przywilejów i otaczana jest o wiele większą opieką ze strony instytucji państwowych i miejskich niż kobieta w Europie. Nie wspominajmy tu o Polsce na wszelki wypadek.

W wybranym zawodzie Kalina mogła liczyć na odbycie bardzo długiej podróży w górę, jeśliby się na to zdecydowała. Ten rodzaj wykształcenia umożliwiał zajęcie stanowiska dyrektora lub prezesa nawet bardzo dużej firmy. Jeszcze się nie zdarzyło, by prezesem Forda czy General Motors była kobieta, ale kto wie, czy do tego nie dojdzie. Trzeba przy tym wyjaśnić, że roczny budżet General Motors jest większy niż łączny budżet kilku mniejszych — zachodnich! — krajów Europy. Dlatego też mister President of General Motors Company ma pensję roczną w wysokości trzech milionów dolarów, nie licząc dodatków reprezentacyjnych oraz odrzutowca do personalnego użytku. Dziwne, że robotnicy, zarabiający na taśmie po piętnaście na godzinę nie poumierają z zazdrości... Nasi by wyszli na ulice, żądając zrównania ich zarobków z zarobkami prezesa, który „przecież nic nie robi, tylko siedzi w fotelu".

Kalina miała więc ogromne szanse, i od początku podeszła do nich z całą powagą. Przede wszystkim wyjaśniła Duchowi, że sytuacja kobiety zamężnej w świecie biznesu jest o wiele lepsza niż panny. Pracodawca zna życie i wie, że panna zakocha się w którymś z kolegów w pracy, po czym oboje odejdą gdzie indziej. Niepotrzebne zamieszanie. Kalina wyjaśniła więc Duchowi, że powinien umożliwić jej dobry start i ożenić się z nią.

Z punktu widzenia logiki było to rozumowanie poprawne. Duch nie miał nic do stracenia. Gdyby Georgia nie załatwiła rozwodu na Haiti, byłby dalej żonaty, chociaż oficjalna żona przebywała za oceanem. Tutaj znowu, mimo iż nie jest z Kaliną na kontrakcie, żyją sobie jak para małżeńska. Czy podpisanie kontraktu ma jakiekolwiek znaczenie dla takiego faceta, jak Duch? Żadnego. Jeśli mu się małżeństwo znudzi, to po prostu odejdzie. A istniejący kontrakt z panią A będzie go chronił przed podpisaniem kontraktu z panią B.

Poragnął zmiany tak samo jak Kalina. Niech się dzieje, co chce, byle coś się działo! Pewnie, wiedział dobrze, że małżeństwo nie załatwi żadnego z dokuczających problemów, ale sama akcja mogła stanowić rozrywkę na kilka tygodni.

— Dobrze, kochanie — powiedział ciepło. — Zróbmy to.

— Ale weźmiemy ślub w kościele — powiedziała, wierna swoim katolickim przekonaniom.

Duch wzruszył ramionami.

— Co za różnica? Jeden diabeł.

Poszli więc do kościoła z papierami. Duch nigdy przedtem nie brał ślubu w kościele, więc w oczach katabasów nigdy nie był żonaty, natomiast był grzesznikiem, który żył na kocią łapę. Bojowy katabas, Irlandczyk, zaczął się do niego dobierać. Gówniarz miał może dwadzieścia pięć lat, świeży w zawodzie. Zaczął Ducha przyciskać argumentacją „moralną", straszyć piekłem i nawracać na wiarę w jedynie słuszną fantazję.

— Now listen, mister — powiedział ostro Duch. — Słuchaj pan tutaj. Ja się w pańskie młode życie nie wtrącam, i nie lubię, jak ktoś pcha nos w moje. Miałem kilka żon, a pan żadnej. Pan żyje z tego, że ludzie tu się rejestrują. I tylko ta formalność powinna pana interesować, bo o niczym więcej nie ma pan pojęcia.

Irlandczyk spurpurowiał, ale próbował być „cool".

— Sakrament małżeństwa umożliwia prokreację... Tu chodzi o los potomstwa...

— Gobbledygook — powiedział Duch, co znaczy mniej więcej: „sralis-margalis". — Czy pan kiedy zrobił komu dziecko? Wychował pan jakieś? Wy już macie najmniejsze prawo mówić o potomstwie! Tak jakby szewc chciał uczyć chirurga, jak zestawiać kości. Czy ja tańczę przed pańskim warsztatem pracy? Nawet nie wiem, na czym polega to przestawianie błyskotek, więc się tam nie pcham. A pan się wpycha do mojego warsztatu pracy, to znaczy do mojego łóżka...

Irlandzki szaman zerwał się z zaciśniętymi pięściami. Duch miał sporo bójek w życiu, znał moment, w którym facet dochodzi do granicy i za chwilę uderzy. Ale Duch jeszcze nigdy nie bił się z księdzem! Rudzielec był młody, mocno zbudowany, taki ksiądz-sportowiec, co to w robotniczych środowiskach gra w rugby, morda twarda, chamska... Może nawet i boksował z młodzieżą. Irlandczycy to twardy naród, choć, jak Polacy, nie najmądrzejszy. Duch wiedział, że zrobiłby z naiwniaka maślankę, Kalina też to wiedziała. Drżała, blada i przerażona, modliła się pewnie, żeby ksiądz nie zrobił głupstwa. Duch roześmiał się głośno:

— I don't fight women... Unless you take off your robe... — co znaczy dosłownie: „Nie walczę z kobietami, chyba, że zdejmiesz swoją suknię..."

Irlandczyk zbladł jak ściana. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Duch wiedział, że wściekłość i upokorzenie odebrały tamtemu siłę. Wiedział co tamten odczuwa, bo sam był wiele razy w sytuacjach, kiedy zamiast zabić prowokatora, musiał cierpieć nieprawdopodobne męki z powodu bezsilności. Spojrzał więc na przeciwnika ze zrozumieniem.

— Let's forget it — powiedział. — Zapomnijmy o tym.

I wyszedł, trzymając Kalinę pod rękę.

W następnym kościele powiedziano im, że powinni najpierw zawrzeć związek małżeński w City Hall, czyli w ratuszu, ponieważ nie znają się na przepisach prawa cywilnego, dotyczącego poprzednich małżeństw Ducha. Poszli więc do City Hall w Toronto.

Urzędnik popatrzył z odrazą na ozdobiony czerwoną wstążką wyrok haitańskiego sądu.

— My takich rozwodów nie uznajemy. Dla nas pan jest dalej mężem kobiety, z którą pan tu przyjechał.

— Ale ślub z tamtą kobietą — powiedział Duch — zawarłem w Polsce. Gdybym tam dostał rozwód, to co?

— Dopóki o tym nie wiemy, sytuacja jest bez zmian. Ale wystarczy pana oświadczenie, że w starym kraju rozwiązano zawarte tam małżeństwo, i my tu zrobimy odpowiednią poprawkę.

— Wobec tego oświadczam, że małżeństwo jest rozwiązane.

— Musi pan oświadczyć to sędziemu pod przysięgą.

Duch wiedział, że za krzywoprzysięstwo grozi taka sama kara, jak za składanie fałszywych zeznań. Było jasne, że trzeba mieć jakiś papierek z Polski. Ale jak go skombinować?

Zadzwonił do Paszkowskiego, powiedział mu o kłopotach. Paszkowski przyjechał do niego i odbyli konferencję.

— Opowiadałeś coś o konsulu amerykańskim... Pokaż no ten wyrok!

Duch podsunął mu laurkę skwapliwie.

— No proszę! Czarno na białym: podpis konsula USA, oni to muszą uznawać, inaczej by nie podpisał.

— Racja! — zawołał Duch. — Przecież ten Bell sam powiedział, że Stany akceptują ich rozwody.

— Wobec tego — rzekł Paszkowski — wsiadaj w samochód i jedź do Stanów. Weźmiecie ślub i złożycie papier w City Hall...

Na wszelki wypadek Duch poszedł jeszcze raz do urzędnika.

— Oczywiście, że akceptujemy ślub zawarty w Stanach.

— Nawet, jeśli jest zawarty na podstawie rozwodu, którego prawo kanadyjskie nie uznaje?

— Of course. Nie my bowiem udzielamy ślubu, tylko Stany. A jeśli w Stanach te rozwody uznają, to nie nasza sprawa. My natomiast uznajemy małżeństwo, zawarte w Stanach, a na jakiej podstawie, to nas nie obchodzi.

— I co wtedy się stanie z moim małżeństwem poprzednim w waszych zapisach?

— Zostanie anulowane, ponieważ zaistniało nowe małżeństwo. Skoro zostało zawarte nowe, to znaczy, że stare musiało być legalnie rozwiązane. Ponieważ poprzednie nie było zawarte w Kanadzie, to nas nie interesuje gdzie i w jaki sposób zostało rozwiązane.

Następnego dnia Duch i Kalina pojechali do Niagara Falls w stanie New York. Niedaleko, zaledwie sto kilometrów od miejsca, gdzie mieszkali. Okazało się, że ślubów udziela sam mayor, czyli burmistrz. Ale nie można było załatwić sprawy od ręki.

— Najpierw pójdziecie na badanie krwi, czy przypadkiem nie macie syfilisa. Dopiero z wynikiem do nas po ustalenie terminu.

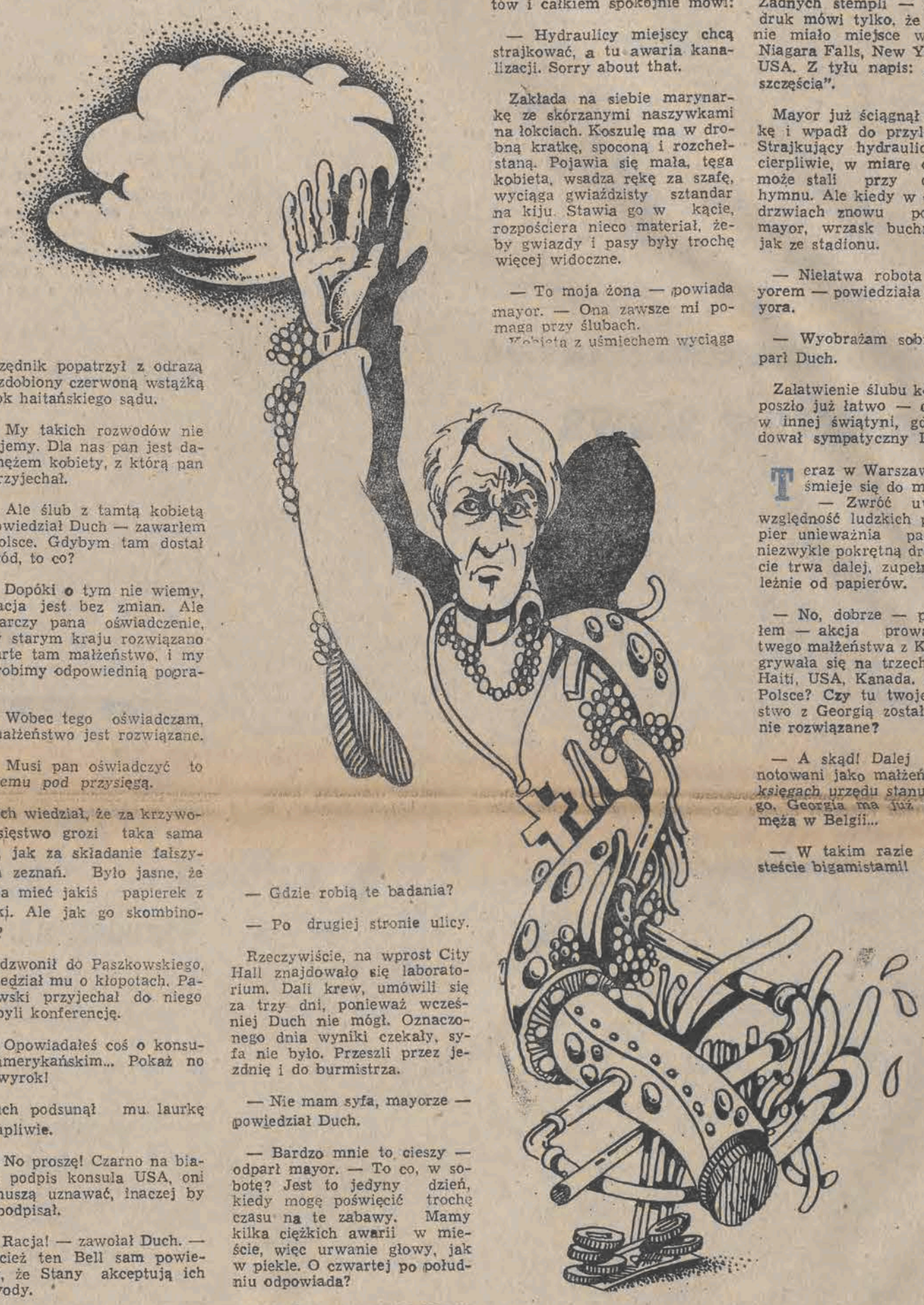

— Gdzie robią te badania?

— Po drugiej stronie ulicy.

Rzeczywiście, na wprost City Hall znajdowało się laboratorium. Dali krew, umówili się za trzy dni, ponieważ wcześniej Duch nie mógł. Oznaczonego dnia wyniki czekały, syfa nie było. Przeszli przez jezdnię i do burmistrza.

— Nie mam syfa, mayorze — powiedział Duch.

— Bardzo mnie to cieszy — odparł mayor. — To co, w sobotę? Jest to jedyny dzień, kiedy mogę poświęcić trochę czasu na te zabawy. Mamy kilka ciężkich awarii w mieście, więc urwanie głowy, jak w piekle. O czwartej po południu odpowiada?

— Perfect — powiedział Duch. — A jakie papiery?

Mayor wzruszył ramionami.

— Prawo jazdy albo karta biblioteczna. Cokolwiek z podpisem właściciela.

— Paszport może być?

— Ach, to aż za dużo.

W sobotę wybrali się w trzy samochody, trzeba było zrobić trochę szumu, hałasu, ktoś z kumpli powinien być świadkiem, choć gdyby nowożeńcy byli bardzo samotni, to któryś z urzędników by poświadczył... Duch gnał swoim Datsunem sto mil na godzinę, bo było późno. Harry Paszkowski ciągnął za nim swoim najnowszym nabytkiem, egzotycznym Iso Rivolta, który potrafił pędzić dwieście sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Harry tylko czasami wyprzedzał dla zabawy Ducha, przebłyskując obok niego na szybkości powyżej dwustu, wyszczerząc zęby przez szybę — i zaraz hamował z obawy przed policją. Z tyłu jechał Jasiu Rek swoim statecznym, używanym Volvo. W każdym z wozów, oczywiście znajdowała się kobieta, towarzyszka życia kierowcy.

Kiedy spoceni wbiegli do pokoju mayora, wewnątrz nie było nikogo. Już trzy minuty po czwartej, a z przyległej salki dobiegają odgłosy awantury. Klienci czekają cierpliwie, głosy spoza drzwi coraz bardziej burzliwe. Nagle drzwi otwierają się gwałtownie, mayor wpada tyłem do swego ciasnego gabinetu, grożąc komuś pięścią:

— Jak mi to nie będzie zrobione, to wam wszystkim wysadzę mózgi w powietrze!

Chóralny wrzask protestu, ale mayor zatrzaskuje już drzwi. Odwraca się do klientów i całkiem spokojnie mówi:

— Hydraulicy miejscy chcą strajkować, a tu awaria kanalizacji. Sorry about that.

Zakłada na siebie marynarkę ze skórzanymi naszywkami na łokciach. Koszulę ma w drobną kratkę, spoconą i rozchełstaną. Pojawia się mała, tęga kobieta, wsadza rękę za szafę, wyciąga gwiaździsty sztandar na kiju. Stawia go w kącie, rozpościera nieco materiał, żeby gwiazdy i pasy były trochę więcej widoczne.

— To moja żona — powiada mayor. — Ona zawsze mi pomaga przy ślubach.

Kobieta z uśmiechem wyciąga jakąś księgę, rozkłada przed stojącym za biurkiem mayorem. Na biurku jest trochę bałaganu, żona składa papiery i odsuwa gazety.

Duch podaje paszporty. Mayor czyta nazwiska głośno, ale jego żona, siedząca przy maszynie do pisania, nie wie, jak się te obce nazwiska literuje. Mayor pokazuje jej paszporty i ona pisze na białej kartce, przypominającej składaną pocztówkę.

Gotowe. Mayor czyta farmułkę, że oto przed nim, w dniu i tak dalej, został zawarty związek małżeński.

Podchodzą świadkowie i składają podpisy. Żona Paszkowskiego i Jasiu Rek, jedyny znany Duchowi człowiek, który zrobił miliony uczciwą pracą. Mogę potwierdzić tę opinię, ponieważ znam tego faceta od początku — opiszę jego starania i wysiłki w ostatniej części „Azylu".

Podpisy złożone. Mayor włącza magnetofon. Rozlega się hymn amerykański. Wszyscy stają w pozycji przypominającej przez odległe skojarzenia „baczność".

Koniec hymnu. Mayor podaje każdemu rękę.

— Ile płacę? — pyta Duch.

— Dwadzieścia dolarów — powiada żona mayora.

Duch kładzie banknot na biurku, bierze kontrakt.

Mała laurka, na frontowej stronie ozdobne srebrne litery obwieszczające, że jest to akt ślubu. Na drugiej nazwiska delikwentów, podpisy świadków. Żadnych stempli — mały nadruk mówi tylko, że wydarzenie miało miejsce w mieście Niagara Falls, New York State, USA. Z tyłu napis: „Życzymy szczęścia".

Mayor już ściągnął marynarkę i wpadł do przyległej sali. Strajkujący hydraulicy czekali cierpliwie, w miarę cicho, być może stali przy dźwiękach hymnu. Ale kiedy w otwartych drzwiach znowu pojawił się mayor, wrzask buchnął nagle jak ze stadionu.

— Niełatwa robota być mayorem — powiedziała żona mayora.

— Wyobrażam sobie — odparł Duch.

Załatwienie ślubu kościelnego poszło już łatwo — oczywiście w innej świątyni, gdzie urzędował sympatyczny Francuz.

Teraz w Warszawie Duch śmieje się do mnie:

— Zwróć uwagę na względność ludzkich praw. Papier unieważnia papier, i to niezwykle pokrętną drogą. A życie trwa dalej, zupełnie niezależnie od papierów.

— No, dobrze — powiedziałem — akcja prowadząca do twego małżeństwa z Kaliną rozgrywała się na trzech scenach: Haiti, USA, Kanada. Ale co w Polsce? Czy tu twoje małżeństwo z Georgią zostało formalnie rozwiązane?

— A skąd! Dalej jesteśmy notowani jako małżeństwo w księgach urzędu stanu cywilnego. Georgia ma już kolejnego męża w Belgii...

— W takim razie oboje jesteście bigamistami!

Duch rozłożył ręce:

— Absolutnie nie. Polskie prawo nie ma żadnych dowodów na to, że się w innym kraju rozwiedliśmy i że weszliśmy w nowe związki małżeńskie. To są sprawy z innej planety. Tak samo Kanada nie może nic zrobić z tym fantem, że w jakimś biurze warszawskim leży mój stary kontrakt z Georgią. Wiesz, nająłem adwokata, żeby mi tę sprawę rozwiązał. Być może ożenię się tu w Polsce. Co ty na to? Żartuję, oczywiście. Ale czy nie śmieszna jest biurokracja na tym świecie?

C.D.N.

Rys. Dariusz Romanowicz